

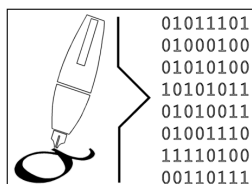
MICHAEL MOORCOCK

PERŁOWA FORTECA

Sagi o Elryku

Tom II

Przełożył: Radosław Kot



Tytuł oryginału:

The Fortress of the Pearl

Data wydania polskiego: 1994 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1989 r.

Dla Dave Tate

A gdy Elryk skłamał po trzykroć Cymoril, swej narzeczonej, i osadził ambitnego kuzyna Yyrkoona jako Regenta na Rubinowym Tronie w Melniboné, pozwolewszy także odejść Rackhirowi, Czerwonemu Łucznikowi, wyruszył potem ku nieznanym lądom, by szukać mądrości mającej, jak wierzył, pomóc mu rządzić krainą Melniboné tak, jak nigdy jeszcze nie była rządzona.

Nie wziął jednak pod uwagę, że przeznaczenie dawno już zdecydowało o naturze doświadczeń i nauk, jakie miały mu być dane, i o kształcie piętna, które miały nań wyrzeć. Zanim jeszcze spotkał niewidomego kapitana i Statek, Który Żeglował po Morzach Przeznaczenia, śmiertelne niebezpieczeństwa wystawiły na próbę zarówno jego idealizm, jak wierność samemu sobie.

W Ufych-Sormeer zatrzymał go spór pomiędzy czterema niesłownymi czar-noksiężnikami, którzy bliscy byli nieumyślnemu sprowadzeniu zagłady na Młode Królestwa i którzy ostatecznie oddali się w służbę Równowadze; w Filkhar zdarzyło mu się pójść za głosem serca i przeżyć coś, o czym nigdy potem nie chciał wspomnieć nawet słowem. Poznawał moc noszonego u boku Czarnego Miecza i poznawał miarę cierpienia, które temu towarzyszyło, a wszystko to miało swoją cenę.

Najpierw było jednak pustynne miasto Quarzhasaat i przygoda, która zaważyła na losach Elryka na wiele długich lat. . .

KRONIKA CZARNEGO MIECZA

CZEŚĆ PIERWSZA

*Czy jest szaleniec, który myślą samą
Zmieni ośnowę sennej mary szalonej.
Demony skruszy. Chaos powstrzyma.
Opuści władztwo i ukochaną.
Rzuci się w nurty, co w stron wiele płyną,
A dumę odda, i bólem zaznaczy?*

Rozdział 1

UMIERANIE

Elryk, dziedziczny cesarz Melniboné, ostatni potomek rodu rządzącego od ponad dziesięciu tysięcy lat, a jeśli zachodziła potrzeba — także potężny i groźny mag, gotował się na śmierć w otoczonym przez pustkowia mieście Quarzhasaat, zgubie wielu karawan, które nigdy doń nie dotarły. Lekarstwa i zioła, zwykle przywracające mu zdrowie, wyczerpały się podczas ostatnich dni długiej wędrówki południowym skrajem Pustyni Westchnień, forteczne miasto zaś było znane bardziej ze swych skarbów, niż medyków.

Powoli i niepewnie książę rozprostował naznaczone bladością palce w smudze światła, które ożywiło krwistoczerwony klejnot tkwiący w Pierścieniu Królów, ostatnim widomym znaku pozycji wynikającej z urodzenia. Dłoń opadła. Nadzieja na pomoc Actoriosa okazała się nadzieją ulotną, zresztą, mały mógł być z kamienia pożytek, skoro jego właścicielowi brakowało sił, aby ożywić moce drzemiące w klejnocie. Poza wszystkim zaś Elryk nie chciał przyzywać demonów, nie tutaj. Własne szaleństwo przywiodło go do Quarzhasaat i nic nie miał do mieszkańców miasta, pomimo że ci z pewnością zapaliby do niego nienawiścią, gdyby tylko wiedzieli, kim jest naprawdę.

Niegdyś Quarzhasaat rządziło krainą rzek i malowniczych dolin, pomiędzy którymi zieleniły się puszcze i złościły zboża, zmieniło się to jednak za sprawą nieostrożnego użycia kilku zaklęć podczas wojny z Melniboné ponad dwa tysiące lat wcześniej. W ten sposób imperium Quarzhasaat stracone zostało dla obu stron i zniknęło pod zwałami piasku, który nadciągnął niczym przypyływ, oszczędzając jedynie stolicę i pamięć o dawnych czasach. Od tamtej pory mieszkańcy miasta żyli wyłącznie przeszłością przekonani, że skoro Quarzhasaat istniało zawsze i ocalało, ich zadaniem jest zachować je za wszelką cenę w tym stanie przez całą wieczność. Nie służyło już niczemu ani nikomu, jednak jego władcy czuli się zobowiązani do troski o miasto i nie mieli w tej mierze żadnych wątpliwości, gdy przychodziło do działania. Czternaście razy różne armie próbowały pokonać Pustynię Westchnień, by złupić bajecznie bogate Quarzhasaat, i czternaście razy

piaski pochłaniały zbrojnych.

Głównym zajęciem mieszkańców stało się tymczasem knucie wyszukanych intryg przeciwko władcom (niektórzy zwykli mawiać, iż jest to najważniejsze z uprawianych tu rzemiosł). Z nazwy jedynie republika, z pozorów tylko stolica potężnego imperium, pogrzebanego przez diuny, Quarzhasaat rządzone było przez Radę Siedmiu znaną też pod osobliwą nazwą: Sześciu i Ten Jeden. Oni to sprawowali nadzór nad większością bogactw i spraw miasta. Inni bogaci mieszczenie płci obojga, którzy zdecydowali się nie służyć tej Septokracji, zadowalali się wywieraniem nacisków, korzystając w ten sposób ze znacznej nawet władzy bez ryzyka, że władza ich usidli. Jedną z tego grona, jak Elryk zdołał się już dowiedzieć, była Narfis, baronowa Kuwair, mieszkająca w skromnej i pięknej przy tym willi na południowym skraju miasta, większość czasu i wysiłków poświęcająca walce ze swym rywalem, starym diukiem Ralem, patronem najlepszych artystów Quarzhasaat, którego przytulnie i gustownie urządzone pałac wznosił się na pomocnych wzgórzach. Tych dwoje, jak Elryk słyszał, wybierało po trzech członków każdej Rady, podczas gdy siódmy, zwykle bezimienny, a zwany po prostu Sekstokrata (rządził bowiem pozostałymi sześcioma), był zdolny swym głosem przeważać w spornej sprawie. Wszyscy, nawet baronowa Narfis i diuk Rai, starali się zyskać przychyłność Sekstokraty.

Nie zamierzając wikłać się w polityczne intrygi, Elryk skierował się ku miastu wiedziony czystą ciekawością, a także dlatego, że było to jedyne schronienie na rozległych martwych obszarach na pomoc od bezimiennych gór oddzielających Pustynię Westchnień od Pustkowie Łkań.

Poprawiając się na cienkim pościeliu ze słomy, Elryk uśmiechnął się sardonicznie na myśl, że może tu umrzeć, a nikt nie dowie się, iż potomek władców największego wroga Quarzhasaat został pochowany w tym mieście. Zastanawiał się, czy taki właśnie los wybrali dla niego bogowie: los dalece gorszy od tego, o czym Elryk marzył, niemniej nie pozbawiony pewnego uroku.

Opuściwszy w pośpiechu i zamieszaniu Filkhar, wszedł na pokład pierwszego statku, który wypływał z Raschil i tym sposobem dotarł do Jadmar. Tam, zaufawszy nierozważnie pewnemu starym ilmiorańskiemu pijakowi, kupił odeń mapę mającą zdradzać położenie legendarnego Tanelorn. Tak jak po trosze oczekiwał, mapa okazała się fałszywa i zawiodła Elryka z dala od wszelkich ludzkich siedzib. Gotów był już sforsować góry, by przez Pustkowie Łkań dotrzeć do Kaarlaak, jednakże po spojrzeniu na wiarygodniejszą, z Melniboné pochodzącą mapę, uznał że Quarzhasaat leży znacznie bliżej. Nie udało mu się odnaleźć legendarnego Tanelorn i wiele wskazywało na to, że nigdy nie ujrzy tego miasta jak z baśni.

Kronikarze Melniboné nie mieli w zwyczaju poświęcać uwagi pokonanym wrogom, ale Elryk pamiętał, że wedle starych podań czary Quarzhasaat chroniły całe terytorium państwa przed na wpół ludzkimi wrogami, tragedia zaś była skutkiem zwykłej pomyłki popełnionej przez Fophena Dals, Diuka Czarnoksiężnika,

przodka diuka Rai. Pomylił on jeden ze znaków runicznych w zaklęciu, które miało zasypać armię Melniboné piaskiem i zbudować wał ochronny wokół cesarstwa. Elryk nie ustalił jeszcze, jak wypadek ów tłumaczą sobie obecni mieszkańcy Quarzhasaat. Może stworzyli szereg mitów i legend tłumaczących pech miasta knowaniami złych sił emanujących ze Smocznej Wyspy?

I wspomniął, jak jego własne opętanie mitami przywiodło go wprost do niechybnej zguby.

— Przeliczyłem się — mruknął, zwracając znów blado-szkarłatne spojrzenie na Actoriosa. — Dowiodłem, że mam wiele wspólnego z przodkami tych ludzi.

Dlatego właśnie został niedawno znaleziony około czterdziestu mil od swego martwego konia przez chłopca, który poszukiwał w piasku klejnotów i droгоценności, wydobywanych czasem na wierzch przez nawiedzające nieustannie tę część pustyni burze piaskowe. Te same burze były po części odpowiedzialne za przetrwanie Quarzhasaat (jak i za zdumiewającą wysokość imponujących murów miejskich), od nich pochodziła też pełna melancholii nazwa pustyni.

W lepszej chwili Elryk podziwiałby monumentalne piękno, piękno wyrafinowane, właściwe tylko temu miastu odciętemu od świata, tworzone według własnych kanonów. Pomimo gigantycznych rozmiarów zikkuraty i pałace nie były ani brzydkie, ani ciężkie, przeciwnie, zdumiewały lekkością stylu, a to za sprawą lśniącej czerwieniami terakoty, błyszczącego srebrzyście granitu, bielonych stiuków, intensywnych błękitów i zieleni wydających się wyłaniać za sprawą czarów wprost z powietrza. Na wielopoziomowych tarasach rozkwitały bujnie ogrody pełne fontann i strumyków zasilanych wodą z głębinowych studni. Dzięki nim brukowane uliczki i obsadzone drzewami aleje wypełniał kojący poszum i świeży zapach. Woda była tu racjonowana, a za jej kradzież miejscowe prawo karało najsurowiej, surowiej nawet niż za kradzież klejnotów; cała zaś wilgoć, która mogłaby posłużyć do uprawy zboża, wykorzystywana była tylko w jednym celu — by utrzymać splendor Quarzhasaat taki, jaki miało za czasów potęgi imperium.

Obecna kwatery Elryka nie posiadała nic z tej wspaniałości, stało w niej jedynie składane łóżko, kamienna podłoga zarzucona była słomą, w ścianie widniało wysokie okno. Całości dopełniał prosty gliniany dzban i miska z odrobiną słonawej wody, za którą zapłacił ostatnim szmaragdem. Cudzoziemcy nie mieli tu prawa do talonów na wodę. Woda dla Elryka została najpewniej skradziona z któregoś z fontann.

Elrykowi jednak potrzebne były przede wszystkim pewne bardzo rzadkie zioła leczące choroby krwi, ale ich cena, nawet gdyby były dostępne, przekroczyłaby możliwości księcia. Cały jego majątek składał się z kilku złotych monet, fortuny w Kaarlaak, lecz zupełnie bezwartościowych w mieście, gdzie złotem wykładano akwedukty i ścieki. Spacerując ulicami były więc dla Elryka wyczerpujące i przygnębiające, i książę coraz więcej czasu spędzał w swoim schronieniu.

Pewnego dnia odwiedził go ów chłopiec, który odnalazł go na pustyni i zapro-

wadził do tej kwatery. Przyglądał się teraz albinosowi niczym osobliwemu owadowi lub schwytanemu w potrzask gryzoniowi. Na imię miał Anigh i posługiwał się pochodzącym z melnibonéańskiego *linqua franca* właściwym dla Młodych Królestw, jednak akcent jego był tak chropawy, że chwilami trudno było zrozumieć, co mówił.

Raz jeszcze Elryk spróbował unieść rękę tylko po to, by szybko zrezygnować. Tego ranka pogodził się z myślą, że nigdy więcej nie ujrzy ukochanej Cymoril i nigdy już nie zasiądzie na Rubinowym Tronie. Owszem, odczuwał żal, jednak niezbyt bolesny, bowiem choroba wprawiała go w dziwnie radosny nastrój.

— Miałem nadzieję, że cię sprzedam.

Elryk zamrugał, usiłując dojrzeć coś w cieniach panujących w drugim kącie pokoju, gdzie nie docierał wpadający do środka promień słońca. Poznawał głos, ale przy drzwiach majaczyła mu tylko niewyraźna sylwetka.

— Teraz widzę, że w przyszłym tygodniu zaniosę na targ jedynie twoje truchło i rzeczy, które miałeś ze sobą. — To był Anigh, przygnębiony perspektywą śmierci swej cennej zdobyczy.

— Nadal jednak zadziwiasz. Twoje rysy przypominają twarze naszych pradawnych wrogów, masz skórę bielszą niż kość, a takich oczu jak twoje nigdy jeszcze nie widziałem u człowieka.

— Przykro mi, że cię zawiodę. — Elryk wsparł się słabo na łokciu. Uważał, iż ujawnienie prawdy o sobie byłoby nieostrożne, powiedział zatem, że jest najemnikiem z Nadsokor, Miasta Żebraków, schronienia dla wszelkich ludzkich osobliwości.

— Myślałem, że może jesteś czarnoksiężnikiem i wynagrodzisz mnie uchylając rąbka swej wiedzy tajemnej, dzięki której mógłbym zostać bogaty, a może nawet dostać się do Szóstki. Mogłeś też być duchem pustyni zdolnym wyposażyć mnie w różne przydatne moce. Ale wygląda na to, że zmarnowałem swą wodę. Jesteś jedynie zubożałym najemnikiem. Naprawdę nie masz już nic cennego? Może być nawet drobiazg, byle był coś wart. — Oczy chłopca powędrowały do długiego, smukłego tobołka, który stał oparty o ścianę w pobliżu wezgłowia.

— To nie są skarby, chłopcze — rzucił Elryk. — Ten, kto to posiada, bierze na swe barki klątwę, której nie można wygnać żadnymi czarami. — Uśmiechnął się widząc oczami duszy chłopaka usiłującego znaleźć kupca na Czarny Miecz, który owinięty w podartą suknię z czerwonego jedwabiu pomrukiwał chwilami z cicha, niczym starzec usiłujący przypomnieć sobie trudną sztukę wypowiedzenia słów.

— Ale to jest broń, prawda? — spytał Anigh a osadzone w szczupłej, opalonej twarzy jasne oczy wydały się jeszcze większe.

— Tak. Miecz.

— Stary? — Chłopak sięgnął pod pasiastą, brunatną dżelabiję i podrapał strup na ramieniu.

— To nie oddaje istoty sprawy. — Elryk poczuł się rozbawiony, pomimo że nawet ta krótka rozmowa zdążyła go już zmęczyć.

— Jak stary? — Anigh postąpił krok i znalazł się w smudze światła. Wyglądał na doskonale przystosowanego do życia wśród palonych słońcem skał i rozżarzonych piasków Pustyni Westchnień.

— Pewnie z dziesięć tysięcy lat. — Malujące się na twarzy chłopca zdumienie pozwoliło Elrykowi zapomnieć na chwilę o bliskim zapewne kresie drogi. — Chyba jednak więcej. . .

— To z pewnością jest skarbem! Panie i panowie z Quarzhasaat wysoko cenią takie rzeczy. Nawet ci z Szóstki je zbierają. Na przykład, jego wysokość Mistrz z Unicht Shlur ma komplet pancerzy ilmiorańskiej armii, a w każdym jest mumia prawdziwego wojownika. A lady Talith posiada zbiór kilku tysięcy sztuk broni, każda inna. Daj mi miecz, panie najemniku, a znajdę kupca. Potem poszukam tych ziół, których potrzebujesz.

— I wtedy wyzdrowieję na tyle, byś mógł mnie sprzedać? — Elryk był coraz bardziej rozbawiony.

— Och, nie, proszę pana. Wtedy będzie pan dość silny, by mi przeszkodzić. Poszukam raczej dla pana jakiejś pracy.

Elryk spojrzał życzliwiej na chłopca. Przez chwilę zbierał siły, by znów się odezwać.

— Sądzisz, że ktoś zechce mnie tu zatrudnić?

— Oczywiście — skrzywił się Anigh. — Może pan zostać osobistym strażnikiem kogoś z Szóstki, a przynajmniej kogoś z ich popleczników. Z pana wyglądem nie będzie żadnych kłopotów! Mówiłem już, jakimi to rywalami i intrygantami są nasi władcy.

— To pocieszające. — Elryk zaczerpnął głęboko powietrza. — Pocieszające, że mogę liczyć w Quarzhasaat na ciekawe życie i opływać w bogactwo. — Spróbował spojrzeć chłopcu prosto w oczy, ale Anigh odsunął się ze smugi światła i tylko fragment jego postaci był widoczny. — Niemniej z tego, co powiedziałeś wywnioskowałem, że potrzebne mi zioła rosną tylko w Kwan, u stóp Strzępiastych Kolumn, a to całe dni drogi stąd. Zanim wysłannik przebędzie choćby połowę drogi, ja będę już martwy. Chcesz mi osłodzić ostatnie chwile, chłopcze? A może masz jakieś mniej szlachetne zamiary?

— Powiedziałem panu, gdzie rosą te zioła. A co, jeśli ktoś już je zebrał i właśnie tu wraca?

— Znasz kogoś takiego? I ile ten ktoś zażąda za tak drogocenne lekarstwo? A w ogóle, czemu nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

— Bo wcześniej o tym nie wiedziałem. — Anigh usiadł na progu w chłodzie tam panującym. — Od czasu naszej ostatniej rozmowy chodziłem i pytałem. Jestem z pospólstwa, wasza czciogodność, nie pobierałem nauk, nie potrafię nawet gładko mówić. Ale wiem, jak szukać wiedzy. Nie jestem wykształcony, dobry

panie, ale nie jestem głupcem.

— Podzielim twoje zdanie.

— No to wezmę miecz i poszukam kupca? — Znowu pojawił się w smudze światła i wciągnął dłoń po tobołek.

Elryk opadł na posłanie. Uśmiechnął się, kręcąc z wolna głową.

— I ja, Anigh, jestem w znacznym stopniu ignorantem. W odróżnieniu od ciebie jednak mogę się także okazać głupcem.

— Z wiedzy płynie siła — powiedział Anigh. — Gdy będę miał jej dość, może zaprowadzi mnie pomiędzy najbliższych popleczników baronowej Narfis. Mógłbym zostać kapitanem jej straży. Może nawet szlachcicem!

— Och, pewnego dnia z pewnością zajdziesz nawet wyżej. — Elryk z trudem odetchnął zastałym powietrzem. Trząśnięty całym, a płuca miał jak ogarnięte płomieniem. — Rób, co chcesz, chociaż wątpię, by miecz pozwolił, żebyś go zabrał.

— Mogę go obejrzeć?

— Tak. — Pokonując ból, Elryk przetoczył się ku skrajowi łóżka i wyłuskał olbrzymi miecz z otulającej go materii. Wykonany z czarnego lśniącego metalu, cały pokryty runami, które zdawały się drżeć i migotać, zdobienia miał misterne i wyraźnie dawnej roboty, niektóre tajemnicze, inne przedstawiały zwarte niby w walce smoki i demony. Stormbringer pochodził nie z tego świata, to było widać.

Chłopakowi mowę odebrało i cofnął się, jakby żałował, że w ogóle pomysł sprzedaży miecza przyszedł mu do głowy.

— Czy on jest żywy?

Elryk patrzył na miecz z mieszaniną obrzydzenia i czegoś na kształt zmysłowej czułości.

— Niektórzy powiadają, że posiada zarówno umysł, jak i wolną wolę. Inni twierdzą, że to demon, który popadł w niełaskę. Jeszcze inni wierzą, że uwięzione są w nim szczątki dusz wszystkich potępionych śmiertelników. Kiedyś, według starej legendy, pewnemu smokowi kazano zamieszkać w głowicy innego miecza... — Z niesmakiem odkrył, że czerpie sporą przyjemność z obserwowania narastającego przerażenia chłopca. — Czy nigdy jeszcze nie widziałeś niczego, co byłoby dziełem Chaosu, Anigh? Ani nikogo od Chaosu uzależnionego? Jego niewolnika, na przykład? — Zanurzył długą białą dłoń w mętnej wodzie i zwilżył wargi. Jego czerwone oczy migotały niczym gasnące węgle. — Podczas moich podróży słyszałem, jak niektórzy rozpoznawali w tym ostrzu osobisty oręż Ariocha, zdolny do rozdarcia muru pomiędzy Sferami. Inni, umierając pod jego ciosem, widzieli w nim żywą istotę. Uważa się także, że jest to przedstawiciel rasy żyjącej w innym wymiarze, i może, gdyby zapragnął, przywołać nawet milion swych braci. Słyszysz, jak to brzmi, Anigh? Czy to zachęci i omota pospólstwo na targu? — Spomiędzy bladych warg wydobył się dźwięk, który nie był śmiechem, zdradzał jednak ponure rozbawienie Elryka.

Anigh pospiesznie wycofał się w półmrok i odchrząknął.

— Czy nazywasz to coś jakimś imieniem?

— Nazywam go Zwiastun Burzy, ale ludzie z Młodych Królestw znaleźli dla niego, i dla mnie zresztą też, inne jeszcze imię: Złodziej Dusz, bo i zaiste, wypił ich sporo.

— Jesteś Złodziejem Snów! — Anigh nie odrywał spojrzenia od ostrza. — Czemu nikt cię jeszcze nie zatrudnił?

— Nie znam tego określenia i nie wiem, kto mógłby zatrudnić „złodzieja snów”. — Elryk spojrział na chłopaka oczekując dalszych wyjaśnień, ale ten nadal wpatrywał się w miecz.

— Czy on wypije i moją duszę, panie?

— Jeśli tak postanowię. Jedyne, co mógłbym zrobić, aby choć na chwilę odzyskać siły, to pozwolić mu zabić ciebie i pewnie jeszcze kilku, a potem poczekać, aż miecz przekaże mi waszą energię. Później, bez wątpienia, mógłbym znaleźć rumaka i odjechać, najpewniej do Kwan.

Pomruk czarnego miecza narastał, jakby oręż wyrażał uznanie dla takich właśnie planów.

— Och, Garnek Indianit! — Anigh wstał, gotów w razie potrzeby do ucieczki. — To brzmi jak jedna z tych historii zapisanych na murach Mass’aboon. Takimi właśnie mieczami władali podobno ci, którzy przywiedli nas do zguby! Tak, tamci wodzowie mieli taki sam oręż. Nauczyciele mówili mi o tym w szkole. Byłem tam krótko, ale pamiętam, co opowiadali! — Zmarszczył czoło, wyglądając jak żywy dowód na poparcie tezy, iż zaiste warto uważać na lekcjach.

Elryk pożałował, że tak wystraszył chłopaka.

— Nie jestem skłonny, młodzieńcze, ratować swe życie za cenę odebrania życia komuś, kto nie uczynił mi żadnej krzywdy. Poniekąd przez to właśnie znalazłem się w tak kłopotliwym położeniu. Uratowałeś mnie, więc nie chcę cię zabić.

— Och, panie, ale ja się ciebie boję! — W przerażeniu użył języka dawniejszego jeszcze niż melnibonéański, a Elryk, który w trakcie studiów zajmował się i językami, błyskawicznie go rozpoznał.

— Gdzie nauczyłeś się tego języka zwanego opish? Zdziwienie przytłumiło na chwilę lęk.

— Tutaj zwą go po prostu rynsztokowym, to żargon złodziei, ich tajemna mowa. Ale sądzę, że w Nadsokor jest dość popularny.

— W Nadsokor owszem. — Elryk był tym wszystkim coraz bardziej zaintrygowany. Wyciągnął rękę, by uspokoić chłopaka, ale ów gest wystarczył, by Anigh zacharzał coś w przerażeniu, szarpnął się i nie czekając na ciąg dalszy, wybiegł z pokoju wybijając bosymi stopami szybki rytm na korytarzu i na wąskiej uliczce za oknem. Najwyraźniej nie oczekiwał ze strony Elryka niczego przyjaznego.

Pewny, że Anigh zniknął na dobre, Elryk posmutniał. Naprawdę żałował tylko jednego: że nie ujrzy już Cymoril, że nie wróci do Melniboné, by poślubić ją zgodnie z obietnicą. Ponowne objęcie Rubinowego Tronu nie liczyło się aż tak, zawsze

wahał się przed tą decyzją (i jak sądził, wahałby się w przyszłości), pomimo że była to przecież jego powinność. Czy może dlatego, świadomie i z rozmysłem, wybrał dla siebie nędzny los, by uciec przed odpowiedzialnością?

Chociaż jego krew ulegała powoli sile dziwnej infekcji, była jednak wciąż krwią jego przodków, a nie jest łatwo wyprzeć się swego urodzenia ni przeznaczenia. Miał nadzieję, że pod jego rządami Melniboné kiedyś przestanie być odizolowanym od świata, umierającym wspomnieniem po znienawidzonym imperium. Pragnął widzieć je jako siedzibę narodu odrodzonego, mocnego dość, by zaprowadzić na świecie pokój i sprawiedliwość, stać się oświeconym przykładem dla wszystkich innych.

Za szansę chociaż powrotu do Cymoril gotów był oddać nie tylko Czarny Miecz, jednak rozstanie ze Stormbringerem nie wydało mu się możliwe. Oręż ten był czymś więcej niż źródłem sił życiowych i bronią przeciwko wrogom. Był uosobieniem więzi łączącej Elryka z przodkami, z Chaosem. A jeśli oddawszy miecz dobrowolnie, nigdy już nie ujrzy Ariocha? Rozważając te sprawy, sprawy wagi równie wielkiej jak przeznaczenie, poczuł, że z wolna traci jasność myśli. Takie pytania najlepiej omijać z daleka.

— Cóż, może szaleństwo me i śmierć będzie właśnie tym, co uwolni Melniboné i pokrzyżuje plany jego starym nieprzyjaciołom.

Oddech wydawał się płytszy, a płuca już tak nie paliły, Elryk zaczynał nawet odczuwać chłód. Krew krążyła coraz wolniej, gdy spróbował wstać by podejść do prostego drewnianego stołu, gdzie leżały wszystkie jego skromne zapasy. Popatrzył jednak tylko na czerstwy chleb, skwaśniałe wino i pomarszczone kawałki suszonego mięsa, którego pochodzenia lepiej było nie dochodzić. Nie mógł się podnieść, nie był w stanie nawet się ruszyć, chociaż pragnął tego całą siłą woli. Gotów był przyjąć śmierć, jeśli nie ze spokojem, to przynajmniej, do pewnego stopnia, z godnością. Zapadając w pełne majaków zamyślenie, wspomniął chwilę, gdy zdecydował się opuścić Melniboné. Pamiętał, jak Cymoril zadrżała, pamiętał skrywaną radość Yyrkoona, pamiętał, co powiedział Rackhirowi, Wojownikowi Kapłanowi z Phum, który także pragnął odnaleźć Tanelorn.

Ciekawe, czy Rackhirowi, Czerwonemu Łucznikowi, lepiej powiodło się w poszukiwaniach, czy może leżał gdzieś, w innym zakątku tej rozległej pustyni, w strzępach zszarganego przez wiatr szkarłatnego stroju, ze skórą przysychającą z wolna do kości. Elryk z całego serca pragnął, by Rackhirowi udało się trafić do mitycznego miasta i by znalazł tam obiecany spokój. Potem powróciła tęsknota za Cymoril i Elryk załkał mimowolnie.

Wcześniej jeszcze rozważał, czy nie wezwać na pomoc Ariocha, patronującego mu Księcia Chaosu, nadal jednak nawet samo rozważanie takiej możliwości wywoływało w nim niechęć. Obawiał się, że mógłby stracić wówczas o wiele więcej niż samo życie. Za każdym razem, gdy siły ponadnaturalne zgadzały się go wesprzeć, wzmacniał się ich tajemniczy i niejednoznaczny związek z El-

rykiem. Zresztą to czysto akademickie rozważania, zauważył ironicznie Elryk. Ariocho okazywać zwykł ostatnio szczególne wahanie w kwestii udzielania pomocy. Najpewniej Yyrkoon dosłownie potraktował zadanie zastąpienia cesarza we wszystkim. . .

Wraz z tą myślą wrócił ból i tęsknota za Cymoril. Znow spróbował się podnieść. Plama słońca przesunęła się znacznie. Wydało mu się, że widzi Cymoril stojącą tuż przed nim. Po chwili zmieniała się w jedną z postaci Ariocho. Czy to może Księżę Chaosu bawił się z nim? Nawet teraz?

Elryk odszukał wzrokiem miecz, który zdawał się odrzucać jedwabne okrycie i szeptać jakieś ostrzeżenia, a może groźby.

Odwrócił głowę.

— Cymoril? — Przesunął oczami po smudze blasku, aż wzrok jego utkwił w błękitnym bezchmurnym niebie. Dostrzegał tam jakieś postaci przybierające kształty ludzi, zwierząt i demonów. Wszystkie nabierały wyrazistości, aż w końcu upodobniły się do jego przyjaciół. Znow pojawiła się Cymoril. — Kochana! — jęknął Elryk w desperacji.

Ujrzał Rackhira, Dyvim Tvara, nawet Yyrkoona. Przyzywał ich głośno.

Brzmienie własnego chrapliwego głosu go otrzeźwiło. Pomyślał, że gorączkuje tracąc resztki sił na jałowe rojenia i że jego tkanki zaczynają trawić same siebie, a zatem śmierć musi już być blisko.

Dotknął czoła wyczuwając wilgoć oblewającego go potu. Zastanowił się, jaką cenę mogłaby jedna taka kropla osiągnąć na wolnym rynku. Rozbawiło go to. Czy za pot otrzymałby więcej wody, a przynajmniej trochę wina? A może sprzedaż takiego towaru, płynu ostatecznie, była sprzeczna z surowymi prawami Quarzhasaat?

Rzucił okiem dalej, poza smugę światła, i wydało mu się, że widzi tam mężczyznę. Najpewniej to strażnik miejski przyszedł sprawdzić, czy gość ma pośród innych zezwoleń takie zezwolenie na oddychanie.

Z kolei miał wrażenie, że przez pokój przemknął pustylny wiatr, wiatr, którego w Quarzhasaat nigdy nie trzeba było daleko szukać, przynosząc ze sobą pierwotną siłę, może tę właśnie, mającą pozwolić duszy cesarza udać się ku miejscu ostatniego przeznaczenia. Elryk się uśmiechnął. Cieszyło go poniekąd, że oto nadchodzi kres zmagania. Może Cymoril dołączy wkrótce do niego?

Wkrótce? Cóż mógł znaczyć czas w beczasowych wymiarach? A może będzie musiał czekać całą wieczność, nim znowu się połączą? Lub tylko chwilę? A jeśli nigdy już jej nie ujrzy? A jeśli wszystko, co go czeka, to pustka i nicość? Lub może jego dusza wniknie w nowe ciało, równie chore jak obecne, i ponownie przyjdzie mu stawić czoło tym samym nierozwiązywalnym problemom, tym samym przerażającym moralnym dylematom i fizycznym cierpieniom, które ścigały go, odkąd stał się dorosły?

Myśli Elryka dryfowały, zupełnie jak zmyte z brzegu przez falę powodzi zwie-

rzę miotające się rozpaczliwie w oczekiwaniu na śmierć. Chichotał, łkał i mąjaczył przysypiając chwilami, a tymczasem życie wyciekało z jego osobliwego, białego jak kość ciała wraz z przedśmiertnymi potami. Gdyby ktoś obcy ujrzał go w tej chwili, byłby przekonany, że to nie człowiek rzuca się na pryczy w agonii, ale okaleczona chora bestia.

Zapał zmrok, a wraz z nim nadeszła parada postaci, które przewinięły się w przeszłości przez życie albinosa. Czarnoksiężnicy, którzy kształcili go w sztukach magicznych; matka, obca i nigdy nie poznana i takież ojciec; okrutni przyjaciele z dzieciństwa, którzy sprawili, że nie uprawiał okrutnych sportów typowych dla Melniboné; jaskinie i polany Smoczey Wyspy, smukłe wieże i baśniowe pałace nieludzkiej rasy, której przodkowie przybyli z innego świata i zmienili się w pełne tajemniczego piękna stwory cieszące się zwycięstwami i władzą. Elryk zdawał sobie sprawę, że to wyczerpanie przywołuje wizje skryte gdzieś w głębi jego umysłu. Krzyknął, ujrzawszy w myślach zmasakrowaną Cymoril, nad ciałem której chichoczący upiornie Yyrkoon odprawiał najbardziej odpychające rytuały. A potem raz jeszcze zapragnął żyć, zapragnął wrócić do Melniboné, uratować kobietę ukochaną tak bardzo, że nierzadko sam przez sobą nie chciał przyznać się do siły tego uczucia. Ale to były mrzonki. Gdy zjawy odeszły i za oknem pojawiło się ciemnogrnatowe niebo, Elryk zrozumiał, że niedługo umrze i nie uratuje już kobiety, którą przysiągł poślubić.

Nad ranem gorączka opadła. Tylko parę godzin dzieliło go od śmierci. Gdy otworzył zamglone oczy, ujrzał pierwsze nieśmiałe, złociste promienie słońca, które nie zaglądało jak wczoraj, wprost do pokoju, ale odbijało się od lśniących murów pałacu naprzeciw zajazdu.

Czując nagły chłód na popękanych wargach, odwrócił głowę i spróbował dosięgnąć miecza. Wydało mu się, że Ostrze Przymierza celuje w niego, najpewniej po to, by poderżnąć mu gardło.

— Zwiastunie Burzy. . .

Jego głos był cichy, a ręka zbyt słaba, by unieść się ponad posłanie, a co dopiero dosięgnąć oręża. Zakaszłał, czuł, że do gardła sączy mu się jakiś płyn. Nie była to mulista ciecz, którą kupił, ale coś czystego i świeżego. Pił więc, starając się za wszelką cenę dojrzeć cokolwiek poprzez mgłę przesłaniającą świat. Tuż przez oczami zobaczył płaską manierkę ze srebra, całą w zdobieniach, złocistą pulchną dłoń, dalej ramię spowite w kosztowny i delikatny brokat, a wyżej komiczną twarz kogoś, kogo nie znał. Znów zakaszłał. Ten płyn to nie była zwykła woda. Może chłopak znalazł jakiegoś litościwego medyka? Napój przypominał te, które sam kiedyś destylował. Elryk zaczerpnął z wysiłkiem powietrza i z wdzięcznością popatrzył na dziwnego człowieka, który wskrzesił go chociaż na parę chwil. Ten odstał z uśmiechem o krok, poruszając się w ciężkim stroju z wystudiowaną elegancją.

— Witam cię, panie Złodzieju. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Słysza-

łem, że jesteś mieszkańcem Nadsokor, gdzie praktykuje się z dumą wszelkie możliwe odmiany kradzieży?

Zdając sobie sprawę z delikatności sytuacji, Elryk uznał, że najlepiej będzie się nie sprzeciwiać. Przytaknął powoli. Wciąż czuł się obolały.

Wysoki, gładko ogolony mężczyzna zamknął butelkę.

— Ten chłopak, Anigh, mówił mi, że masz miecz do sprzedania?

— Może. — Wiedząc już, że poprawa była tylko chwilowa, Elryk nadal wolał zachować ostrożność. — Chociaż sądzę, że mało kto z radością przystałby na taką transakcję...

— Bo na co dzień to nie mieczami handlujesz, co? Najpewniej zgubiłeś gdzieś swój złodziejski kij. A może sprzedałeś go za wodę? — Obcy spojrział ze zrozumieniem na księcia.

Elryk postanowił zgadzać się w wszystkim z przybyszem i nie płoszyć świta-
jącej nadziei na przeżycie. Napój wzmacnił go na tyle, by powróciła jasność myśli i świadomość słabości.

— Tak — odparł. — Może.

— Cóż to? Czy to własną głupotę i nieudolność mi zachwalasz? Czy to metoda Związku Złodziei z Nadsokor? A może chcesz powiedzieć, że jesteś bardziej przebiegły, niż się wydaje? — Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane w tym samym żargonie, którego poprzedniego dnia użył Anigh.

Elryk pojął, że ten bogaty mężczyzna jednoznacznie określił, za kogo uważa albinosa i czego od niego oczekuje. W tych okolicznościach dawało to szansę na poprawę położenia. Elryk zdwoił czujność.

— Chcesz kupić moje usługi, jak rozumiem? Interesują cię moje specyficzne umiejętności? Moje albo i mojego miecza?

Mężczyzna udał obojętność.

— Myśl, co chcesz. — Było jednak oczywiste, że zależy mu na czasie. — Mam ci tylko przekazać, że już niedługo Krwawy Księżyc zapłonie nad Spizowym Namiotem.

— Rozumiem. — Elryk udał, że ten bezsensowny zlepek słów wywarł na nim szczególne wrażenie. — A zatem dobrze będzie zapewne, jeśli się pospieszymy.

— Tak też sądzi mój pan. Dla mnie to nic nie znaczy, ale ty wyraźnie wiesz, o co chodzi. Kazano mi dać ci drugi łyk napoju, jeśli zrozumiesz tę wiadomość. Proszę. — Z jeszcze szerszym uśmiechem wyciągnął znów manierkę, którą Elryk przyjął chętnie, czując, jak wracają mu siły i ból łagodnieje.

— Twój pan chce wynająć złodzieja? Cóż takiego pragnie mieć, czego nie mogą dlań zdobyć złodzieje z Quarzhasaat?

— Nie do wiary, że potrafisz wyrażać myśli tak dosłownie i szczerze. — Wziął z powrotem manierkę. — Jestem Raafi as-Keeme i służę jednemu z wielkich tego cesarstwa. Sądzę, że ma on dla ciebie zlecenie. Wiele słyszeliśmy o talentach

Nadskorian i żywiliśmy nadzieję, że któryś zabłądzi w te strony. Czy zamierzałeś nas okradać? Nikomu się jeszcze nie udało. Chyba lepiej już kraść dla nas.

— Zapewne to dobra rada. — Elryk podniósł się i opuścił stopy na posadzkę. Działanie eliksiru zaczynało znów słabnąć. — Czy zechcesz, panie, powiedzieć mi w zarysach, jakie czeka mnie zadanie? — Wyciągnął rękę po manierkę, ale Raafi as-Keeme schował ją do rękawa.

— Nawet ze szczegółami, panie, ale dopiero wtedy, gdy dowiemy się czegoś o tobie. Chłopak mówił, że kradniesz więcej niż klejnoty. Dusze, podobno.

Elryk zaniepokoił się i spojrzał podejrzliwie na mężczyznę, którego twarz pozostała niewzruszona.

— W pewnym sensie można to tak określić. . .

— Dobrze. Mój pan pragnie skorzystać z twoich usług. Jeśli ci się uda, dostaniesz beczkę tego eliksiru, a to ci wystarczy, by dotrzeć do Młodych Królestw lub gdziekolwiek zapragniesz.

— Proponujesz mi, panie, moje życie — powiedział powoli Elryk — i jestem gotów zapłacić tyle, ile ono jest warte.

— Widzę, że masz w sobie również żyłkę kupiecką i wiesz, jak ustalać cenę. Sądzę, że dobijemy targu. Czy zechcesz udać się teraz ze mną do pałacu?

Elryk ujął z uśmiechem Zwiastuna Burzy w obie dłonie i usiadł na łóżku, opierając się o zalaną słońcem ścianę. Ułożywszy miecz na kolanach, zaprosił gościa szerokim gestem, by usiadł obok.

— Czy nie wolałbyś poczekać jeszcze i zapoznać się z tym, co mam do zaoferowania, panie?

Bogato ubrany mężczyzna pokręcił z namysłem głową.

— Chyba nie. Z pewnością przywykłeś to tego smrodu i do woni własnego ciała, ale zapewniam cię, że dla kogoś nieprzyzwyczajonego nie są to zapachy miłe.

Elryk roześmiał się. Wstał, przypasał pochwę z czarnej skóry i schował do niej miecz.

— A zatem prowadź, panie. Przyznam, że ciekaw jestem, na jakie to szczególne ryzyko mam się wystawić, skoro żaden z waszych złodziei nie daje się skusić pomimo nagród godnych władcy Quarzhasaat.

W myślach jednak zgodził się już na wszelkie warunki. Za drugim razem nie pozwoli, by jego życie zostało tak łatwo zagrożone. Przynajmniej tyle, jak uznał, winien był Cymoril.

Rozdział 2

PERŁA W SERCU ŚWIATA

Lord Gho Fhaazi przyjął gościa w komnacie zalanej łagodnym blaskiem sączącym się smugami świetlistego pyłu przez kratownicę pokrywającą ozdobny dach zamku zwanego Goshasiz, budowli, której mury nosiły ślady działania czegoś o wiele bardziej złowrogiego niż czas. Gospodarz uraczył Elryka znanym już, tajemniczym eliksirem oraz potrawami równie wspaniałymi i kosztownymi jak wszystko, co znajdowało się w pałacu.

Wykapany i przebrany w świeże szaty, Elryk zmienił się nie do poznania. Granatowe i zielone jedwabie podkreślały biel jego skóry i długich, gładkich włosów. Pochwa z mieczem stała oparta o rzeźbione oparcie krzesła dość blisko, by sięgnąć po oręż w przypadku, gdyby zaproszenie okazało się sprytnie pomyślaną pułapką.

Strój lorda Gho Fhaazi był skromny i gustowny. Czarne włosy i broda spływały na pierś parą symetrycznych kędzierzawych strug, długie wąsy sterczały namaszczone, ciężkie brwi jaśniały ponad bladezielonymi oczami. Sztucznie rozjaśniona skóra przypominała odcieniem karnację Elryka, wargi błyskały jaskrawoczerwoną szminką. Siedział tyłem do światła, przy drugim końcu stołu, który obniżał się łagodnie w kierunku gościa. Kojarzył się nieodparcie z sędzią mającym zaraz wydać wyrok na złoczyńcę.

Na Elryku takie przyjęcie nie zrobiło żadnego wrażenia. Sam gospodarz był dosyć młody, około trzydziestki, i miał miły, lekko piskliwy głos. Pulchnymi palcami wskazał talerze pełne ułożonych na liściach mięty fig i daktyli oraz szarańczy w miodzie, podsunął Elrykowi manierkę z eliksirem. Starał się okazać największą gościnność, lecz było widać, że na co dzień do stołu podają jednak u niego służący.

— Jeszcze, kochany. Skosztuj i tego. — Wyraźnie nie wiedział, jak postępować z Elrykiem, który budził w nim niejasny niepokój. Oczywiście było, że czeka niecierpliwie chwili, kiedy wreszcie będzie mógł przejść do omawiania sprawy. — Czy może brakuje tu jeszcze jakiejś twojej ulubionej potrawy?

— Jestem twoim dłużnikiem, lordzie Gho. — Elryk otarł usta żółtą serwetką.
— Nie jadłem tak dobrze od czasu opuszczenia Młodych Królestw.

— Aha. Słyszałem, że opływają tam żywność.

— Podobnie jak mieszkańcy Quarzhasaat w diamenty. Czy byłeś kiedyś w Królestwach, panie?

— Nie odczuwamy skłonności do podróżowania — odparł lord Gho z niejakim zdziwieniem. — Cóż takiego może istnieć w dalekim świecie, co mogło by budzić nasze pożądanie?

Elryk pomyślał, że ta postawa właściwa jest chyba wszystkim mieszkańcom Quarzhasaat, niezależnie od urodzenia. Wziął jeszcze jedną figę i przeżuwał ją powoli, aby wydobyć z mięszu soczystą słodycz, spojrzął na lorda Gho.

— Skąd wiesz, panie, o zwyczajach Nadsokor?

— My nie podróżujemy, ale oczywiście, czasem ktoś przybywa do nas, chociażby z karawanami zdążającymi do Kaarlaak czy gdzieś indziej. Czasem ktoś przywiezie zbiegłego niewolnika. Wszyscy oni opowiadają wiele zdumiewających kłamstw! — Roześmiał się pobłaźliwie. — Ale bez wątpienia w niektórych kłamstwach tkwi ziarno prawdy. I tak, choć Złodzieje Snów są tajemniczym klanem i niewiele wiadomo o ich pochodzeniu, słyszeliśmy, że w Nadsokor rabusie wszelkiej maści są cenieni bardzo wysoko i wystarczyło tylko pomyśleć chwilę, by wyciągnąć właściwe wnioski. . .

— Szczególnie jeśli pozostaje się w błogosławionej niewiedzy na temat innych krajów i narodów. — Uśmiechnął się Elryk.

Lord Gho Fhaazi albo nie rozpoznał ironii w głosie Elryka, albo, co bardziej prawdopodobne, postanowił zignorować uwagę.

— Czy urodziłeś się w Nadsokor, czy tylko tam mieszkasz? — spytał.

— Raczej rzadko, czasami — odparł zgodnie z prawdą Elryk.

— Jesteś zadziwiająco podobny do mieszkańców Melniboné, tych, których chciwość przywiodła nas do obecnego stanu. Czy miałeś ich pośród swoich przodków?

— Bez wątpienia. — Elryka zastanowiło, dlaczego lord Gho nie uznał za stosowne wyciągnąć najbardziej narzucającego się wniosku. — Czy nadal żywicie nienawiść do mieszkańców Smoczej Wyspy?

— Za ich zakusy na nasze cesarstwo? Zapewne tak, ale Smocza Wyspa za sprawą naszych czarów pogrążyła się już dawno w morzu i ślad nie został po imperium. Czemuż mielibyśmy zwracać sobie głowy wymarłą rasą, która została już ukarana za swe nieczne czyny?

— W rzeczy samej. — Najwyraźniej całe wieki usprawiedliwiania najpierw porażki, a potem bierności doprowadziły do tego, iż legendy uznane zostały w Quarzhasaat za szczerą prawdę. Tym samym — Elryk nie mógł przybyć z Melniboné, bowiem Melniboné nie istniało. . . Zyskał nadzieję na uniknięcie przynajmniej niektórych kłopotów. Co więcej, ci ludzie żywili tak małą ciekawość świata, że na-

wet lord Gho, raz ustaliwszy pochodzenie Elryka, nie odczuwał potrzeby dalszych indagacji. Wielka jest potęga ludzkiego umysłu, stwierdził Elryk, gdy przychodzi do budowania świata w wyobraźni i przekształcania go w świat rzeczywisty.

Najważniejszą sprawą było teraz dowiedzieć się, w jakim właściwie charakterze i do jakiego zadania zamierzał zatrudnić go lord Gho.

Szlachcic obmył tymczasem perfumowaną wodą brodę, ostentacyjnie rozchlapując na pokrytej mozaiką podłodze krople wilgoci.

— Służący powiedział mi, że zrozumiałeś jego słowa — powiedział, wycierając usta cienkim ręcznikiem. Znow dało się zauważyć, że i to czynili zwykle służący, tym jednak razem lord wołał obsłużyć się sam. Być może, lękał się niepożądanych uszu przy tej rozmowie. — Dokładnie rzecz biorąc, proroctwo brzmi nieco inaczej. Znasz je?

— Nie — powiedział szczerze Elryk, zastanawiając się, co będzie, gdy lord Gho dowie się, że Elryk nie ma najmniejszego pojęcia o swym zadaniu.

— Gdy Krwawy Księżyc zapłonie nad Spizowym Namiotem, wówczas otworzy się Droga do Perły.

— Ach. Właśnie.

— Nomadzi powiedzieli, że Krwawy Księżyc pokaże się nad górami na niecały tydzień. I załśni nad Perłowymi Wodami.

— Dokładnie.

— I tym samym, rzecz jasna, odkryje się droga do Fortecy.

Elryk przytaknął, jakby zgadzał się ze wszystkim.

— A ktoś taki jak ty, dysponujący mocami ludzkimi i nadnaturalnymi zarazem, kto potrafi przenikać pomiędzy tym i tamtym światem, kto zna ścieżki wiodące skrajem snu i przebudzenia, może przedrzeć się przez zapory, pokonać strażników i ukraść Perłę! — krzyknął lord Gho głosem pełnym mrocznego pożądanego.

— Zaiste — stwierdził cesarz Melniboné.

Lord Gho uznał milkliwość Elryka za wyraz uznania.

— Skradniesz dla mnie Perłę, panie Złodzieju?

Elryk udał głębokie zastanowienie.

— Skłonny jestem przypuszczać, że z tym zadaniem może wiązać się niejakie ryzyko.

— Oczywiście, oczywiście. Jesteśmy przekonani, że nikomu prócz kogoś twojego fachu nie uda się nawet wejść do Fortecy, o zdobyciu Perły nie mówiąc!

— A gdzie leży Perłowa Forteca?

— Przypuszczam, że w Sercu Świata.

Elryk zmarszczył brwi.

— Koniec końców — zniecierpliwił się lord Gho — ten klejnot znany jest jako Perła w Sercu Świata, prawda?

— Wszystko to pojmuję — powiedział Elryk, zwalczając chęć, by podrapać się w tył głowy. Sięgnął raz jeszcze po eliksir, chociaż czuł coraz większe zaniepokojenie zarówno tonem tej rozmowy, jak i faktem, że bezbarwny płyn smakował mu coraz bardziej. — Ale z pewnością są jakieś sposoby...?

— To już twoja sprawa, panie Złodzieju. Najpierw, oczywiście, musisz udać się do Oazy Srebrnego Kwiatu. Nomadzi spotkają się tam teraz na jednym ze swoich zebrań, jest ono związane niewątpliwie w jakiś sposób z Krwawym Księżycem. Bardzo prawdopodobne, że tam właśnie otworzy się przed tobą droga. O Oazie naturalnie słyszałeś.

— Lecz nie mam mapy — stwierdził Elryk jakby z zażenowaniem.

— Mapę dostaniesz. Nigdy nie podróżowałeś Czerwoną Droga?

— Jak już wspomniałem, odwiedzam wasze cesarstwo po raz pierwszy, lordzie Gho.

— Ale geografia i historia twojego kraju muszą być przecież powiązane z naszymi!

— Obawiam się, że Młode Królestwa pozostawały tak długo pod mrocznym wpływem Melniboné, że ignorancja stała się w nich cenniejsza od nauki.

— No tak — lord Gho uniósł jasne brwi. — Oczywiście, nie mogło być inaczej. No dobrze, panie Złodzieju, damy ci mapę. Niemniej Czerwona Droga wiedzie prosto z Quarzhasaat do Oazy Srebrnego Kwiatu, a dalej są już tylko góry, które nomadzi nazywają Strzępiastymi Filarami. Góry cię nie interesują. Droga do Perły powinna pokonać je za ciebie, przynajmniej tak sędzę. To bardzo tajemnicza droga, zauważ, której nie znajdziesz na żadnej zwykłej mapie. W każdym razie my takiej nie mamy, a nasze biblioteki są najzasobniejszymi na świecie.

Elryk zdecydowany był wyciągnąć wszelkie możliwe korzyści z odroczenia wyroku śmierci, nawet ciągnąc tę farsę tak długo, aż uda mu się opuścić Quarzhasaat z realnymi widokami na dotarcie do Młodych Królestw.

— No i będę potrzebował wierzchowca. Mam nadzieję, że dostanę konia?

— Najlepszego. Czy będziesz musiał odkupić swój kij? Czy to może tylko rodzaj znaku twego rzemiosła?

— Znajdę sobie nowy.

— Jak chcesz, panie Złodzieju. — Lord Gho pogładził wypielegnowaną brodę.

Elryk spróbował zmienić temat.

— Nic jeszcze nie usłyszałem o mojej zapłacie. — Wychylił puchar, który lord Gho ponownie niezgrabnie napełnił.

— A ile zwykle żądasz?

— Cóż, to nie jest zwykle zadanie. — Elryk zaczynał być rozbawiony sytuacją. — Sam rozumiesz, panie, że nawet w Młodych Królestwach nie mam wielu równych sobie w tym fachu, tutaj zaś...

— Jeśli przyniesiesz mi tę właśnie Perłę, panie Złodzieju, obsypię cię wszelkim bogactwem i będzie tego dość, abyś został jednym z najmożniejszych, przynajmniej w Młodych Królestwach. Otrzymasz wszystko, co potrzeba szlachetnie urodzonemu. Szaty, klejnoty, pałac, niewolników. Lub, jeśli zapragniesz dalej podróżować, dam ci karawanę, za którą będziesz mógł wykupić w Młodych Królestwach cały kraj. Zostaniesz księciem, a może nawet królem!

— Kuszące perspektywy — mruknął cesarz.

— Dodaj do tego wszystko, co już na ciebie wydałem i wydam jeszcze, a uznasz, że proponuję ci szczodre wynagrodzenie!

— Hojne, bez wątpienia. — Elryk zmarszczył czoło i rozejrzał się po wielkiej komnacie wyłożonej mozaikami ze szlachetnych kamieni, zdobnej w draperie, rzeźbione filary i gzymsy. Czuł, że oczekuje się po nim targowania i nie zamierzał zawieść gospodarza. — Ale jeśli wziąć pod uwagę prawdziwą wartość Perły i to, co ona będzie tu znaczyć dla ciebie, to musisz przyznać, że chcesz ją mieć całkiem tanio.

Lord Gho Fhaazi wyglądał na rozbawionego.

— Perła zapewni mi miejsce w Radzie Sześciu, gdzie szykuje się wolne miejsce. Bezimienny Siódmy ogłosił, że ceną za zajęcie tego miejsca jest właśnie Perła. Oto czemu muszę ją mieć, i to jak najszybciej. Już obiecałem. Tyle chyba sam się domyślasz. Oczywiście mam konkurentów, ale żaden nie oferuje aż tyle.

— A czy owi konkurenci wiedzą o twoich zamiarach?

— Bez wątpienia krążą już jakieś plotki. Ostrzegam cię jednak, byś zachował tajemnicę co do istoty twego zadania. . .

— Nie obawiasz się, że mogę poszukać w mieście lepszej oferty?

— Owszem, ktoś mógłby ci obiecać więcej, gdybyś okazał się chciwy i nielojalny. Ale oni nie dadzą ci tego, co mogę dać ja, panie Złodzieju — skrzywił się ironicznie lord Gho Fhaazi.

— A to czemu? — Elryk poczuł, że szykuje się coś złego i odruchowo sięgnął po miecz.

— Bo tego nie mają. — Lord Gho pchnął manierkę w kierunku Elryka, który ze zdziwieniem stwierdził, że zdążył już osuszyć następny puchar eliksiru. Napełnił naczynie ponownie i niespiesznie, w zamyśleniu sączył płyn. Prawda zaczęła powoli doń docierać i nie była to miła prawda.

— Cóż może być równie niedostępne jak Perła? — Albinos odstawił puchar. Chyba już wiedział.

Lord Gho przypatrywał mu się z uwagą.

— Mam wrażenie, że nie muszę odpowiadać. — Znów się uśmiechnął.

— Tak. — Elryk stracił pewność siebie. Czuł ogarniający go strach zmieszany z gniewem. — To eliksir. . .

— Och, zrobić go jest stosunkowo łatwo. To, oczywiście, trucizna, która wysącza z człowieka wszelkie życie, dając w zamian jedynie pozory witalności.

W końcu nie zostaje już nic i przychodzi śmierć, dość nieprzyjemna. Cóż ona potrafi w tydzień, lub coś koło tego, uczynić z mężczyzn i kobiet, którzy dopiero co twierdzili, że gotowi są zawładnąć światem! — Lord Gho roześmiał się, a kędziory zatańczyły wkoło jego twarzy. — Ale nawet umierając błagają o jeszcze kroplę tego, co ich zabiło. Czy to nie ironia, panie Złodzieju? Cóż może być bardziej niedostępne, niż Perła? — spytałeś. Teraz już wiesz co. Czyjeś życie.

— A zatem umieram. Czemu niby miałbym ci służyć?

— Ponieważ, rzecz jasna, jest i antidotum. Coś, co oddaje wszystko, co eliksir zabrał, coś co przywraca zdrowie w ciągu paru dni i likwiduje uzależnienie. Widzisz zatem, panie Złodzieju, moja oferta wcale nie jest skromna. Mogę dać ci dość eliksiru, byś wypełnił zadanie i wrócił tu na czas, a otrzymasz antidotum. To chyba sporo?

Elryk wyprostował się na krześle i położył dłoń na głowicy Czarnego Miecza.

— Powiedziałem już twojemu wysłannikowi, że moje własne życie nie ma dla mnie aż takiej wartości. Z pewnością są rzeczy, które cenię wyżej.

— Domyślam się — powiedział lord Gho z okrutną jowialnością. — I szanuję twój system wartości, panie Złodzieju. Dobrze to powiedziałeś. Jest jednak jeszcze czyjeś życie, które można położyć na szali, prawda? Życie twojego współnika.

— Nie mam współnika, panie.

— Nie masz? Naprawdę nie masz, panie Złodzieju? Czy pozwolisz ze mną?

Wprawdzie Elryk nie ufał gospodarzowi, jednak podążył za nim przez wielkie rzeźbione drzwi. Uwieszony u pasa Zwiastun Burzy mruczał coś i wiercił się niczym podejrzliwy ogar.

Wyłożone zielonym, brązowym i złotym marmurem chłodne przejścia i korytarze wypełniał subtelny zapach leśnych kwiatów. Minąwszy salony, menażerie, akwaria, seraj i zbrojownię, dotarli do drewnianych odrzwi strzeżonych przez dwu żołnierzy w niepraktycznych, ciężkich od zdobień zbrojach typowych dla Quarzhasaat. Ich namaszczone brody ułożone były w nieregularne kształty. Widząc zbliżającego się lorda Gho, obaj zaprezentowali halabardy.

— Otwórzcie — rozkazał lord i jeden ze strażników wyjął spod napierśnika masywny klucz i umieścił go w zamku.

Za drzwiami rozciągał się mały podwórzec z nieczynną fontanną, małym krużgankiem i szeregiem kwater po przeciwległej stronie.

— Gdzie jesteś? Gdzie jesteś, mój mały? Pokaż się! Szybciej! — niecierpliwił się gospodarz.

Rozległ się szczeł metalu i zza drzwi wyłoniła się jakaś postać. W jednej dłoni ścisnęła kawałek owocu, w drugiej zebrała kilka pętli łańcucha. Szła powoli i z trudnością, bowiem łańcuch przymocowany był do obręczy zaciskającej się wokół bioder.

— Ach, panie — powiedział ów ktoś do Elryka. — Nie posłużyłeś mi ani po części tak dobrze, jak na to liczyłem.

— A może na to akurat sobie zasłużyłeś, Anigh? — uśmiechnął się smutno Elryk nie kryjąc gniewu. — Ale to nie ja cię uwięziłem, chłopcze. Chyba sam to sprawiłeś. Wziąłeś się za sprawy, które znający miarę człowiek omija z daleka.

— Dotarł do sługi Raafiego as-Keeme — powiedział lord Gho spoglądając na chłopca z niejakim zainteresowaniem — i zaproponował mu twoje usługi. Powiedział, że jest twoim agentem.

— Bo i poniekąd był — zgodził się Elryk współczując chłopakowi. — Chyba nie naruszył w ten sposób waszego prawa?

— Skądże. Był zresztą świętny w tej roli.

— To czemu go uwięziono?

— Kwestia ostrożności. Zgodzisz się chyba, panie Złodzieju?

— W innych okolicznościach podejrzewałbym, że z góry zamyślono tu jakąś podłość. — Stwierdził ostrożnie Elryk. — Ale znam cię, lordzie Gho, jako szlachcica. Z pewnością nie wykorzystałbyś tego chłopaka, by mnie szantażować. To byłoby niegodne ciebie.

— Mam nadzieję, że moje szlachectwo nie podlega dyskusji. Niemniej w obecnych czasach coraz mniej szlachty przestrzega kodeksu honorowego. Szczególnie gdy gra idzie o taką stawkę. Zgodzisz się chyba, chociaż sam jesteś szlachcicem, a nawet zapewne dżentelmenem.

— W Nadsokor uważają mnie za takiego — zauważył cicho Elryk.

— Ach, oczywiście, w Nadsokor. — Lord Gho wskazał na Anigha, który uśmiechając się nieśmiało, przenosił wzrok z jednego na drugiego, nic najwyraźniej nie rozumiejąc z rozmowy. — W Nadsokor z pewnością uznaliby za stosowne, by w podobnej sytuacji zatrzymać zakładnika.

— Ale to nie jest w porządku, panie — głos Elryka nabrzmiał był gniewem i wiele kosztowało księcia, by nie sięgnąć po Czarny Miecz. — Jeśli zginę w drodze do celu, ten chłopak umrze tak samo, jak gdybym uciekł.

— No cóż, kochany, to prawda. Widzisz, mam jednak nadzieję, że wrócisz. Jeśli nie, cóż, chłopak przyda mi się tak czy tak, żywy lub martwy.

Anigh już się nie uśmiechał. W jego oczach pojawiło się narastające przerażenie.

— Och, panowie!

— Ale przecież nic mu się nie stanie — lord Gho położył chłodną, upudrowaną dłoń na ramieniu Elryka — bo ty wrócisz z Perłą. Prawda?

Elryk zaczerpnął głęboko powietrza, próbując się opanować. Czuł, jak coś w nim narasta, coś, co trudno mu było nazwać. Była to żądza krwi? Czy nie chciał wyciągnąć miecza i zabić tego łotra?

— Mój panie, jeśli wypuścisz chłopca, zapewniam cię, że uczynię wszystko co w mej mocy... Przysięgnę...

— Dobry Złodzieju, Quarzhasaat pełne jest kobiet i mężczyzn gotowych złożyć wszelkie przyrzeczenie i na dodatek złożyć je szczerze. Przysięgną, co ze-

chcesz, na wszystko, co dla nich święte. Jeśli jednak sytuacja się zmieni, szybko zapomną, co przysięgali. Dobrze zatem zabezpieczyć się trochę, by móc przypomnieć zainteresowanym o zobowiązaniach. My zaś gramy o bardzo wysoką stawkę. Wyżej nie ma już na całym świecie. Miejsce w Radzie. — Ostatnie zdanie pozbawione było nawet cienia kpiny. Najwyraźniej dla lorda Gho Fhaazi rzeczywiście nie istniał wznioślejszy cel w życiu.

Pełen obrzydzenia dla wynaturzonych zasad i podłości lorda Gho, Elryk obrócił się do niego plecami.

— Zauważyłeś zapewne, Anigh — zwrócił się do chłopca, — że ci, którzy sprzymierzają się ze mną, nie mogą oczekiwać zbyt wiele od losu. Przed tym cię ostrzegam. Postaram się wrócić, by cię uratować. Póki co jednak — powiedział, przeszedłszy na żargon złodziejski — nie ufaj temu potworowi i nie rezygnuj z ucieczki, gdy nadarzy się taka sposobność.

— Dość tej gadaniny! — krzyknął nagle zaniepokojony lord Gho. — Przestańcie albo obaj zaraz umrzecie! — w odróżnieniu od swego wysłannika nie rozumiał żargonu.

— Nie czynisz mądrze, grożąc mi, lordzie Gho. — Elryk znów położył dłoń na rękojeści miecza.

— Co? — roześmiał się szlachcic. — Aleś wojowniczy! Czy nie rozumiałeś, panie Złodzieju, że eliksir już cię zabija? Masz trzy tygodnie, potem nawet antidotum ci nie pomoże! Czy nie czujesz, jak ciągnie cię, by napić się jeszcze? Gdyby takie napoje były niegroźne, to wszyscy byśmy ich używali, by zaznać boskiej mocy!

Elryk nie był pewien, czy to umysł, czy ciało było źródłem zmęczenia. Zresztą nawet gdyby uległ odruchowi i zabił gospodarza, wówczas pociąg do narkotyku mógł go w końcu opętać. Nawet gdy był bliski śmierci, nie pragnął niczego tak bardzo jak eliksiru. Targany dreszczami spróbował zapanować nad sobą.

— To już nie jest byle podłość, lordzie Gho — powiedział lodowatym głosem. — Moje gratulacje. Twoje upodobania należą do najgorszych i najbardziej okrutnych. Czy wszyscy, którzy służą Radzie, są tacy jak ty?

Pytanie wprowadziło szlachcica w jeszcze lepszy humor.

— Nieładnie, panie Złodzieju. Wszystko, co robię, to tylko dla upewnienia się, że przez pewien czas będziesz działał w moim interesie. — Zachichotał. — Inaczej mówiąc, zależy mi na tym, byś przez jakiś czas był równie zainteresowany sprawą jak ja sam. Cóż w tym złego? Podejrzewam, że nie przystoi wysokiej klasy złodziejowi obrażać szlachcica z Quarzhasaat tylko dlatego, że ten ostatni wie, jak ubić dobry interes!

Człowiek, którego z początku Elryk darzył zaledwie chłodną obojętnością, obecnie stawał się obiektem coraz żywiej pragnącej dojsć do głosu nienawiści. Ostatecznie książę zdołał opanować swe emocje i podejść do rzeczy znacznie spokojniej.

— Mówisz zatem, lordzie Gho, że jestem twoim niewolnikiem.

— Jeśli chcesz tak to widzieć. Przynajmniej do chwili, aż przyniesiesz mi Perłę.

— Jeżeli to zrobię, jaką mogę mieć pewność, że dasz mi antidotum?

— Na to pytanie sam musisz sobie odpowiedzieć. — Lord Gho wzruszył ramionami. — Jesteś całkiem niegłupi jak na przybysza z Młodych Królestw i tylko dzięki temu, sądzę, jeszcze żyjesz. Pamiętaj jednak, że trucizna jest warzona przez mnie osobiście i szukanie jej recepty gdzie indziej byłoby grubym błędem. Radzę ci, dotrzyмай naszej umowy, panie Złodzieju, a odejdziesz stąd jako nieprawdopodobnie bogaty człowiek. Razem z twym małym przyjacielem.

Elryk jasno widział śmieszność sytuacji, w jakiej się znalazł. Przecież teraz, gdy moc mu wróciła, nieważne że za sprawą podejrzanych napojów, byłby zdolny unicestwić nie tylko lorda Gho, ale nawet i całe miasto, gdyby zapragnął. Wyczuwając jego myśli Zwiastun Burzy zaczął wiercić się w pochwie, przyciągając zaniepokojone spojrzenia gospodarza. Lecz Elryk nie pragnął ani swojej śmierci, ani śmierci Anigha. Postanowił zyskać na czasie udając, że oddaje się w służbę lordowi Gho, przynajmniej do chwili gdy dowie się więcej o tym człowieku i jego ambicjach oraz o narkotyku, którego pragnął coraz bardziej. Może eliksir nie zabija, może jest na tyle powszechny w Quarzhasaat, że wielu posiada odtrutkę. Jednak jedynym jego przyjacielem w tym mieście był Anigh, nie zdolny przecież stawić czoła komuś takiemu, jak lord Gho.

— Przypuśćmy — powiedział Elryk — że nie obchodzi mnie, co stanie się z chłopcem.

— Och, chyba poznałem już twój charakter na tyle, panie Złodzieju, by wiedzieć, że jesteście jak nomadzi. Nomadzi zaś podobni są do ludzi z Młodych Królestw, którzy osobiście wysoko cenią sobie życie bliskich osób. Są sentymentalni i dość słabi, by skazywać się na lojalność.

Elryk mimowolnie zastanowił się nad ironią losu: Melnibonéańczycy uważali, że wyrosli ponad wszelkie lojalności, i tylko księcia oraz paru jemu podobnych obchodził los osób nie należących do najbliższej rodziny, a mimo to drogich. Opuścił Melniboné — a trafił do takiego samego kraju. Los najwyraźniej postanowił udzielić mu kolejnej lekcji. Westchnął. Pozostawało mieć nadzieję, że nie zabiją chłopaka.

— Jeśli po moim powrocie stwierdzą, że chłopcu stała się krzywda, lordzie Gho, jakakolwiek krzywda, sprawię, że będziesz cierpieć po tysiackroć gorsze katusze niż te, które zamierzyłeś sprawić jemu. — Spojrzał roziskrzonymi oczami na arystokratę, któremu zdało się, że dostrzega na dnie źrenic żywe ognie piekielne.

Lord Gho zdrzął, ale ukrył strach pod maską uśmiešku.

— Nie, nie, nie! — rzucił, marszcząc czoło. — Nie będziesz mi groził! Wyjaśniłem już wszystkie warunki, a do gróźb, ostrzegam cię, panie Złodzieju, nie przywykłem!

Elryk roześmiał się, a płomień w jego oczach rozgorzał jeszcze jaśniej.

— Sprawię, że przywykniesz do wszystkiego, do czego przyzwyczajasz innych, lordzie Gho. Cokolwiek się stanie, chłopca nie ma prawa spotkać żadna krzywda! Rozumiesz mnie?

— Powiedziałem ci już...

— A ja cię ostrzegłem. — Elryk opuścił powieki, jakby zatrząskiwiał wrota prowadzące do otchłani Chaosu, ale lord Gho i tak odstał o krok. Głos Elryka był niczym lodowaty powiew. — Wykorzystam wszelkie moce, które są na moje rozkazy, aby się zemścić. Nic mnie nie powstrzyma. Ani twoje bogactwo, ani nawet twoja śmierć.

Tym razem lord Gho nie zdołał przywołać uśmiechu.

Anigh ożywił się nagle, znów przypominając pogodnego dzieciaka, którym był jeszcze niedawno. Najwyraźniej uwierzył w słowa albinosa.

Elryk przysunął się do lorda Gho niczym głodny tygrys, zachwiał się jednak i ciężko złapał powietrze. Eliksir tracił moc, może zresztą wymagał innego dawkowania, trudno było powiedzieć. Książę nie doświadczył czegoś takiego nigdy dotąd; pragnął następnego łyku, w brzuchu zaś i w piersi szalał ból, jakby głodny szczur przegryzał mu wnętrzności.

Lordowi Gho od razu wrócił dobry humor.

— Odrzuć moją propozycję, a umrzesz. Nie ma rady na to. Osobiście doradzam nieco więcej uprzejmości, panie Złodzieju.

Elryk wyprostował się z godnością.

— Tyle winienesz wiedzieć, lordzie Gho Fhaazi, że jeśli naruszysz jakkolwiek warunek naszej umowy, wówczas dotrzymam słowa i sprowadzę takie klęski na ciebie i twoje miasto, że pożałujesz, iż kiedykolwiek o mnie usłyszałeś. Zanim zaś umrzesz, poznasz jeszcze moje prawdziwe imię, a wraz z tobą umrą wówczas i twoje miasto, i jego zepsuci mieszkańcy.

Gospodarz chciał coś odpowiedzieć, ale zacisnął wargi, by po chwili rzucić jedynie:

— Masz trzy tygodnie.

Przywołując pozostałe mu siły, Elryk wyciągnął Zwiastuna Burzy. Czarny metal pulsował rozsiewając wkoło mroczny blask, pokrywające zaś ostrze runy tańczyły i skręcały się mruczając przejmującą odrazą pieśń, która wracała na podwórzec odbita echem od wież i minaretów Quarzhasaat.

— Ten miecz wypija dusze, lordzie Gho. Mógłby wypić i twoją, dając mi więcej mocy niż jakkolwiek eliksir. Chwilowo masz nade mną przewagę i zgadzam się na warunki, które dyktujesz. Jeśli jednak skłamiesz...

— Ale ja nie kłamię! — Lord Gho schronił się po drugiej stronie nieczynnej fontanny. — Nie, panie Złodzieju, ja nie kłamię! Zrób, co mówię. Przynieś mi Perłę, a ja wynagrodzę cię obiecany bogactwem, darowując ci i twoje życie i życie tego chłopca!

Czarny Miecz zaskowyczał, wyraźnie domagając się duszy szlachcica teraz i tutaj. Anigh uciekł z krzykiem do kwatery.

— Wyruszę rano. — Z wahaniem Elryk schował miecz. — Powiesz mi, która brama miejska wyprowadzi mnie na Czerwoną Drogę i jak potem dotrzeć do Oazy Srebrnego Kwiatu. Będę jeszcze chciał szczerzej porady, jak najlepiej dawkować eliksir.

— Proszę — powiedział lord Gho z nerwową gorliwością. — W sali jest go więcej. Czeka na ciebie. Nie mam zamiaru psuć naszego pierwszego spotkania pokazem złych manier. . .

Elryk oblizwał wargi; już teraz czuł nieprzyjemną suchość. Przystanął, spoglądając na drzwi, zza których wyglądała twarz chłopca.

— Proszę za mną, panie Złodzieju. — Gospodarz objął Elryka ramieniem. — Tam. Więcej eliksiru. W każdej chwili. Pragniesz go, prawda?

To była prawda, pobudzony jednak wściekłością Elryk opanował pragnienie.

— Anigh! Młodzieńcze! — zawołał.

— Tak, panie. — Chłopiec pojawił się niepewnie w polu widzenia.

— Przysięgam, że nie zaznasz za moją sprawą żadnej krzywdy. Ten łotr rozumie już, że jeżeli zrobi ci coś pod moją nieobecność, wówczas umrze w męczarniach. Póki co jednak, musisz zapamiętać wszystko, co ci powiedziałem, bo nie wiem, gdzie ta przygoda mnie zaprowadzi. — W żargonie dodał zaś jeszcze: — Najpewniej do śmierci.

— Domyślam się — odparł Anigh w tym samym języku. — Ale błagam cię, panie, nie giń. Naprawdę mi zależy, abyś pozostał przy życiu.

— Dość tego! — Lord Gho przeszedł przez podwórzec dając znak Elrykowi, by podążył za nim. — Chodź. Dostaniesz wszystko, co potrzebne, by znaleźć Perłową Fortecę.

— Ja zaś byłbym nader wdzięczny, gdybyś nie dopuścił do mojej śmierci. Byłbym nadzwyczaj wdzięczny, panie — dobiegł zza zamykających się już drzwi głos Anigha.

Rozdział 3

NA CZERWONEJ DRODZE

Następnego ranka Elryk opuścił Quarzhasaat nie mając pojęcia ani czego szuka, ani gdzie to znaleźć. Wiedział tylko, że musi trzymać się Czerwonej Drogi, aż ta doprowadzi go do Oazy Srebrnego Kwiatu, tam zaś trzeba odszukać Spiżowy Namiot, gdzie dowie się, być może, jak trafić na szlak do Perły w Sercu Świata. Jeśli zaś pobydli, ceną pomyłki będzie co najmniej jego własne życie.

Lord Gho Fhaazi odmówił jakichkolwiek dalszych wyjaśnień, chociaż z pewnością wiedział więcej, niż chciał powiedzieć.

— Krwawy Księżyc musi zapłonąć nad Spiżowym Namiotem, dopiero wtedy droga do Perły stanie otworem.

Nie znając wcale legend Quarzhasaat, mało wiedząc o historii czy geografii krainy, Elryk postanowił podążyć według mapy wprost do oazy, co nie wydawało się trudne. Szlak liczył przynajmniej sto mil, za osobliwie nazwaną oazą rozciągało się pasmo niskich gór, zwanych Strzępiastymi Filarami. Spiżowego Namiotu na mapie nie było, podobnie jak nie wynikało z niej, jaki ów namiot ma związek z Perłą.

Lord Gho radził liczyć na wskazówki od nomadów, nie potrafił jednak zagwarantować, że nomadzi skłonni będą do rozmowy. Elryk miał tylko nadzieję, że swą postawą, a także złotem otrzymanym od lorda Gho skłoni wędrowców do przyjaznego zachowania. Lecz z drugiej strony, nic nie wiedział o mieszkańcach Pustyni Westchnień, nie znał też rozległych przestrzeni samej pustyni. Podobno nomadzi byli ludem prymitywnym, któremu czasem zezwalano na handel w mieście. Pozostawało ufać, że ów prymitywny lud ma nieco bardziej szlachetne obyczaje niż ci, którzy uważali się za władców tego kontynentu.

Nazwa Czerwonej Drogi była dobrze dobrana — ciemna wstęga o barwie na wpół zaschłej krwi przecinała pustynię skryta w dawnym korycie rzeki, nad brzegami której zbudowano niegdyś Quarzhasaat. Co kilka mil skarpy obniżały się, odsłaniając wielką pustynię, morze wydm falujących aż po sam horyzont przy wtórze wiatru, którego słaby, ale nie milnący szept brzmiał jak westchnienia

uwięzionego kochanka.

Słońce wspinało się na zabarwiony kolorem indygo nieboskłon nieubłaganie, i Elryk wkrótce wdzięczny był Raafiemu as-Keeme, który wyposażył go przed odjazdem w miejscowy strój: biały burnus, luźny biały kaftan i spodnie, białe płócienne buty do kolan i chroniące oczy okulary ze szparkami. Koń, masywny, ale zgrabny i wytrzymały, zdolny do szybkiego biegu, był podobnie okryty długą płócienną derką ze specjalnym kapturem dla ochrony przed słońcem i wciskającym się wszędzie piaskiem. Wyraźnie ktoś dbał o utrzymanie Czerwonej Drogi w dobrym stanie, bowiem zwiewany piach gromadził się nieustannie u stóp skarpy rozbudowując je w wysokie mury.

Elryk nie zapomniał o swej nienawiści do lorda Gho i z całą determinacją postanowił pozostać przy życiu, by uratować Anigha, wrócić do Melniboné i połączyć się z Cymoril. Elikسير działał tak, jak lord Gho obiecywał, Elryk wioził w jukach dwie manierki. Był całkowicie przekonany, że napój może go w końcu zabić i że tylko lord Gho posiada antidotum. Ta świadomość podsycala pragnienie zemsty.

Czerwona Droga wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Niebo drżało od gorąca, słońce wędrowało coraz wyżej, a Elryk, którego naturze obce były daremne żale, zaczął czynić sobie wymówki, że kiedyś na tyle stracił rozum, by kupić mapę od ilmorańskiego marynarza i wyruszyć bez należytego przygotowania w pustynię.

— Brakuje tylko, bym dla pełnej miary szaleństwa wezwał jeszcze nadprzyrodzone wsparcie — powiedział głośno do pustkowia. — Zresztą tego wsparcia mogę jeszcze naprawdę potrzebować, gdy dotrę do Perłowej Fortecy. — Wiedział, że osobiste uprzedzenia nie skłonią go do popełniania dalszych nierozważności, lecz nie potrafi się zmienić przecież całkowicie. A szkoda, bo wówczas umysł miałby bardziej klarowny i może przewidziałby podstęp każdy ewentualny lorda Gho.

Na dodatek zaczynał powątpiewać we własne zmysły. Przez ostatnią godzinę zdawało mu się, że ktoś go śledzi, choć nie dojrzał nikogo na drodze. Spoglądał za siebie nagle i bez uprzedzenia, zatrzymywał się, wracał kilka jardów. Najwyraźniej jednak był równie sam jak na początku podróży.

— Pewnie ten przeklęty eliksir mnie otumanił — powiedział, poklepując zakurzone płótno na grzbiecie konia. Wysokie skarpy po obu stronach drogi rozmyły się w ledwo widoczne wzgórza. Powstrzymał wierzchowca, bowiem wydało mu się, że widzi coś więcej niż tylko przetaczające się leniwie diuny. Drobnie postaci biegały w tę i z powrotem niczym stado karzełków. Wysilił wzrok, ale zniknęły. Zdało mu się, że tuż pod powierzchnią piasku przesuwają się powoli duże stwory, nad którymi tworzą się obłoki jakiegoś ciemnego oparu.

Elryk pamiętał, że w tej części Pustyni Westchnień nie powinien natknąć się na żadne takie zjawisko. Według opowiadań miała to być kraina pozbawiona życia.

Teraz łudził się, że te wielkie stwory nie uznają człowieka za wartą fatygi zdobycz.

Znów odniósł wrażenie, że ktoś za nim jedzie, a odwróciwszy się gwałtownie, zdążył dojrzeć błysk czegoś żółtego, zapewne płaszcz, który zniknął za zakrętem. Kusiło go, by stanąć i odpocząć przez godzinę lub dwie, ale postanowił dotrzeć jak najszybciej do Oazy Srebrnego Kwiatu. Niewiele miał czasu, by wykonać całe zadanie i wrócić z Perłą do Quarzhasaat.

W powietrzu pojawiła się nagle nowa woń. Gdyby nie pustynne miejsce, Elryk pomyślałby, że ktoś pali odpadki z kuchni, tak samo kwaśny był to odór. Potem jednak, spojrzawszy na pustynię, odkrył niezbyt odległe kłęby dymu. Czyżby nomadowie podchodzili tak blisko Quarzhasaat? Z tego, co wiedział, wynikało, że nie zbliżali się bez szczególnych powodów na mniej niż sto mil do miasta. Ale jeśli obozowali tu jacyś ludzie, to czemu nie rozłożyli namiotów bliżej drogi? Nie ostrzegano go przed bandytami, nie bał się zatem ataku, lecz postanowił zachować w dalszej drodze pewną ostrożność.

Skarpy wzniosły się, zasłaniając piaski, ale smród nasilał się, aż był prawie nie do zniesienia. Elryk czuł, jak wnętrzności mu się buntują, oczy zaczęły łzawić. Zupełnie jakby ktoś palił rozkładające się zwłoki.

Gdy brzegi opadły trochę, około mili od drogi, przynajmniej na ile mógł ocenić, ujrzał około dwudziestu smug dymu, teraz ciemniejszego, wokół których zwiły się kłęby oparów. Zaczął podejrzewać, że trafił na jakiś szczep przemierzający pustynię w wozach, na których zabudowano piece kuchenne. Jaki jednak wóz potrafiłby pokonać te piaski? I czemu szczep omijałby Czerwoną Drogę?

Chociaż korciło go, by zbadać sprawę, wiedział, że opuszczenie drogi byłoby niewybaczalną głupotą. Łatwo mógł się zgubić i popaść w biedę jeszcze większą niż wówczas, kiedy to Anigh znalazł go po przeciwległej stronie Quarzhasaat.

Już miał zsiąść i dać sobie godzinę oddechu, gdy ściana wąwozu zaczęła trząść się i pękać. Smród nasilił się jeszcze bardziej. Elryk krztusił się, by złapać trochę powietrza, koń zaś zarżał i mimo ponagrania odmówił dalszego marszu.

Nagle ze świeżo otwartych szczelin w ścianie wypadło stado niewielkich stworzeń. Przebiegły tuż przed nim. Z daleka rzeczywiście mogły przypominać karłów, teraz jednak zdradzały podobieństwo do szczurów, tyle tylko, że biegle wyprostowane na tylnych łapach, podczas gdy szczątkowe przednie kończyny trzymały przyciśnięte do piersi. Pyski miały podłużne, pełne ostrych zębów, a duże uszy nadawały im złudne pozory istot latających, zdolnych uciec w przestworza przed niebezpieczeństwem.

Szczeliny powiększyły się z hukiem. Czarny dym oślepił Elryka, koń zaczął się cofać. Z sypiącej się skarpy wyłaniał się masywny różowy stwór na tuzinie nóg szczękający żuchwą w pogoni za szczurowatymi, które były najwyraźniej jego naturalnym pożywieniem. Elryk puścił koniowi wodze, i odwróciwszy się patrzył na stworzenie, które podobno wyginęło kiedyś, w mrokach starożytności. Czytał o takich bestiach, ale nie wierzył, by mogły przetrwać. Nazywano je

żukami ognistymi. Za sprawą jakiegoś żartu natury te gigantyczne chrząszcze gromadziły w szczelinach ciężkiego pancerza spore ilości płynnego tłuszczu, który łatwo zapalał się od słońca. Czasem zdarzało się, na grzbiecie takiego stworzenia żarzyło się aż ze dwadzieścia ognisk, a jedynym sposobem ugaszenia płomieni było dlań zagrzebanie się głęboko w piasku, co działo się podczas pory godowej. Tę właśnie Elryk widział z daleka.

Teraz jednak ogniste żuki polowały.

Poruszały się niesamowicie szybko. Przynajmniej tuzin olbrzymich owadów zbliżał się do drogi i Elryk z przerażeniem zauważył, że najpewniej przyjdzie mu wpaść wraz z koniem w pułapkę zastawioną szczurowate. Wiedział, że ogniste żuki nie przebierają w potrawach i że może zostać pożarty przez czysty przypadek, a bestia nie zorientuje się nawet, że połknęła człowieka. Koń cofał się wciąż i parskał, ale gdy Elryk skłonił go do posłuszeństwa, wparł wszystkie kopyta w ziemię. Książę wyciągnął miecz nie wiedząc, na ile użyteczny będzie magiczny oręż przeciwko tym szaroróżowym, ociekającym płomieniami pancerzom. Zwiastun Burzy nie zyskiwał z tak prymitywnych stworzeń wiele energii. Można było liczyć jedynie na szczęśliwe cięcie, rozłupanie grzbietu i wydostanie się z coraz ciaśniejszego kręgu, zanim pułapka zatrzaśnie się całkowicie.

Szerokim zamachem Elryk odciął wijący się czułek, lecz żuk niemal tego nie zauważył i nawet się nie zatrzymał. Książę krzyknął, ciął raz jeszcze, ogień przysgał, w powietrze prysnął gorący tłuszcz, a pancerz pozostał najwyraźniej nie naruszony. Rżenie konia mieszało się z odgłosami uderzeń miecza, aż Elryk z krzykiem zawrócił wierzchowca, szukając ucieczki. Pod kopytami migwały przerażone szczurowate, niezdolne do szybkiego zagrzebania się w twardej nawierzchni drogi. Krew tryskała na nogi i ramiona Elryka, okrywające konia białe płótno zabarwiło się czerwienią. Krople płonącego tłuszczu wypalały w materii dziury. Owady ucztowały, poruszając się już dużo wolniej. W ich kręgu nie było luki na tyle dużej, by przepuścić rumaka i jeźdźca.

Elryk pomyślał, że może udałoby się przejechać po grzbietach gigantycznych żuków, chociaż te wydawały się nieco za śliskie, by się na nie wspiąć. Nie było jednak alternatywy. Miał już zmusić konia do skoku, gdy wokół rozległ się osobliwy poszum i w powietrzu zaroilo się od much-padlinożerców, które zawsze towarzyszyły ognistym żukom żywiąc się resztkami i odchodami pozostawianymi na szlaku przemarszu. Zaczęły siadać na człowieku i koniu, pogarszając jeszcze i tak kiepską sytuację. Elryk usiłował się oganiać, ale muchy utworzyły już gruby kożuch, ogłuszając swym brzęczeniem, przyprawiając o mdłości i na wpół oślepiając.

Koń zarżał boleśnie i potknął się. Elryk usiłował dojrzeć cokolwiek, lecz muchy i dym nie dawały szans ani jemu, ani wierzchowcowi. Wypełniały nos i usta. Krztusząc się, książę próbował je zgarnąć z twarzy, spluwał nimi w dół, gdzie piszczały i umierały szczurowate.

Niewyraźny i przytłumiony dotarł doń jeszcze jeden odgłos i niewytłumaczonym zrządzeniem losu muchy zaczęły odlatywać. Załzawionymi oczami ujrzał, że wszystkie żuki ruszyły nagle w jednym kierunku tworząc lukę, przez którą dałoby się przejechać. Bez dalszego namysłu wypuścił konia ku przerwie, wciągając jednocześnie głębokimi haustami powietrze do płuc. Nie wiedział jeszcze, czy umknie, czy też jedynie trafi do rozleglejszego kręgu żuków, gdyż dym wciąż nie pozwalał dojrzeć zbyt wiele.

Wypluwając muchy, poprawił osłonę przeciwsłoneczną i rozejrzał się bacznie. Nie dojrzał nigdzie chrząszczy, chociaż słyszał je za sobą. W dymie i kurzawie majaczył) jakieś nowe postaci.

Byli to jeźdźcy. Poruszali się oboma skrajami Czerwonej Drogi i spychali olbrzymie owady włóczykami, zahaczając je pod pancerze niczym ościeniami sprawiali żukom dość bólu, nie czyniąc rzeczywistej krzywdy, by te się wycofały. Jeźdźcy nosili luźne żółte szaty, które rozwiewały się wokół nich niczym skrzydła. Systematycznie zganiaли żuki z dróg na pustynię, pozostałe zaś szczurowate, wdzięczne zapewne za niespodziewany ratunek, zakopywały się z jazgotem w piasku.

Elryk nie schował Zwiastuna Burzy. Wiedział, że przybysze równie dobrze mogli tylko przypadkiem zbawcami, i zaraz zapytają go, co właściwie robi na ich drodze, mogli też być tymi, którzy śledzili go od jakiegoś czasu i po prostu nie mieli ochoty odstępować swej zdobyczy ognistym żukom.

Jeden z rycerzy oddzielił się od pozostałych i pogalopował ku Elrykowi, podziewając go podniesioną włócznią.

— Wielkie dzięki — powiedział albinos. — Uratowaliście mi życie, panie. Ufam, że nie zakłóciłem wam nazbyt polowania.

Jeździec był wyższy niż Elryk, bardzo szczupły, z posępną ciemną twarzą i czarnymi oczami. Miał ogoloną głowę, i obie wargi przyozdobione drobnymi tatuażami tworzącymi na ustach jakby koronkową maskę. Nie osadził włóczni przy siodle i Elryk gotów był się bronić wiedząc, że walcząc nawet przeciw tak licznej grupie miałby szansę większe niż w starciu z ognistymi żukami.

Mężczyzna zmarszczył brwi, zdumiony, ale po chwili oblicze mu się rozpo-godziło.

— Nie polowaliśmy na ogniste żuki. Zobaczyliśmy, co się dzieje, i stwierdziliśmy, że nie wiesz jak przed nimi umknąć. Przybyliśmy, jak szybko się dało. Jestem Manag Iss z Żółtej Sekty, krewny Kanclerza Issa. Pochodzę z Czarowników, Poszukiwaczy Przygód.

Elryk słyszał o tych sektach, skupiały najważniejszych rycerzy Quarzhasaat i były w wielkim stopniu odpowiedzialne za zaklęcia, które pogrzebały cesarstwo pod piaskiem. Czyżby lord Gho, nie wierząc mu bez reszty, wysłał ich w ślad? Czy może byli zabójcami, którzy mieli usunąć go z tego padolu?

— Tak czy inaczej, dziękuję ci, Managu Iss, za interwencję. Zawdzięczam ci

życie. Jestem zaszczycony, mogąc spotkać przedstawiciela twojej sekty. Jestem Elryk z Nadsokor w Młodych Królestwach.

— Tak, wiem o tobie. Śledziłeś cię czekając, aż dość oddalimy się od miasta, by bezpiecznie porozmawiać.

— Bezpiecznie? Nie jestem dla was żadnym zagrożeniem, panie Czarowniku.

Manag Iss nie uśmiechał się zbyt często, a gdy już to robił, uśmiech pozostawał w osobliwym kontraście do całej twarzy. Inni członkowie sekty wycofywali się, mocując włócznie w uchwytach przy siodłach.

— I my też nim dla ciebie nie jesteśmy, panie Elryku. Przybyliśmy w pokojowych zamiarach gotowi zostać twymi przyjaciółmi, jeśli nas przyjmiesz. Moja krewna przesyła pozdrowienia. Jest żoną Kanclerza Issa. Iss pozostaje naszym nazwiskiem rodzowym. Wszyscy w klanie staramy się zawierać związki w obrębie własnej krwi.

— Cieszę się, mogąc cię poznać. — Elryk czekał na dalsze wyjaśnienia.

Manag Iss zatoczył szeroki krąg opaloną ręką. Paznokcie u palców miał usunięte i zastąpione takimi samymi tatuażami jak usta.

— Czy zechcesz zejść z konia i porozmawiać? Przybyliśmy bowiem z posłaniami i podarunkami.

Elryk schował Zwiastuna Burzy i przerzuciwszy nogę przez siodło ześlizgnął się na pylistą nawierzchnię Czerwonej Drogi. Żuki zniknęły już w oddali, zapewne w poszukiwaniu następnych szczyrowatych. Ich dymiące grzbiety przypomniały Elrykowi ogniska obozu trędowatych na przedmieściach Jadmaru.

— Moja krewna pragnie, byś wiedział, że i ona, i Żółta Sekta, jesteśmy wszyscy na twoje usługi, panie Elryku, gotowi dostarczyć ci wszelkie pomocy, jakiej będziesz potrzebował w poszukiwaniach Perły w Sercu Świata.

— Muszę przyznać, że czuję się nieco zaskoczony, panie Iss — stwierdził z rozbawieniem Elryk. — Czy wy również poszukujecie skarbu?

Przez twarz Managa przemknął wyraz lekkiego zniecierpliwienia.

— Wiadomym jest, że twój patron, lord Gho Fhaazi obiecał Perłę w Sercu Świata Bezimiennemu Siódmemu, a ona przyrzekła mu w zamian miejsce w Radzie. Dość już wiemy, by zrozumieć, że tylko wyjątkowy ktoś, wyjątkowy złodziej, mógł otrzymać to zadanie. Nadsokor zaś słynne jest z nieprzeciętnych złodziei. Jak wiesz zapewne, nasza sekta zawiodła w tym przypadku całkowicie. Przez stulecia członkowie wszystkich sekt próbowali znaleźć Perłę w Sercu Świata za każdym razem, gdy wschodził Krwawy Księżyc. Tych kilku, którym udało się przeżyć i powrócić do Quarzhasaat, traciło zmysły i umierało niedługo później. Dopiero niedawno nasza wiedza wzbogaciła się o tyle, byśmy mogli powiedzieć, że Perła naprawdę istnieje. Wiemy też, na przykład, że jesteś Złodziejem Snów, chociaż obrażasz swą profesję nie nosząc zakrzywionego kija, bowiem tylko Złodziej Snów, i to wyjątkowej klasy, może dojść do Perły i przynieść ją tutaj.

— Powiedziałeś więcej, niż sam wiem, Managu Iss — stwierdził poważnie

Elryk. — To prawda, że wynajął mnie lord Gho Fhaazi. Ale wiesz zapewne i to, że niechętnie wyruszyłem na tę wyprawę. — Elryk postanowił zaufać swoim wrażeniom na temat przybysza i ujawnił mu sposób, w jaki lord Gho zmusił go do posłuszeństwa.

Manag Iss od razu mu uwierzył. Przesunął pokrytymi rysunkiem palcami po ustach.

— Ten eliksir jest dobrze znany Poszukiwaczom Przygód. Destylujemy go od tysiącleci. To prawda, że trawi ciało tego, kto go pije. Antidotum jest o wiele trudniejsze do przyrządzenia. Zdumiewa mnie, że Lord Gho twierdzi, iż je posiada. Tylko niektóre z naszych sekt mają jego odrobiny. Gdybyś wrócił z nami do Quarzhasaat, wówczas bylibyśmy w stanie zdobyć je dla ciebie najpóźniej w ciągu dnia.

Elryk rozważył propozycję. Manag Iss pracował dla jednej z rywalek lorda Gho. To czyniło jego propozycje podejrzaną niezależnie od tego, jak szczerze mogła zostać przedstawiona. Kanclerz Iss lub lady Iss czy też ktokolwiek, kto pragnął umieścić własnego kandydata w Radzie, bez wątpienia gotów był zrobić wszystko, by osiągnąć swój cel. Oferta Managa mogła być również zwykłym wybiegiem mającym uśpić czujność Elryka i uczynić zeń tym łatwiejszą ofiarę.

— Wybacz moją szczerłość — powiedział albinos — ale nie mam powodu, by ci ufać. Wiem już, że najwyżej cenioną rozrywką w Quarzhasaat są intrygi i nie mam ochoty dać się uwikłać w spiski i kontr spiski, które wam zdają się sprawiać tyle radości. Jeśli, jak mówisz, antidotum istnieje, to dobrze byłoby pomyśleć o spotkaniu w Oazie Srebrnego Kwiatu, powiedzmy, za sześć dni od dzisiaj. Mam dość eliksiru na trzy tygodnie, co mieści zarówno czas Krwawego Księżyca jak i drogę tam i z powrotem do miasta. Wówczas będę bardziej skłonny wierzyć w twój altruizm.

— Też nie będę niczego owijał w bawełnę — stwierdził chłodno Manag Iss. — Mam przykazane i przysięgałem, tak na więzy krwi jak i na kontrakt sekty oraz mój honor jako członka świętej gildii, że przekonam cię, dowolnymi środkami, albo do zaniechania misji, albo do odsprzedania Perły. Jeśli nie zrezygnujesz z poszukiwań, wówczas gotów będę kupić od ciebie Perłę za każdą cenę oprócz, rzecz jasna, miejsca w naszej Radzie. Tym samym przebijam propozycję lorda Gho dodając, co tylko zapragniesz.

— Niezupełnie przebijasz — stwierdził z żalem Elryk. — Jest jeszcze chłopak, którego on zabije.

— Chłopak nie ma z pewnością większego znaczenia dla sprawy.

— Według obowiązujących w Quarzhasaat reguł gry pewnie i nie ma. — Elryk był coraz bardziej znużony tym targiem.

Manag Iss zauważył, że popełnił błąd taktyczny.

— Uratujemy chłopca — dorzucił spieszenie. — Powiedz nam tylko, gdzie go znaleźć.

— Chyba lepiej będzie, jeśli poprzestanę na pierwszej umowie. Nie wydaje mi się, bym miał w czym wybierać.

— A jeśli lord Gho zostanie zamordowany?

Elryk wzruszył ramionami i przygotował się, by wskoczyć na siodło.

— Wdzięczny jestem za waszą pomoc. Rozważę twoją ofertę po drodze. Jak wiesz, mam bardzo mało czasu, by odnaleźć Perłową Fortecę.

— Chciałbym cię ostrzec, panie Złodzieju. . . — Manag Iss urwał i obejrzał się. Na Czerwonej Drodze rysował się w dali obłok kurzu, z którego wyłaniały się niewyraźne postaci w powiewających, bladozielonych szatach. Manag Iss zaklął, ale z uśmiechem obserwował zbliżających się jeźdźców.

Było jasne, że i ci przynależą do Czarowników, Poszukiwaczy Przygód. Również mieli tatuaże, tyle tylko, że na powiekach i nadgarstkach, a ich luźne płócienne płaszcze obrębione były w kwietne wzory powtórzone, w miniaturze, na krawędziach rękawów. Przywódca nowo przybyłych zeskoczył z konia i podszedł do Manag Issa. Był to niski, przystojny mężczyzna, gładko wygolony oprócz namaszczonej na modłę Quarzhasaat, spiczastej koziej bródki. W odróżnieniu od członków Żółtej Sekty, ten nosił zawieszony na prostych rzemieniach, pozbawiony pochwy miecz. Wykonał gest, który Manag Iss powtórzył.

— Witam, Oledzie Alesham. Pokój z tobą. Żółta Sekta życzy sukcesów Sekcie Naparstnicy i pragnie wiedzieć, czemu to podróżujecie aż tak daleko Czerwoną Drogą. — Wszystko to wypowiedziane zostało sztywno, jako czysta formalność. Manag Iss, podobnie jak Elryk, niewątpliwie i tak wiedział, czego szukał tu Oled Alesham z drużyną.

— Przybywamy, by chronić tego Złodzieja — powiedział przywódca Sekty Naparstnicy kłaniając się lekko Elrykowi. — Jest obcy w naszym kraju i zgodnie z naszymi pradawnymi zwyczajami chcieliśmy zaoferować mu pomoc.

— A czy jesteś może, panie Oledzie Alesham — uśmiechnął się Elryk — spowinowacony w jakikolwiek sposób w którymś z Sześciu lub Tym Jednym?

Poczucie humoru Oleda Aleshama okazało się wyższej próby niż Managa.

— Wszyscy jesteśmy w jakiś sposób spowinowaceni ze sobą w Quarzhasaat, panie Złodzieju. My zaś podążaliśmy po prostu do Oazy Srebrnego Kwiatu i pomyśleliśmy, że możesz potrzebować pomocy w tej misji.

— Nie ma żadnej misji — stwierdził Manag Iss, ale zaraz pożałował tak oczywistego kłamstwa. — To znaczy, nie ma żadnej misji oprócz tej, w której pomagają mu jego przyjaciele z Żółtej Sekty.

— Biorąc pod uwagę, że więzy lojalności, które łączą nas w gildii, nie pozwalają nam walczyć ze sobą, chyba nie zaczniemy się kłócić, kto ma eskortować gościa do Oazy Srebrnego Kwiatu — stwierdził Oled Alesham z chichotem, szczerze rozbawiony sytuacją. — Może po prostu pojedziemy wszyscy razem? I każdy dostanie po kawałeczku Perły?

— Na razie nie ma żadnej Perły — powiedział Elryk. — I nie będzie, jeśli co

krok przyjdzie mi spotykać się z tak szczodrymi ofertami. Dziękuję wam, panowie, doceniam wasze starania i życzę wam miłego popołudnia.

Obie rywalizujące sekty poczuły się wyraźnie zbite z tropu i właśnie miały przystąpić do dyskusji, co począć z tym pasztetem, gdy zza rumowiska uczynionego przez ogniste żuki wyjechało pół tuzina zbrojnych rycerzy owiniętych od stóp do głów w czerń, z wzniesionymi mieczami.

Przeczuwając, że nie wróży to nic dobrego, Elryk wycofał się pomiędzy ludzi Manag Issa i Oleda Aleshama.

— Znowu jacyś krewni, panowie? — spytał, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

— To Bractwo Ćmy — stwierdził Oled. — Są mordercami. To jedyne, czym się zajmują, panie Złodzieju, tylko zabijają. Było się z nami nie sprzeczać. Najwyraźniej ktoś uznał, że najlepiej będzie zamordować cię, zanim jeszcze ujrzysz Krwawy Księżyc.

— Będziecie mnie bronić? — spytał Elryk gotując się do walki.

— Nie możemy — powiedział Manag Iss ze szczerym żalem w głosie. — Nie możemy walczyć z członkami naszej gildii. Ale i oni nie tkną nas, jeśli zagrodimy im drogę. Najlepiej będzie przyjąć naszą propozycję, panie Złodzieju.

Ostatecznie doszła do głosu typowa dla przodów Elryka porywczosć i bez dalszych komentarzy albinos wyciągnął Zwiastuna Burzy.

— Dość mam tego, panowie. Dość targów. Proszę was, byście odstąpili. Zamierzam się bić.

— Ale ich jest zbyt wielu! — stwierdził wstrząśnięty Oled; Alesham. — Posiekają cię na kawałki! To biegli mordercy!

— Czyli tak jak i ja, panie Czarowniku! Tak jak i ja! — ! I w tej samej chwili Elryk przepchnął się pomiędzy szeregi członków obu sekt i wypuścił konia prosto na przywódcę Bractwa Ćmy.

Zdobny w runy oręż pomrukiwał unisono do wtóru swemu panu, którego biała twarz jaśniała blaskiem przeklętego, a oczy płonęły żywym ogniem. Czarownicy, Poszukiwacze Przygód po raz pierwszy zrozumieli, jak niezwykle człowiek trafił pomiędzy nich i jak bardzo go nie doceniali.

Uniesiony wysoko Zwiastun Burzy zdawał się pochłaniać nawet pałace promienie pustynnego słońca. Lekko, jakby mimochodem, opadł na głowę przywódcy Bractwa Ćmy, rozłupując mu czaszkę i zatrzymując się dopiero na mostku. Z wyciem wyssał duszę z ofiary dokładnie w sekundzie śmierci. Elryk obrócił się w siodle, a miecz zatoczył półkrąg, by pogrzyźć się w boku zabójcy po lewej stronie.

— Ma mnie! Och, nie! — zdążył tylko krzyknąć mężczyzna, nim umarł.

Pozostali mordercy byli teraz o wiele ostrożniejsi. Okrażając albinosa w pewnej odległości, próbowali ustalić właściwą strategię. Nie przygotowali żadnej, nie sądzili, że będzie im potrzebna. Oczekiwali, że dogonią po prostu złodzieja z Młodych Królestw i zlikwidują go. Teraz zostało ich pięciu. Wołali do członków brat-

nich gildii, by ci im pomogli, ale ani Manag Iss, ani Oled Alesham nie kwapili się z rozkazami dla swych ludzi, szczególnie jeśli podjęcie walki przynieść mogło tak niesławny koniec, jakiego właśnie byli świadkami.

Elryk nie miał podobnych zahamowań. Podjechał do następnego zabójcy, który okazał się biegłym szermierzem i zdołał nawet pokonać obronę Elryka, zanim w sekundę później stracił ramię i spadł z siodła brocząc obficie krwią z kikutu. Jeszcze kilka pełnych wdzięku ruchów Elryka, kilka zwinnych zamachnięć mieczem, i następna dusza stała się łupem Zwiastuna Burzy. Pozostali mordercy wcisnęli się pomiędzy żółto i zielono odzianych braci. W ich oczach malowała się panika. Wiedzieli już, że mają do czynienia z czarami, i to o wiele potężniejszymi, niż śmieli oczekiwać.

— Dość! Dość! — zawołał Manag Iss. — Nie trzeba już zabijać! Jesteśmy tu, by złożyć Złodziejowi propozycję. Czy to Diuk Rai was wysłał?

— Dość ma intryg wokół Perły — wyjąkał jeden z zamaskowanych. — Powiedział, że szybka, czysta śmierć będzie najlepszym rozwiązaniem. Ale ci tutaj wcale nie zginęli czysto.

— Nie my dyktujemy reguły gry, tylko ci, którzy nas wynajmują — stwierdził Oled Alesham. — Złodzieju! Opuść miecz. Nie pragniemy z tobą walczyć!

— Wierzę — skrzywił się Elryk, usiłując opanować rozbuchaną żądzę krwi. — Wierzę wam, że wolelibyście zabić mnie bez walki. Wszyscy jesteście głupcami. Ostrzegałem już lorda Gho, że mam dość mocy, by zniszczyć was wszystkich. Wasze szczęście, że przysięgłem sobie nie wykorzystywać jej po to tylko, by samolubnie naginać innych do mej woli. Ale nie przysięgałem, że pozwolę się zarżnąć wynajętym rzezimieszkom! Wracajcie! Wracajcie do Quarzhasaat!

Ostatnie, wykrzywane słowa, uniesiony ku niebu miecz powtórzył echem.

— Nie wolno nam, panie Złodzieju — powiedział spokojnie Manag Iss. — Jak wszyscy Czarownicy, Poszukiwacze Przygód, musimy wypełniać warunki umowy. Takie są zasady naszej gildii. Jeśli już zgodziliśmy się wykonać zadanie, wówczas nie mamy wyboru. Jedynym usprawiedliwieniem porażki może być śmierć.

— A zatem muszę was zabić — stwierdził Elryk. — Albo wy musicie zabić mnie.

— Wciąż jeszcze pozostaje możliwość, o której rozmawialiśmy — powiedział Manag Iss. — Nie próbowałem cię oszukać, panie Złodzieju.

— Moja oferta też jest aktualna — dodał Oled Alesham.

— Ale Bractwo Ćmy przysięgło mnie zabić — zauważył niemal rozbawiony Elryk — a wy nie możecie obronić mnie przed nimi. Najpewniej najchętniej udzielicie im w razie potrzeby pomocy.

Manag Iss usiłował odsunąć się od czarno odzianych zabójców, ale ci ani myśleli zrezygnować ze zbawczej obecności braci z gildii.

Wówczas Oled Alesham szepnął coś do przywódcy Żółtej Sekty i Manag Iss się zamyślił. Przytaknął w końcu i skinął na pozostałych przy życiu członków

Bractwa Ćmy. Naradzali się przez chwilę, aż Manag Iss zwrócił się ku Elrykowi.

— Znaleźliśmy sposób, byś ty mógł odejść w spokoju, a my z honorem powrócić do Quarzhasaat. Jeśli zawrócimy teraz, czy obiecujesz nas nie śledzić?

— Jeśli dacie słowo, że nie pozwolicie, by te Ćmy nie zaatakowały mnie ponownie. — Elryk już ochłonał, zawodzący jęklonie miecz złożył na ramieniu.

— Schowajcie miecze, bracia! — zawołał Oled Alesham, a członkowie Bractwa posłuchali bez wahania.

Elryk też wsunął Zwiastuna Burzy do pochwy. Wypełniała go nieczysta energia, którą miecz wyssał z niedoszłych zabójców. Powrócił tym samym refleks i czujność charakterystyczne dla jego rodu, powróciła arogancja i poczucie władzy właściwe cesarskiej krwi. Roześmiał się do wrogów.

— Pewnie nie ma macie pojęcia, kogo chcieliście zabić, panowie?

— Chyba domyślam się trochę, skąd jesteś, panie Złodzieju. — Spojrzał wilkiem Oled Alesham. — Takie miecze, jak twój, mieli podobno nosić kiedyś władcy Jasnego Imperium. To było dawno, nim jeszcze nastąpiła historia. Mówi się, że były to żywe istoty, rasa sprzymierzona z twoim ludem. Przypominasz naszych dawno wymarłych wrogów. Czy to ma oznaczać, że Melniboné nie zatoneło w morzu?

— Zostawiam cię, byś mógł nad tym pomyśleć, panie Oledzie Alesham. — Elryk podejrzewał, że członkowie gildii knują jakiś podstęp, ale nie przejmował się tym. — Gdybyście mniej czasu spędzali wsłuchani w kłamliwe mity o własnej potędze, a częściej zerkali na świat, wówczas wasze miasto miałooby większe szansę przetrwania. Bo teraz rozpada się ono pod ciężarem fałszywych złudzeń. Jeśli tylko na legendach opiera jakiś naród swą dumę i według nich jedynie pisze historię, to taka mieszanka musi w końcu zaśmierdnąć. Może Melniboné zatone kiedyś w przyszłości, panie Czarowniku, Poszukiwaczu Przygód, nie wiem, ale pewien jestem, że Quarzhasaat tonie już teraz.

— Nie jestem biegły w filozofii — powiedział podupadły na duchu Manag Iss. — Nie interesują nas motywy ani idee tych, którzy nas zatrudniają. Tacy już jesteśmy.

— I nic na to nie poradzicie — uśmiechnął się Elryk. — Rozumiem, że w ten sposób oddajecie hołd swej dekadencji i bronicie się przed prawdą.

— Odejdź — powiedział Oled Alesham. — Nie twoją sprawą jest pouczać nas w kwestii moralności, nie naszą jest tego wysłuchiwać. Dawno skończyliśmy już szkołę.

Elryk zignorował wymówkę i skierował zmęczonego wierzchowca ku Oazie Srebrnego Kwiatu. Nie oglądał się na Czarowników, ale domyślał się, że pograżyli się bez reszty w konwersacji. Zaczął pogwizdywać, gdy droga ułożyła się przed nim prostą wstęgą, a energia pokonanych przeciwników napęliła go euforią. Myślni błądził wokół Cymoril i powrotu do Melniboné, gdzie miał nadzieję zaprowadzić kilka zmian chroniących jego ojczyznę przed tym, co stało się z Qu-

arzhasaat. Cel wydawał mu się nieco bliższy a myśli jaśniejsze niż w ostatnich miesiącach.

Z wolna zapadła noc i Elryk zadrżał z zimna, którą ograbiło go też z dobrego humoru. Wyciągnął z juków cieplejszą odzież, spętał konia, przebrał się i postanowił rozpalic ognisko. Od chwili spotkania z Czarownikami nie tknął eliksiru i zaczynał już rozumieć, na czym polega jego działanie. Pragnienie osłabło, chociaż nadal dawało o sobie znać, jednakże pojawiła się nadzieja na uniezależnienie się od lorda Gho.

— Wszystko, czego mi trzeba — powiedział sam do siebie zajadając zapasy — to przynajmniej jeden atak Bractwa Ćmy dziennie... — Po czym odłożył chleb i figi, owinał się w pled i ułożył do snu.

Sny miał proste i znajome. Był w Imrryr, Mieście Marzeń, wygodnie usadzony na Rubinowym Tronie, obok siedziała Cymoril, oboje zaś przyglądali się dworzanom. Nie była to jednak normalna świta, którą cesarze Melniboné otaczali się od tysiącleci. Składała się z kobiet i mężczyzn wszystkich narodów: ze wszystkich Młodych Królestw, z Elwher, z Niezbadanego Wschodu, z Phum, nawet z Quarzhasaat. Ludzie wymieniali się informacjami i dobrami, pogrążeni byli w filozoficznych dysputach. Oto był dwór, który nie marnował wysiłku na trwanie w niezmienności przez wieczność całą, ale który dążył ku nowym ideom, otwarty był na nowe pomysły i uwielbiał dyskusje, nie traktując ich jako zagrożenie, lecz jak konieczny czynnik wszelkiego dobrobytu. Oto bogactwo, które spożytkowywano na eksperymenty, na rozwój sztuk i nauk, na wsparcie potrzebujących, na utrzymanie uczonych i myślicieli. Blask Jasnego Imperium nie pochodził już z gnilnej poświaty, ale wypływał z rozumu i dobrej woli.

Taki był sen Elryka, bardziej spójny teraz niż kiedykolwiek dotąd. Takie było jego marzenie i powód jednocześnie, który pchnął go do wędrówki po świecie, powód odrzucenia przyrodzonych mocy, powód, dla którego ryzykował życie, świadomość, miłość i wszystko, co cenił, wierzył bowiem, że nie ma sensu życie, w którym nie będzie miejsca na ryzykowne poszukiwanie wiedzy i sprawiedliwości. Sprawiedliwość, jak sądził, nie wynika z prawa, ale z doświadczenia. Trzeba samemu poznać poniżenie i niemoc, przynajmniej do pewnego stopnia, zanim zacząć się o nich mówić. Trzeba zrezygnować z władzy, jeśli chce się być do głębi sprawiedliwym. Nie mieściło się to w logice Cesarstwa, ale był to sposób myślenia właściwy tym, którzy naprawdę kochali świat i pragnęli ujrzeć świtającą wszystkim ludziom erę wolności w zaspokajaniu swych ambicji w sposób pełen szacunku i poszanowania dla innych.

— Ach, Elryku — powiedział Yyrkoon, wysuwając się niczym wąż zza Rubinowego Tronu. — Tyś jest wrogiem swej własnej rasy, wrogiem jej bogów i wszystkiego, czego pragnę i czemu cześć oddaję. Oto czemu musisz zginąć, a ja winienem osiąść wszystko, co twoje. Wszystko...

W tym miejscu Elryk obudził się okryty zimnym potem. Sięgnął po miecz.

Śnił mu się Yyrkoon jako wąż i księżę gotów był przysiąc, że słyszy, jak niezbyt daleko coś prześlizguje się po piasku. Koń wyczuł to coś i parsknął, coraz wyraźniej zaniepokojony. Elryk wstał, zrzucając pled. Z nozdrzy konia buchały kłęby pary, wiszący wysoko na niebie księżyc rzucał na pustynię błękitną poświatę.

Szelest się przybliżył. Elryk spojrzął na wysokie brzegi wąwozu, ale niczego nie dostrzegł. Był pewien, że to nie ogniste żuki wracają, a to, co usłyszał po chwili, utwierdziło go w przekonaniu. Coś niemal krzyknęło i Elryka owionął cuchnący oddech. Zrozumiał, że w pobliżu czai się jakaś gigantyczna bestia.

Albinos wiedział też, że stwór nie jest mieszkańcem tej pustyni, że w ogóle nie pochodzi z tego świata. Wyczuwał smród czegoś nadprzyrodzonego, przybyłego z samego dna piekieł na wezwanie jego wrogów. Nagle zrozumiał, dlaczego Czarownicy, Poszukiwacze Przygód odstąpili tak łatwo od walki i co zamierzali sobie, puszczając go wolno w dalszą drogę.

Klnąc niewczesną euforię, Elryk dobył Zwiastuna Burzy i cofnął się w mrok, z dala od konia.

Z tyłu dobiegł go ryk. Obrócił się w miejscu i ujrzał przeciwnika.

Była to bestia mogąca z pozoru przypominać kota, jednak ciało należało do pawiana, ogon był wygięty, a z grzbietu sterczały kolce. Wysunięte pazury sięgały ku Elrykowi, który z krzykiem odskoczył, zamierzając się mieczem. Stworzenie lśniło osobliwie różnymi kolorami, jakby nie było do końca materialne. Trudno było dłużej wątpić w jego pochodzenie, Czarnoksiężnicy z Melniboné nieraz wzywali takie istoty jako pomoc w walce. Księżę przetrząsnął pamięć w poszukiwaniu jakiegoś zaklęcia, które odesłałoby bestię z powrotem, ale zbyt wiele czasu minęło, odkąd sam praktykował czary.

Zwierzę złapało trop umykającego przez pustynię Elryka i rzuciło się w poгон.

Bestia ryknęła — pragnęła czegoś więcej niż ciało Elryka. Ci, którzy ją wezwali, bez wątpienia przyobiecali jej duszę księcia, jako że taka była nagroda dla podobnych stworzeń. Pazury znów przecięły powietrze tuż za Elrykiem, ale ten odtoczył się, tnąc przednią łapę mieczem. Zwiastun Burzy dosięgnął! jednej z poduszek i wytoczył ciecz podobną do krwi. Elryk poczuł, jak wlewa się weń mdląca fala energii. Pchnął, i tym razem bestia zaskrzeczała, otwierając szeroko paszczę pełną tęczowo lśniących kłów.

— Na Ariocha — wykrztusił Elryk — aleś szpetna. Będzie łaską dla świata odesłać cię z powrotem do otchłani. . . — Miecz ciął znów tę samą, ranną łapę, ale na stworzeniu nie zrobiło to tym razem większego wrażenia, co więcej, wyraźnie szykowało się do skoku, którego Elryk nie miał większych szans przetrzymać. Takie istoty nie były tak łatwe do zabicia jak wojownicy Bractwa Cmy.

W tejże chwili dał się słyszeć krzyk, a Elryk, odwróciwszy głowę, ujrzał jakby widziadło, które zbliżało się w blasku księżyca. Ktoś na kształt człowieka jechał na grzbiecie garbatego zwierzęcia galopującego szybciej niż jakikolwiek koń.

Kotopodobne zastygło niepewne i odwróciło się, plując i warcząc, by stawić czoło przybywającemu, nim upora się na dobre z albinosem.

Rozumiejąc, że to nie nowe zagrożenie, ale jakiś podróżnik próbujący przyjść z pomocą, Elryk krzyknął:

— Uważaj, panie! To nieziemska bestia i nie można zabić jej zwykłą bronią!

— Wiem o tym, panie, i będę zobowiązany, jeśli zajmiesz się tą gadziną, podczas gdy odwrócę jej uwagę! — dobiegła odpowiedź wykrzyczana głębokim, pogodnym głosem. Jeździec zawrócił dziwnego wierzchowca i o wiele już wolniej skierował się w przeciwnym kierunku. Bestia jednak nie dała się oszukać, musiała otrzymać dokładne instrukcje co do wyboru ofiary. Poruszyła nozdrzami, na nowo poszukując Elryka.

Albinos leżał akurat skryty za wydumą i zbierał siły. Przypomniał sobie pomniejsze zaklęcie, które dałoby się wykorzystać dzięki energii wysranej z demona. Zaczął śpiewać w dawnym, pięknym i melodyjnym języku zwanym klasycznym Melnibonéańskim, a czyniąc to nabrał garść piasku i miękkim ruchem przesywał ziarna między palcami. Piach zaczął powoli formować się w rosnącą ku górze spiralę obracającą się coraz szybciej i szybciej w mdłym blasku.

Zwierzę ryknęło i ruszyło biegiem, Elryk zaś stanął pomiędzy nim a wirującą spiralą. W ostatniej chwili odsunął się. Spirala śpiewała coraz wyższymi tonami. Była to jedynie prosta sztuczka, wprawka dla młodych czarnoksiężników, lecz piach oślepił bestię na tyle długo, by Elryk mógł przemknąć pomiędzy łapami i wbić ostrze miecza w żywotne organy demona.

Energia popłynęła przez miecz do Elryka, który przyjmował ją z krzykiem szaleńca. Siła życiowa demonów nie była mu obca, ale gotowa i jego przemienić w demona, nie sposób bowiem ją kontrolować.

— Ach! Za dużo tego... Za dużo! — Zwinął się z bólu, przytłoczony przytływem, gdy bestia ryknęła raz jeszcze i zdechła.

Elryk leżał na piasku i łapał ciężko powietrze, podczas gdy ciało demona z wolna rozpływało się w nicość powracając do wymiaru, z którego zostało wezwane. Przez kilka chwil książę pragnął rzucić się w ślad za nim, bowiem nowa moc wydawała się grozić rozsadzeniem jego ciała, gotowała się we krwi, wypełniała kości; w końcu jednak zdołał się opanować. Wstał powoli i usłyszał zbliżający się tętent kopyt.

Obrócił się wznosząc miecz, ale ujrzał jedynie podróżnika, który wcześniej próbował mu pomóc. Zwiastun Burzy, broń pozbawiona sentymentów w materii zabijania, wierciła się niecierpliwie w dłoni gotowa wypić jeszcze jedną duszę, nieważne, że przyjazną.

— Nie! — Albinos zmusił miecz do powrotu do pochwy. Czuł mdłości od energii wysranej z demona, lecz zdołał skłonić się uprzejmie.

— Dziękuję ci za pomoc, obcy panie. Nie oczekiwałem, że znajdę przyjaciela tak blisko Quarzhasaat.

Młody człowiek zmierzył go spojrzeniem z sympatią i życzliwością. Był zdumiewająco przystojny, z ciemnymi, wesołymi oczami tkwiącymi w lśniącej czarnej twarzy. Na czarnej kręconej czuprynie tkwiła mała czapeczka ozdobiona pawimi piórami, kaftan zaś i spodnie wyglądały, jakby uszyto je z czarnego welwetu obrębionego złotą nicią. Na to wszystko narzucony miał jasny płaszcz z kapturem typowy dla mieszkańców tych okolic. Jechał powoli na sadzącym susy, pozornie ociążalym wierzchowcu o rozszczepionych kopytach, szerokim łbie i masywnym garbie ponad barkami. Stworzenie przypominało jeden z gatunków bydła opisywany na zwojach poświęconych Południowemu Kontynentowi.

U pasa zwisał młodzieńcowi bogato rzeźbiony kij z czymś podobnym do haczykowej rączki, długi mniej więcej na połowę wysokości właściciela, przy drugim biodrze kołysał się prosty miecz o płaskiej klindze.

— Ja zaś nie oczekiwałem, że spotkam w tych okolicach cesarza Melniboné! — powiedział przybyły z rozbawieniem. — Witaj, książę Elryku. Jestem zaszczycony, że mogę cię poznać.

— Nigdy cię nie widziałem. Skąd znasz moje imię?

— Takie sprawy to chleb powszedni ludzi mej profesji, książę. Nazywam się Alnac Kreb i podążam do oazy, którą nazywają Oazą Srebrnego Kwiatu. Czy wrócimy do twojego obozu po konia i rzeczy? Cieszę się, że nic ci się nie stało. Potężnych masz wrogów, skoro nasłali na ciebie tak paskudnego demona! Czyżbyś obraził Czarowników, Poszukiwaczy Przygód z Quarzhasaat?

— Na to wygląda. — Elryk szedł obok jeźdźca w kierunku Czerwonej Drogi. — Dziękuję ci, panie Alnac Kreb. Bez twojej pomocy ta bestia pochłonęłaby moje ciało i duszę i zabrała ze sobą do piekła, co ją zrodziło. Muszę cię jednak ostrzec, że to jeszcze nie koniec ataków ze strony tych, którzy ją wysłali.

— Nie sądzę, książę. Bez wątpienia nie dopuszczali oni myśli o porażce, co więcej, nie pragnęli mieć z tobą więcej do czynienia od chwili, gdy wyszło na jaw, że nie jesteś zwykłym śmiertelnikiem. Widziałem ich z godzinę temu. Z trzech różnych sekt tej ich niemiłej gildii. Jechali całą paczką z powrotem do Quarzhasaat i bardzo się spieszyli. Ciekaw, przed czym tak zmykają, pojechałem ich tropem i tak trafiłem na ciebie. Cieszę się, że mogłem się na coś przydać.

— Ja też jadę do Oazy Srebrnego Kwiatu, chociaż nie wiem, co tam znajdę. — Elryk zdążył polubić młodzieńca. — Byłoby miłe, gdybyś zechciał mi towarzyszyć.

— Będę zaszczycony, panie. Zaiste zaszczycony! — Alnac Kreb zsiadł z uśmiechem z wierzchowca i spętał go w pobliżu konia, który stał już spokojnie.

— Nie chciałbym już fatygować cię, panie, więcej po nocy — powiedział Elryk — ale jestem nader ciekaw, jak odgadłeś me imię i me pochodzenie. Stwierdziłeś, że to umiejętność związana z twym fachim. Jakież to zawód, jeśli wolno spytać?

— Ależ proszę — odparł Alnac Kreb, otrzepując spodnie z piasku. — Sądziłem, że już się domyśliłeś. Jestem Złodziejem Snów.

Rozdział 4

POGRZEB W OAZIE

— Sam zobaczysz, że Oaza Srebrnego Kwiatu to niewiele więcej ponad plac pośrodku pustyni — stwierdził Alnac Krebs przecierając delikatnie twarz chustką obszytą błyszczącymi koronkami. — To ważne miejsce spotkań wszystkich szczepów nomadów, którzy przyjeżdżają tu z niezmiernymi bogactwami. Zdarza się spotkać krok lub księcia, czasem planuje się tu lub nawet i zawiera małżeństwa czy celebrowane inne uroczystości. To tutaj podejmuje się istotne decyzje polityczne, zawiera i zrywa sojusze, wymienia informacje. Handluje się tu wszystkim, nie zawsze są to towary zwykłe, nie zawsze materialne. To miejsce pełne życia. W odróżnieniu od Quarzhasaat, które nomadzi odwiedzają niechętnie i tylko wtedy, gdy konieczność lub chciwość ich przymusi.

— A czemu nie spotkaliśmy dotąd nikogo spośród nomadów? — spytał Elryk.

— Unikają Quarzhasaat. To miejsce, wraz z mieszkańcami, jest dla nich synonimem Piekła. Niektórzy uważają, że tam właśnie wędrują dusze potępionych. Miasto symbolizuje wszystko, czego się obawiają i nie pasuje nijak do ich systemu wartości.

— Chętnie poznam tych nomadów. — Elryk pozwolił sobie na uśmiech. Nie sięgnął dotąd po eliksir, chociaż ciało domagało się go coraz gwałtowniej. Energia, którą przekazał mu miecz, wystarczyłaby normalnie na dłużej, co było dowodem, że trucizna zużytkowywała siłę życiową pijącego, by obdarzyć go tymczasowym przyływem sił fizycznych. Elryk zaczynał podejrzewać, iż wzmacniając siebie, karmi równocześnie i sam eliksir. Destylat przypominał żywą istotę jak Czarny Miecz, tyle tylko, że Zwiastun Burzy nigdy nie usiłował zdominować właściciela. Książę wolał o tym nie myśleć. — Już teraz mam wrażenie, że niejedno nas łączy — dodał.

— Masz zatem nadzieję, książę Elryku, że oni cię zaakceptują! — roześmiał się Alnac. — Chociaż, po prawdzie, na pradawnego wroga władców Quarzhasaat spojrzę zapewne przychylnym okiem. Mam znajomości w niektórych klanach, przedstawię cię, jeśli pozwolisz, gdy przyjdzie pora.

— Chętnie. Ale musisz wyjaśnić mi jeszcze, skąd mnie znasz.
Alnac zachnął się, jakby zupełnie o tym zapomniał.

— To bardzo proste i nader skomplikowane zarazem, jeśli nie zna się podstawowych mechanizmów funkcjonowania multiwszechświata. Jak już wspomniałem, jestem Złodziejem Snów. Znam ich wiele, dość, by uznać się za mądrzejszego od większości ludzi. Powiedzmy, że usłyszałem o tobie w pewnym śnie. Stamtąd też wiem, że moim przeznaczeniem jest towarzyszyć ci, chociaż pewnie niezbyt długo, w mojej obecnej wędrówce.

— Ze snu? Nie powiedziałeś mi jeszcze, czym zajmują się Złodzieje Snów.

— Cóż, kradną sny, rzecz jasna. Dwa razy do roku zanosimy nasze zdobycze na pewien targ, gdzie po prostu nimi handlujemy.

— Snami? — spytał nie wierząc uszom Elryk.

— Przychodzą tam kupcy gotowi zapłacić całkiem sporo za niektóre sny. — Alnaca wyraźnie bawiło zdumienie księcia. — Odsprzedają je potem tym, którzy w ogóle nie potrafią śnić lub którzy tęsknią za czymś lepszym niż conocne banały. Elryk pokręcił głową.

— To chyba jakaś przerośnia.

— Nie, potraktuj to dosłownie. — Wyjął zza pasa zakrzywioną laskę przypominającą kij pasterski, tyle że krótszy. — Nie zdobywa się tego, nie przestudowawszy uprzednio podstaw naszego fachu. Nie jestem najlepszy i pewnie nigdy nie będę, ale w tym wymiarze i w tym czasie to właśnie jest moim przeznaczeniem. Z oczywistych powodów nie ma nas wielu, a jedynie nomadzi i mieszkańcy Elwher poważają nasz fach. W Młodych Królestwach wiedzą o nas tylko nieliczni mędrcy.

— Czemu tam nie zachodzicie?

— Nikt nas o to nie prosi. Czy słyszałeś, by ktokolwiek w Młodych Królestwach poszukiwał kiedykolwiek usług Złodzieja Snów?

— Nigdy. Ale czemu tak jest?

— Pewnie dlatego, że na Zachodzie i Południu silniejsze są wpływy Chaosu i najstraszniejsze zmory senne mogą łatwo stać się rzeczywistością.

— Lękasz się Chaosu?

— A jakie myślące stworzenie się go nie lęka? Lękam się snów tych, którzy mu służą. — Alnac Krebs spojrzął na pustynię. — W Elwher i na dalekim Wschodzie, którego nie ma na twoich mapach, ludzie są mniej skomplikowani. Podobnie jak tutaj, na Pustyni Westchnień, wpływy Melniboné nie były tam nigdy zbyt silne.

— Zatem to mojej rasy się obawiasz?

— Boję się każdej rasy, która poddała się Chaosowi, która zawiera pakt z najpotężniejszymi siłami, z książętami Chaosu, z samymi Władcami Mieczy! Nie uważam tych układów ani za zdrowe, ani za szalone. Po prostu jestem przeciwnikiem Chaosu.

— Służysz Ładowi?

— Służę samemu sobie, a jeśli już, to najpewniej służę Równowadze. Wierzę, że można żyć po swojemu, nie wadząc innym i cieszyć się różnaitością świata.

— Postawa godna pozazdroszczenia, panie Alnacu. Pewnie mi nie uwierzysz, ale i ja się ku niej skłaniam.

— Ależ wierzę ci, książę Elryku. Znam wiele snów, ty pojawiałeś się w niektórych. A sny i rzeczywistość w różnych wymiarach zamieniają się miejscami.

— Złodziej Snów spojrział na albinosa ze współczuciem. — To musi być bardzo trudne, wyrzec się władzy, dla kogoś, kto kosztował jej przez tysiąclecia.

— Widzę, że mnie rozumiesz, panie Złodzieju.

— Och, na ten temat mam tylko mgliste pojęcie i niewiele rozumiem. — Alnac Krieb wzruszył ramionami chcąc podkreślić własną ignorancję.

— Wiele czasu spędziłem próbując ustalić, czym jest sprawiedliwość. Odwiedzałem kraje, gdzie miała podobno istnieć, chciałem dowiedzieć się, jak najlepiej ją ustanowić, jak to zrobić, aby cały świat mógł się nią cieszyć. Słyszałeś o Tanelorn, Alnacu? Mówi się, że tam rządzi właśnie sprawiedliwość. Tam mieszkają Siwi Władcy, którą utrzymują świat w równowadze. Podobno oni są najpotężniejsi.

— Tanelorn istnieje — odparł spokojnie Złodziej Snów. — I ma wiele nazw. Niestety, obawiam się, że w niektórych wymiarach jest jedynie abstrakcją, ideałem doskonałości. Takie ideały napełniają nas nadzieją i dają siłę w zmaganiach, by sny zmienić w rzeczywistość. Czasem się udaje.

— Sprawiedliwość istnieje?

— Oczywiście, że istnieje. Ale nie jest abstrakcją. Trzeba sobie na nią zapracować. Sprawiedliwość jest twoim demonem, książę Elryku. Opętała cię bardziej niż Władcy Chaosu. Okrutną i pełną nieszczęść drogę wybrałeś. — Uśmiechnął się lekko, spoglądając na ciągnącą się ku horyzontowi nitkę drogi. — Trudniejszą, obawiam się, niż Czerwona Droga wiodąca ku Oazie Srebrnego Kwiatu.

— Nie dodajesz mi odwagi, panie Alnacu.

— Sam musisz wiedzieć, że niewiele jest sprawiedliwości w świecie, o który nie trzeba ciężko walczyć, który nie jest trudny do opanowania i utrzymania. W naszej śmiertelnej naturze leży zrzucanie odpowiedzialności na innych. Niektórzy jednak biedacy, tobie podobni, próbują umniejszyć swą władzę biorąc na barki coraz więcej odpowiedzialności. Niektórzy powiedzą, że to godne podziwu, że to kształtuje charakter i pozwala wytyczyć cel w życiu, że to dodaje rozumu. . .

— Tak, ale według innych to czyste szaleństwo, wyparcie się naturalnych odruchów. Nie wiem, za czym tęsknię, ale wiem, że pragnę świata, w którym silni nie będą osaczać słabych niczym bezrozumne insekty, w którym śmiertelnikom dostępne będzie najwyższe możliwe spełnienie ich żywota, gdzie nikomu nie odmówi się zdrowia i godności, nie uczyni się ofiarą garstki silniejszych. . .

— A zatem służysz złym panom, książę. Jedyna sprawiedliwość, jaką uznają

Książęta Piekieł, to ta, którą oni ustanawiają swym istnieniem. Są jak małe dzieci. Przeciwnieństwo wszystkich twych ideałów.

Elryk zmieszał się.

— Ale czy nie można — spytał cicho — użyć takiego właśnie oręża, by ich pokonać? Lub przynajmniej by rzucić wyzwanie ich władzy i wspomóc Równowagę?

— Po temu siłę dać może jedynie sama Równowaga. A jest to czasem moc bardzo ulotna.

— W moim świecie jest jej chyba zbyt mało.

— To zależy wyłącznie od tego, ilu w nią uwierzy. Czasem potrafi być większą potęgą niż połączone siły Ładu i Chaosu.

— Cóż, będę zatem żył wypatrując dnia, gdy zapanuje Równowaga, ale nie wiem, czy dożyję owej chwili.

— Zapewne nie zdarzy się to za twojego życia — powiedział półszepem Alnac. — Ale i tak stanie się na wiele lat przed tym, nim zostaniesz wezwany, by zadać w róg Rolanda.

— Róg? Co za róg? — Ale pytanie było czysto retoryczne, bowiem Elryk uznał całe zdanie za rozbudowaną przenośnię.

— Patrz! — Alnac wskazał naprzód. — Widzisz tam w dali? To pierwszy znak, że zbliżamy się do Oazy Srebrnego Kwiatu.

Zachodzące po lewej słońce rzucało głębokie cienie na diuny i wysoką skarpe Czerwonej Drogi, a niebo ciemniało ku horyzontowi ciepły ton bursztynu. Na granicy widoczności zamajaczył Elrykowi jednak kształt, który nie był ani cieniem, ani wydumą, mógł jednak przypominać skupisko skał.

— Co to jest? Co dostrzegłeś?

— Nomadzi nazywają to „kazba”. W naszej mowie nie ma odpowiednika, bowiem nigdy go nie potrzebowaliśmy. Oznacza zamek lub ufortyfikowaną wioskę. Kazba Moulor Ka Riiz została zbudowana na długo przed zagładą imperium Quarzhasaat i nosi nazwę na cześć mądrego króla, założyciela dynastii Aloum'rit, która nadal rządzi ponad klanami i jest poważana przez wszystkich ludzi pustyni. Udziela się tu schronienia wszystkim potrzebującym. Uciekinier, który odda się pod jej opiekę, może liczyć na sprawiedliwy proces.

— A zatem przynajmniej na tej pustyni istnieje sprawiedliwość?

— Jak już powiedziałem, na takie miejsca można trafić we wszystkich wymiarach multiwszechświata. Trwają dzięki mężczyznom i kobietom, których zasady są czyste i na wskroś ludzkie. . .

— To zatem o kazbę, nie o Tanelorn chodziło w legendach, które przywiodły mnie na Pustynię Westchnień?

— To nie jest Tanelorn, bowiem Tanelorn jest wieczne. Kazba Moulor Ka Riiz istnieje dzięki nieustannej czujności. Jest antytezą Quarzhasaat i władcy miasta wielokrotnie próbowali ją zniszczyć.

Elryk poczuł powracający głód eliksiru, ale zwalczył pokusę, by sięgnąć po manierkę.

— Czy bywa też nazywana Perłową Fortecą? Alnac Kreb roześmiał się nagle.

— Och, dobry książę, naprawdę mgliste masz pojęcie o miejscu i obiekcie, których szukasz. Niech ci wystarczy, gdy powiem, że Perłowa Forteca może równie dobrze istnieć wewnątrz kazby, jak kazba wewnątrz forticy. Ale nie są tym samym!

— Proszę, panie Alnac, dość mam tych zagadek! Udawałem, że wiem cokolwiek na ten temat najpierw, by umknąć rychłej śmierci, potem, by uratować od niej kogoś innego. Byłbym nader wdzięczny za oświecenie w owej materii. Lord Gho Fhaazi uznał mnie za Złodzieja Snów, z czego wynikałoby, że Złodziej Snów powinien wiedzieć wszystko o Krwawym Księżycu, o Spiżowym Namiocie, jak i znać położenie Perłowej Forticy.

— No dobrze. Niektórzy Złodzieje Snów wiedzą więcej niż inni. Jeśli, jak mówiłeś, tego zadania nie mogą wykonać Czarownicy, Poszukiwacze Przygód z Quarzhasaat i potrzebny jest aż Złodziej Snów, to znaczy, że Perłowa Forteca jest zapewne czymś więcej niż tylko stosem spojonych zaprawą kamieni. Istnieje najpewniej w wymiarach dostępnych jedynie dla wprawnego Złodzieja Snów. Bardziej doświadczonego niż ja.

— Wiesz chyba, że w moich osobliwych wędrówkach zaglądałem również i do innych wymiarów. Nie jestem zupełnym laikiem w tych sprawach. . .

— Te wymiary dla większości są niedostępne. — Alnac wahał się mówić dalej, ale Elryk naciskał.

— Gdzie one leżą? — Usiłował dojrzeć szczegóły kazby Moulor Ka Riiz, ale słońce osunęło się już zbyt nisko. — Na Wschodzie? Za Elwher? Czy może w innej części multiuniwersum?

— Przysięgamy udostępniać jak najmniej z naszej wiedzy, chyba że sytuacja jest szczególna. Ale powiem ci, że te wymiary leżą zarówno bliżej i dalej niż Elwher. Obiecuję ci, że nie wprowadzę cię więcej w błąd, jak już to się zdarzyło. Jeśli będę w stanie wspomóc cię informacjami w twej misji, uczynię to również. — Roześmiał się, by rozładować sytuację. — Lepiej przygotuj się, książę. Będziemy mieli towarzystwo. O ile się nie mylę, będzie to liczne towarzystwo i zaszczyci nas zaraz po zapadnięciu nocy.

Księżyc wzeszedł zanim jeszcze zniknęły ostatnie promienie słońca i zawisł srebrnoróżowawy niby rzadka perła, gdy podróżnicy dotarli na wzniesienia na końcu Czerwonej Drogi i z góry spojrzeli na tysiące ognisk płonących pomiędzy równym bezlikiem wysokich namiotów rozbitych wprost na piasku niczym owady rozkładające skrzydła w nadziei złapania słonecznego żaru. Wewnątrz namiotów płonęły lampy, a mężczyźni, kobiety i dzieci wchodzili do nich i wychodzili. W powietrzu unosił się miły zapach ziół, przypraw, jarzyn i mięs zmieszany z lekką wonią dymu z ognisk, szybując ponad grupę skał, na których wzniesiono kazbę

Moulor Ka Riiz, masywną wieżę obrosłą licznymi budynkami o wspaniałej architekturze, otoczoną zwieńczonym blankami murem, o nieregularnych, monumentalnych proporcjach. Wszystko wzniesiono z tego samego czerwonego kamienia, który zdawał się wyrastać z każdego spłachetka ziemi i piasku w pobliżu warowni.

Na blankach płonęły wielkie pochodnie, w ich świetle widać było zbrojnych, bez wątpienia strażników, patrolujących mury i dachy. Przez wysokie bramy i przez wykuty w żywej skale most przelewał się w obu kierunkach potok ludzkiej cizby.

Zgodnie ze słowami Alnaca nie był to tylko przystanek dla zwykłych karawan, jaki Elryk bardziej oczekiwał ujrzeć na Czerwonej Drodze.

Nikt ich nie zaczepiał, gdy zjeżdżali ku szerokiej tafli wody otoczonej bujnie przez palmy, cyprysy, topole, figowce i kaktusy, choć wielu patrzyło z nieskrywaną ciekawością, nie zawsze przyjazną.

Niektórzy nomadzi mieli konie podobne do rumaka Elryka, inni trzymali stworzenia podobne do wierzchowca Alnaca. Zewsząd dobiegały porykiwania, pochrząkiwania, dało się zauważyć, że za polem namiotów rozciąga się zagroda dla bydła, w której zamknięto owce, kozy i podobny inwentarz.

Przede wszystkim jednak spojrzenie przyciągała scena rozgrywająca się nas samą wodą, gdzie w półkolu lśniło kilkaset lub i więcej pochodni.

Wszystkie płonęły jasno białym i równym płomieniem w rękach otulonych w płaszcze i zakapturzonych postaci. Pośrodku blasku widniało rzeźbione drewniane podwyższenie.

Obaj nowo przybyli wstrzymali wierzchowce zafascynowani, by popatrzeć, podobnie jak wielu nomadów, którzy podchodzili powoli do obrzeży półkręgu, by wziąć udział w jakiejś, najwyraźniej bardzo istotnej, ceremonii. Świadkowie przystawali w pozie pełnej szacunku, a szaty i przebrania pozwalały rozpoznać obecność wielu klanów. Wśród nomadów byli ludzie o różnym kolorze skóry — czarni jak Alnac Kreb, niemal białoskórzy jak Elryk i w rozmaitych odcieniach pośrednich, lecz wszyscy mieli podobne rysy z mocnymi kośćmi policzkowymi i głęboko osadzonymi oczami. Tak kobiety, jak i mężczyźni byli wysocy i poruszali się ze szczególnym wdziękiem. Elryk nigdy nie widział tylu przystojnych ludzi naraz i był pod wrażeniem ich naturalnej godności, w takim samym stopniu, w jakim odrazą napelniały go arogancja i degradacja napotkane w Quarzhasaat.

U stóp wzgórza pojawiła się procesja sześciu mężczyzn dźwigających wielką, zamkniętą skrzynię. Niezwykle powoli podeszli do podwyższenia.

W jasnym świetle można było poznać, że każdy z szóstki pochodzi z innego klanu, niemniej wszyscy są równie wysocy i w średnim wieku. W nocnym powietrzu rozległ się ostry i wyraźny dźwięk pojedynczego bębna. Po chwili dołączył następny, potem kolejny, aż przynajmniej dwadzieścia ich grzmiało ponad wodami oazy i dachami kazby. Zrazu powolnie, wybijały skomplikowany i subtelny rytm, który wzbudził podziw Elryka.

— Czy to jest pogrzeb? — spytał nowego przyjaciela.

Alnac przytaknął.

— Ale nie wiem, kogo chowają. — Wskazał na szereg symetrycznych pagórków za drzewami. — To są tereny pogrzebowe nomadów.

Naprzód wystąpił starzec z brwiami i brodą bielejącymi pod kapturem, i zaczął odczytywać coś ze zwoju wyciągniętego z rękawa. Dwóch innych otworzyło misterne wieko trumny i, ku wielkiemu zdumieniu Elryka, napłuło do środka.

Alnac westchnął z przejęciem. Stojąc na palcach, usiłował dojrzeć coś w jasno oświetlonym pochodniami wnętrzu trumny.

— Jest pusta, książę Elryku. Chyba że ciało jest niewidzialne.

Bębny przyspieszyły coraz bardziej urozmaicony rytm.

Rozległ się falujący niczym fale oceanu śpiew wielu głosów. Elryk nigdy nie słyszał takiej muzyki. Poruszała najgłębsze struny, wydobywała z głębi serca gniew, żal, skłaniała niemal do płaczu, do przyłączenia się do coraz głośniejszego chóru. Słowa były całkiem niezrozumiałe i wydawały się pochodzić z języka o wiele starszego niż Melnibonéański, który był najdawniejszą mową w Młodych Królestwach.

Nagle i bębny, i śpiew umilkły.

Sześciu mężczyzn podniosło trumnę z podwyższenia i odmaszerowało w kierunku kurhanów, inni podążyli za nimi z pochodniami wydobywającymi z mroku osobliwe ścieżki bieli wijące się pomiędzy rzucającymi ostre cienie drzewami.

Zatrzymali się nagle i pieśń powróciła, tym razem bardziej uroczysta, triumfująca. Tłum uniósł głowy i z kilkuset gardeł dobyło się zawodzenie, mające najwyraźniej być rytualną odpowiedzią.

Tłum nomadów zaczął rozptylać się w kierunku namiotów. Alnac zatrzymał jedną z kobiet w bogatych zielono-złoty szatach i wskazał na znikającą procesję.

— Czy to był pogrzeb, siostrze? Nie dostrzegłem ciała.

— Ciała tu nie ma — powiedziała, uśmiechając się w zmieszaniu. — To był rytuał zemsty wszystkich klanów podjęty za namową Raika Na Seema. Ciała nie ma, bo ten ktoś nie dowie się o swojej śmierci pewnie jeszcze przez parę miesięcy. Pogrzebaliśmy go teraz, ponieważ na razie jest poza naszym zasięgiem. To nikt z nas, nie pochodzi z pustyni. Niemniej jest już martwy, chociaż jeszcze tego nie zauważył. To nie była żadna pomyłka. Nie mamy tylko jego fizycznej powłoki.

— To wróg twego ludu, siostrze?

— Tak. To wróg. Wysłał ludzi, by ukradli nasz największy skarb. Nie udało im się, lecz ich klęska sporo nas kosztowała. Ale chyba cię znam? Ty jesteś tym, na powrót którego liczy Raik Na Seem. Wysłał po Złodzieja Snów. — Spojrzała na podwyższenie, gdzie w świetle pojedynczej pochodni stała potężna postać, pochylona niby w modlitwie. — Jesteś naszym przyjacielem, Alnakiem Krebem, który już nam kiedyś pomógł.

— Owszem, miałem zaszczyt wyświadczać waszemu ludowi już pewne przysługi. — Alnac, zgodnie z obyczajem, podziękował za pamięć.

— Raik Na Seem czeka na ciebie — powiedziała. — Idź w pokoju i niech pokój spłynie na twoją rodzinę i przyjaciół.

Alnac Kreb odwrócił się zdumiony do Elryka.

— Nie wiem, czemu Raik Na Seem wysyłał po mnie, ale powinienem to sprawdzić. Poczekasz tutaj, czy zechcesz mi towarzyszyć, książę?

— Coraz bardziej mnie to intryguje. Chciałbym dowiedzieć się jak najwięcej.

Przeszli pomiędzy drzewami, aż stanęli u granic oazy, gdzie przystanęli, oczekując. Starzec, który stał nieporuszony od chwili odniesienia trumny, odwrócił się w końcu i widać było, że płakał. Ujrzawszy Alnaca, wyprostował się i uśmiechnął, rozpoznając gościa.

— Mój przyjacielu! — powiedział, rozkładając ramiona.

— Pokój z tobą, Raiku Na Seemie. — Alnac podszedł i objął starca, któremu nie sięgał nawet do ramion. — Przeprowadziłem przyjaciela. Nazywa się Elryk z Melniboné i pochodzi z ludu wielkich nieprzyjaciół Quarzhasaat.

— Złotymi zgłoskami wryję to imię w moje serce — powiedział Raik Na Seem. — Pokój z tobą, Elryku z Melniboné. Jesteś tu miłym gościem.

— Raik Na Seem jest Pierwszym Najstarszym Klanu Bauradimów — stwierdził Alnac. — A dla mnie jest ojcem.

— Pobłogosławiony zostałem dobrym, dzielnym synem. — Starzec wskazał w kierunku namiotów. — Chodźcie, odpoczniecie u mnie.

— Z chęcią — odparł Alnac. — Chętnie też dowiem się, czemu pogrzebano pustą trumnę i kim jest ten wróg, że pochowano go z takim ceremoniałem.

— Och, to najgorszy z łotrów, co do tego nie ma wątpliwości. — Starzec westchnął głęboko, prowadząc ich pomiędzy odciągami namiotów, aż doszli do masywnego pawilonu wyłożonego zdobnymi dywanami. Pawilon podzielony był na szereg pomieszczeń, do których przechodziło się kolejno, a wszystkie zajęte były przez rodzinę Raika Na Seema, dość liczną, by samodzielnie utworzyć szczepek. Wyczuwając zapach przygotowywanych potraw, usiedli na poduszkach i zaraz podsunęto im misy z perfumowaną wodą do obmycia.

W końcu, już podczas jedzenia, starzec rozpoczął opowieść. W miarę gdy się rozwijała, Elryk zrozumiał, że Los rzucił go do Oazy Srebrnego Kwiatu w wyjątkowo dogodnym czasie. Wiele z tego, co słyszał dotąd, zaczynało nabierać dlań znaczenia. Podczas Krwawego Księżyca, opowiadał Raik Na Seem, przybyła do oazy grupa mężczyzn wypytyjących o drogę do Perły. Bauradimowie zrozumieli, o co chodzi, bowiem ich literatura wiele mówi o Perle, ale traktuje ją jedynie jako poetycką metaforę, coś będącego pożywką dla uczonych i innych poetów. Powiedzieli o tym przybyszom i mieli nadzieję, że tamci czym prędzej odjadą. Byli to członkowie Sekty Wróbla z Czarowników, Poszukiwaczy Przygód z Quarzhasaat, znani powszechnie z czarnej magii i okrucieństwa. Bauradimowie nie pragnęli

zwady z jakimikolwiek mieszkańcami miasta, z którym handlują. Ale sekciarze nie odeszli, tylko dalej poszukiwali kogokolwiek, kto wskazałby im drogę. W ten sposób dowiedzieli się o córce Raika Na Seema.

— Varadii? — spytał zaniepokojony Alnac Kreb. — Ale chyba nie sądzili, że ona wie coś o klejnocie?

— Usłyszeli, że jest naszą Świętą Dziewczyną, która ma stać się kiedyś naszą przywódczynią duchową i sprowadzić mądrość i zaszczyty na nasz klan. Wymyślili sobie, że skoro ona posiada całą naszą wiedzę, to będzie też wiedziała, gdzie znaleźć Perłę. Usiłowali ją porwać.

W Alnacu wzbierał gniew.

— I co było dalej, ojczy?

— Oszołomili ją narkotykiem i uprowadzili. Dowiedzieliśmy się o zbrodni i ruszyliśmy w pogoń. Dopadliśmy ich, zanim jeszcze dotarli do połowy Czerwonej Drogi. W wielkim strachu zagrozili nam potęgą swego pana, który wynajął ich do poszukiwań Perły i kazał użyć wszelkich możliwych sposobów, by ją zdobyć.

— Czy to imię brzmi Gho Fhaazi? — spytał cicho Elryk.

— Tak, książę. — Raik Na Seem spojrzał nań z zaciekawionym. — Znasz go?

— Znam. Znam go aż za dobrze. Czy to jego pochowaliście?

— Tak.

— Na kiedy planujecie jego śmierć?

— Niczego nie planujemy. Obiecaliśmy ją tylko. Czarownicy próbowali na nas swoich sztuczek, lecz pośród nas też są biegli w tej czarach i łatwo odparliśmy atak. Nie używamy zwykle tych mocy, niekiedy jednak trzeba po nie sięgnąć. Przywołaliśmy ze świata podziemi bestię, która pożarła członków Sekty Wróbla, i zostawiła nam prorocтво, że ich mocodawca umrze w ciągu roku, zanim zajdzie następny Krwawy Księżyc.

— A co z Varadią? — spytał niecierpliwie Alnac. — Co z twoją córką?

— Została uśpiona narkotykiem, jak wspomniałem, ale przeżyła. Przywieźliśmy ją z powrotem.

— Wyzdrowiała?

— Budzi się raz na miesiąc — powiedział Raik Na Seem opanowując żal. — Ale sen nie chce jej opuścić. Gdy ją znaleźliśmy, otworzyła oczy i kazała się zanieść do Spizowego Namiotu. Tam śpi już niemal od roku i wiemy, że tylko Złodziej Snów może ją uratować. To dlatego prosiliśmy każdego napotkanego podróżnika i karawanę, by rozpowiadali, że poszukujemy Złodzieja Snów. Szczęśliwi jesteśmy, Alnacu Krebie, że prośby dotarły do naszego przyjaciela.

Alnac pokręcił głową.

— To nie wasza wiadomość mnie tu sprowadziła, Raiku Na Seemie.

— Niemniej — stwierdził starzec z filozoficznym spokojem — jesteś tutaj i możesz nam pomóc.

Alnac Kreb zmieszał się, lecz szybko opanował emocje.

— Przysięgam, że zrobię co w mojej mocy. Rano udam się do Spiżowego Namiotu.

— Jest dobrze strzeżony, bowiem mieszkańcy Quarzhasaat wracali jeszcze potem i musieliśmy bronić naszej Świętej Dziewczyny przed ich zakusami. To akurat było proste. Ale wspomniłeś coś, książę Elryku, o naszym wrogu, którego pochowaliśmy? Co o nim wiesz?

Elryk odczekał tylko kilka sekund, nim się odezwał. Opowiedział Raikowi Na Seemowi wszystko, co się zdarzyło: jak został podstępnie oszukany przez lorda Gho, co przykazano mu odnaleźć i do jakiego lord Gho uciekł się szantażu. Nie chciał kłamać starcowi, co najwyraźniej zostało docenione, bo chociaż twarz Pierwszego Najstarszego pociemniała od gniewu, to gdy opowieść dobiegła końca, Raik Na Seem ucisnął ramię Elryka w geście wyraźnej sympatii i współczucia.

— Ironia tkwi w tym, przyjacielu, że wszystko to istnieje tylko w naszej poezji i nigdy nie słyszeliśmy o Perłowej Fortecy.

— Winienesz wiedzieć, że nie chcę skrzywdzić Świętej Dziewczyny — powiedział Elryk. — I że jeśli mogę pomóc jakkolwiek tobie lub twoim ludziom, uczynię to z ochotą. Moja misja kończy się tutaj i teraz.

— Ale trucizna zabije cię, zanim znajdziesz antidotum. Potem on zabije twojego przyjaciela. Nie, nie, spójrzmy na sprawę inaczej, książę Elryku, i poszukajmy pozytywnych rozwiązań twego problemu. Zresztą jest to nasz wspólny problem, jak sądzę, bowiem wszyscy padliśmy ofiarą tego rychło martwego już władcy. Musimy zastanowić się, jak zniweczyć jego intrygi. Możliwe też, że moja córka naprawdę wie coś o legendarnej Perle, bowiem jest naczyniem zawierającym całą naszą mądrość i już teraz wie więcej, niż moja biedna głowa kiedykolwiek pomieści. . .

— Jej wiedza i inteligencja są równie godne podziwu jak jej piękność i wdzięk — powiedział Alnac Krebs, wciąż wzburzony postępками Quarzhasaatyńczyków wobec Varadii. — Gdybyś ją znał, Elryku. . . — urwał, roztrzęsiony.

— Wszystkim nam przyda się chyba teraz odpoczynek — powiedział starzec. — Będziecie naszymi gośćmi, a rano zabiorę was do Spiżowego Namiotu, by rzucić okiem na moją śpiącą córkę i miejmy nadzieję, że połączywszy naszą wiedzę znajdziemy sposób, by zwrócić jej umysł ku jawie.

Tej nocy, śpiąc w luksusie, który odnaleźć można jedynie w namiocie bogatego nomady, Elryk znów śnił o Cymoril uwięzionej przez Yyrkooną w narkotycznym transie. Wydawało mu się, że leży tuż obok niej, że są jednym i tym samym, jak zwykle bywało, gdy sypiali razem. Nagle ujrzał nad sobą wysoką postać Raika Na Seema i wiedział, że nie tamten pamiętany z odległego dzieciństwa neurotyczny tyran był kiedyś jego ojcem, ale ten właśnie starzec — i zrozumiał, skąd wzięły się obsesje dotyczące moralności i sprawiedliwości. To Bauradimowie byli jego prawdziwymi przodkami. . . Ogarnął go spokój wraz z nowym, niepokoi-

jącym uczuciem. Gdy się obudził rano, poczuł pragnienie, to eliksir upominał się o swoje prawa. Elryk sięgnął po manierkę i upił mały łyk, po czym wstał, umył się i przyłączył do Alnaca i Raika Na Seema siedzących już przy śniadaniu.

Potem starzec zawołał o rącze i wytrzymałe wierzchowce, z których znany był klan Bauradimów i zaraz przyprowadzono im trzy z oazy, która kipiała od wszelkiej aktywności. Swoje przedstawienia zaczęli już komedianci, kuglarze i zaklinacze węży, wokół gawędziarzy i bardów zebrały się grupy dzieci, podczas gdy ich rodzice zajmowali się interesami. Dosiedli rumaków i odjechali w kierunku rysujących się mgliście na porannym horyzoncie Strzępiastych Filarów, gór od wieków rzeźbionych przez wiatry Pustyni Westchnień, aż naprawdę przypominać zaczęły wielkie kolumny obtłuczonego czerwonego kamienia wspierające samo sklepienie nieba. Elrykowi wydawało się z początku, że widzi ruiny jakiegoś starożytnego miasta, ale Alnac Krebs wyprowadził go z błędu.

— W rzeczy samej, w tej okolicy spotkać można wiele ruin farm, małych wiosek, a nawet całych miast, niegdyś pochłoniętych przez pustynię, a teraz czasem odsłanianych przez wiatry. Wielu budowało tu nawet po nadejściu pustyni, wierzyli, że wszystko szybko wróci do normy. Nie pierwsi to i nie ostatni budujący zamki na piasku. . .

Raik Na Seem pewnie prowadził ich przez pustynię, chociaż nie korzystał z mapy ani z kompasu. Najwyraźniej znał drogę lub odnajdywał ją instynktem.

Zatrzymali się tylko raz, przy niewielkiej kolonii kaktusów niemal całkowicie zasypanych przez piasek. Raik Na Seem uciął kilka roślin tuż przy korzeniach, obrał je zręcznie i rozdał soczyste kawałki przyjaciółom.

— Kiedyś płynęła tu rzeka — powiedział. — Jej ślad trwa głęboko pod ziemią. Kaktusy pamiętają.

Słońce sięgało zenitu i Elrykowi zaczęło dokuczać gorąco. Chcąc dotrzymać kroku pozostałym dwóm, musiał łyknąć nieco eliksiru. Dopiero pod wieczór, gdy Strzępiaste Filary były już wyraźnie bliżej, Raik wskazał na coś lśniącego w ostatnich promieniach słońca.

— To Spizowy Namiot. Ludzie pustyni udają się tam, gdy muszą oddać się medytacjom.

— To wasza świątynia? — spytał Elryk.

— Najbardziej ze wszystkiego przypomina świątynię. Tam zagłębiamy się w nasze wnętrza. To jedyne, co w jakimś stopniu łączy nas z religiami Zachodu. Tam też mieszka nasza Święta Dziewczyna, wyobrażenie naszych ideałów, naczynie mądrości naszej rasy.

— Zawsze tam przebywa? — spytał zdumiony Alnac.

Raik Na Seem pokręcił głową, jakby rozbawiony.

— Teraz, gdy śpi nienaturalnym snem. Jak wiesz, przedtem była normalną dziewczynką, radością dla wszystkich, którzy ją znali. Może z twoją pomocą znów będzie taka.

— Nie powinieneś oczekiwać zbyt wiele po mojej pomocy. — Alnac zmarszczył brwi. — Jestem w najlepszym razie niezbyt doświadczonym Złodziejem Snów. Tak powiedzieliby ci, wraz z którymi pobierałem nauki mojego rzemiosła.

— Ale ty jesteś naszym Złodziejem Snów — uśmiechnął się smutno Raik Na Seem i położył dłoń na ramieniu Alnaca. — I naszym dobrym przyjacielem.

Słońce zaszło, zanim dotarli do wielkiego namiotu, który przypominał te widziane w Oazie Srebrnego Kwiatu, był jednak kilkanaście razy większy, a jego ściany były ze spiżu.

Księżyc pojawił się na niebie niemal dokładnie nad namiotem i wydawało się, że słońce zdążyło dotknąć go, nim zaszło, bowiem lśnił tak jasno, jak jeszcze nigdy nie zdarzyło się widzieć Elrykowi w Młodych Królestwach. Wstrzymał oddech ze zdziwienia, uświadamiając sobie znaczenie proroctwa.

Krwawy Księżyc wszedł ponad Spiżowym Namiotem. Droga do Perłowej Fortecy powinna stanąć otworem.

Chociaż dawało to Elrykowi szansę na ocalenie własnego życia, księżę Mel-niboné poczuł, że tylko dodaje brzemienia do jego ciężaru trosk.

Rozdział 5

ŚLUBOWANIE ZŁODZIEJA SNÓW

— Oto gdzie znajduje się nasz skarb — powiedział Raik Na Seem. — Oto co usiłowali nam wykraść chciwi mieszkańcy Quarzhasaat. — A w jego głosie pobrzmiwały zarówno złość, jak i żal.

W samym środku chłodnego wnętrza Spiżowego Namiotu oświetlonego przez setki małych lampek zawieszonych ponad legowiskami i dywanami zajętymi przez pogrążonych w głębokiej kontemplacji mężczyzn i kobiety, widniało podwyższenie, na którym ustawiono misternie rzeźbione, zdobne jasnymi turkusami, mlecznymi jadeitami, macicą perłową, srebrem i białym złotem łoże. Na pościeli leżała młoda dziewczyna około trzynastu lat. Jej drobne dłonie złożono na regularnie podnoszącej się i opadającej piersi. Była piękną pośród swego ludu, a jej miodowe włosy pięknie kontrastowały ze śniadą skórą. Wydawać by się mogło, że pogrążona jest w normalnym dla dziecka w jej wieku śnie, gdyby nie to, że błękitne niczym cudowne morze Vilmirian oczy wpatrywały się nieruchomo i bez mrugnięcia w sufit Spiżowego Namiotu.

— W moim kraju sądziliśmy, że Quarzhasaat przywiodło się do ostatecznej zguby — powiedział Elryk. — Gdyby tak było naprawdę lub gdybyśmy wówczas okazali mniej arogancji i dokończyli dzieło rozpoczęte przez czarowników! — Rzadko okazywał tak silne emocje wobec pokonanych dawno już wrogów, ale lord Gho, który bez wątpienia był za to odpowiedzialny, budził w nim wstręt. Książę rozpoznawał rodzaj zastosowanych czarów i miał wrażenie, że sam kiedyś się ich uczył, chociaż to Yyrkoon okazywał zawsze o wiele większe zainteresowanie takimi sztukami i podejmował się rzeczy, na które Elryk się nie ważył.

— No i kto może ją teraz uratować? — spytał cicho Raik Na Seem, jakby zakłopotany głośnym zachowaniem Elryka w miejscu medytacji.

Albinos zapanował nad sobą i przeprosił gestem za wybuch.

— Czy nie ma napoju, który mógłby ją obudzić?

Raik Na Seem pokręcił głową.

— Wszystkich pytaliśmy i wszędzie szukaliśmy. Zakłęcie rzucił przywódca Sekty Wróbla, który zginął, gdy przedwcześnie zapragnęliśmy zemsty.

Raik Na Seem wyprowadził ich pomiędzy pogrążonymi w medytacji, obojętnymi na wydarzenia wokoło postaciami z powrotem na pustynię, gdzie stały warty. Lampy i pochodnie rzucały wielkie cienie na piasek, a światło rubinowego księżyca niczym krwawy przypyływ zalewało wszystko szkarłatem. Elryk przypomniał sobie, jak kiedyś, w młodości, zwykł spoglądać we wnętrze Actoriosa wyobrażając sobie, iż klejnot jest przejściem do innych światów, a każda ścianka brylantu to brama do jednego wymiaru. Czytał wówczas sporo o multiwszechświecie i o teoriach dotyczących jego budowy.

— Wykradnij sen, który ją więzi — powiedział Raik Na Seem — a wszystko, co mamy, należeć będzie do ciebie, Alnacu Krebie.

Przystojny czarny młodzieniec zaprzeczył ruchem głowy.

— Uratowanie jej będzie dla mnie największą i jedyną nagrodą, ojcze. Obawiam się jednak, że nie jestem dość biegły... Czy ktoś już próbował?

— Chciano nas oszukać. Czarownicy, Poszukiwacze Przygód z Quarzhasaat, sądząc zapewne, że posiadli twoją wiedzę, a może licząc na to, iż dadzą radę zadaniu przeznaczonemu wyłącznie dla Złodzieja Snów, przybyli tu podając się za przedstawicieli twego fachu. Wszyscy postradali zmysły na naszych oczach, kilku umarło. Puściliśmy paru wolno, by wrócili do Quarzhasaat jako ostrzeżenie dla innych. Szkoda ich żywotów, szkoda naszego czasu.

— Wydajesz się być wielce cierpliwy, Raiku Na Seemie — powiedział Elryk wspominając to, co już słyszał i rozumiejąc coraz lepiej, czemu lord Gho tak rozpaczliwie poszukiwał Złodzieja Snów. Opowieści szalonych Czarowników, którzy wrócili do miasta, musiały zostać przekreścone. Lord Gho dodał zapewne jeszcze swoje i dopiero w tak zniekształconej postaci dotarły do Elryka. Teraz albinos mógł się przekonać, że posiadaczem informacji na temat drogi do Perły w Sercu Świata jest dziecko. Jako skarbnica wszelkiej wiedzy jej ludu, bez wątpienia musiała znać położenie Fortecy. Może zresztą nie wolno jej zdradzić go komukolwiek. Tak czy inaczej, zanim podejmie się jakiegokolwiek dalsze kroki, trzeba obudzić Varadię z magicznego snu. Elryk wiedział jednak, że nawet wówczas nie będzie skłonny brać dziewczyny na spytki, błagać o zdradzenie sekretu, do którego nie miał żadnych praw. Mógł liczyć tylko na to, że tajemnica zostanie mu wyjawiona dobrowolnie, bez stawiania jakichkolwiek pytań. Nie byłby do tego zdolny.

Raik Na Seem zdawał się rozumieć dylemat albinosa.

— Mój synu, jesteś przyjacielem mojego syna — powiedział oficjalnym tonem. — Wiemy, że nie jesteś naszym wrogiem i że nie przyszedłeś tu z własnej woli, by nas okraść. Wiemy też, że nie miałeś zamiaru zabierać niczego, co ma dla nas wartość. Wiedz zatem, Elryku z Melniboné, że jeśli Alnac Kreb obudzi naszą

Świątą Dziewczyne, uczynimy co w naszej mocy, by skierować cię na drogę do Perłowej Fortecy. Powstrzymać nas może jedynie zdanie Varadii, gdyby ostrzegła nas przed takim postępkim. Nawet wówczas jednak nie będziemy tego przed tobą ukrywali.

— Trudno o bardziej ucziwe postawienie sprawy — powiedział Elryk z wdzięcznością. — Ślubuję strzec twej córki przed każdym, kto chciałby ją skrzywdzić i przyrzekam czuwać przy niej, aż Alnac sprowadzi jej umysł z powrotem.

Alnac wstał i odszedł na skraj kręgu blasku pochodni, gdzie przystanął w zamyśleniu. Jego biały płaszcz przybrał w świetle Krwawego Księżyca kolor ciemnego różu. Złodziej Snów wyjął zza pasa swą laskę i trzymał ją w obu dłoniach mrużąc coś do niej tak jak Elryk, gdy rozmawiał z mieczem.

W końcu odwrócił się z powrotem do towarzyszy. Na jego twarzy malowała się powaga.

— Zrobię co w mojej mocy — powiedział. — Przywołam wszystkie me siły i całą wiedzę, ale muszę was ostrzec, że nie przewyciężyłem jeszcze wszelkich słabości mego charakteru. Łatwo jest egzorcyzmować zmory nocne kupca lub zakochanego chłopaka, lecz to, co widzę tutaj, może pokonać najbieglejszego nawet i najbardziej doświadczonego Złodzieja Snów. Uda mi się albo przegram, nie ma wyjść pośrednich. Ze względu na okoliczności i na naszą starą przyjaźń, jak i na to, że pogardzam Czarownikami, Poszukiwaczami Przygód, spróbuję jednak.

— Na nic więcej nie liczę — powiedział smutno Raik Na Seem pozostając pod wrażeniem tonu Alnaca.

— Jeśli się uda, sprowadzisz duszę tego dziecka z powrotem na świat — powiedział Elryk. — A co stracisz przegrywając?

— Zapewne nic szczególnie cennego. — Alnac wzruszył ramionami.

Wpatrując się w twarz przyjaciela, Elryk rozpoznał kłamstwo, ale zauważył też, że Alnac nie chce być wypytywany w tej kwestii.

— Muszę odpocząć — powiedział Alnac. — I zjeść coś. — Owinął się w płaszcz i spojrzał ciemnymi oczami na Elryka tak przenikliwie, jakby za wszelką cenę pragnął podzielić się z nim jakimś sekretem wiedząc, że to i tak niemożliwe. A potem roześmiał się nagle. — Jeśli obudzę Varadię i okaże się, że naprawdę wie coś o Perle, to wyjdzie na to, że wykonuję twoją robotę, książę Elryku. Oczekiwać będę wtedy, że podzielisz się ze mną nagrodą.

— Moją nagrodą będzie zgładzenie lorda Gho — odparł cicho Elryk.

— Tak — mruknął Alnac, kierując się do Spiżowego Namiotu, który błyszczał niczym na wpeł niematerialne dzieło Chaosu. — O to właśnie mi chodzi!

Oprócz głównej sali namiot zawierał również szereg mniejszych pomieszczeń, gdzie podróżnicy zażyć mogli odpoczynku. Udawszy się do jednego z nich, cała trójka ułożywszy się na posłaniach i czuwając, rozmyślała o czekającym ich następnego dnia zadaniu. Nie rozmawiali, ale minęło jeszcze kilka godzin, nim

usnęli.

Gdy rano podeszli do miejsca, gdzie spoczywała Święta Dziewczyna, zebrani w Spiżowym Namiocie odsunęli się od nich z szacunkiem. Alnac Krebs ujął delikatnie różdżkę snów w prawą dłoń i zapatrzył się w twarz dziecka, które kochał niemal tak jak własną córkę. Westchnął głęboko. Wyglądał na wyczerpanego i bardzo nieszczęśliwego, jakby sen wcale nie przyniósł mu wypoczynku. Odwrócił się z uśmiechem do albinosa.

— Gdy widziałem cię pociągającego ze srebrnej manierki, przyszło mi do głowy, że mógłbym poprosić cię o łyk. . .

— Ale to trujący narkotyk, on uzależnia — powiedział wstrząśnięty Elryk. — Tyle już ci chyba wyjaśniłem.

— Owszem. — Oblicze Alnaca zdradzało, że znowu drażą go myśli, którymi nie sposób podzielić się z kimkolwiek. — Ale pomyślałem, że w tych okolicznościach nie ma co przejmować się tego rodzaju skutkami.

— Bo ich nie znasz — odparł z naciskiem Elryk. — Uwierz mi, że gdybym tylko mógł tym ci pomóc, nie zawahałbym się. Ale podanie trucizny nie mieści się w regule przyjaźni. . .

Alnac Krebs uśmiechnął się lekko.

— W rzeczy samej, w rzeczy samej. — Przerzucił różdżkę z jednej dłoni do drugiej. — Ale będziesz mnie obserwował?

— To obiecuję. I obiecuję też, że w nakazanej przez ciebie chwili wezmę i wyniosę różdżkę ze Spiżowego Namiotu.

— To wszystko, co możesz zrobić, ale i za to dziękuję. Zaczynam. Żegnaj na czas jakiś, Elryku. Myślę, że pisane nam jest spotkać się jeszcze, ale zapewne nie w tym wcieleniu.

Wypowiedziawszy te tajemnicze słowa, Alnac Krebs podszedł do śpiącej dziewczynki. Różdżkę przybliżył do jej niewidzących oczu, ucho przyłożył do piersi i wpatrzył się w przestrzeń, jakby wpadając w trans. Wyprostował się chwiejnie i wziął dziecko w ramiona, opuszczając je powoli na dywan. Położył się potem obok niej ujmując jej pozbawioną życia dłoń we własną, w drugiej ręce trzymając wciąż różdżkę. Oddychał teraz wolniej, ale głębiej i Elrykowi wydało się, że słyszy pieśń dobiegającą z ust Złodzieja Snów.

Raik Na Seem pochylił się, by zajrzeć Alnacowi w twarz, lecz ten go nie widział. Nasunął różdżkę tak, by haczykowata końcówka spięła razem dłonie jego i dziewczyny niby zabezpieczenie przez rozdzielaniem.

Ku swemu zdumieniu, Elryk ujrzał, że różdżka snów zaczyna lśnić lekko, pulsujące. Alnac oddychał coraz głębiej, usta miał otwarte i zupełnie jak Varadia wpatrywał się martwo przed siebie.

Elrykowi wydało się, jakby dziewczynka coś szepnęła, a na pewno widział, że pomiędzy nią a Alnakiem przebiegł impuls i różdżka wyraźnie już pulsuje w rytm oddechów obojga.

Nagle magiczne narzędzie zaczęło skręcać się i wić ze zdumiewającą prędkością pomiędzy oboma postaciami. Wydawało się, że wnika we wszystkie arterie, zastępując krew. Alnac krzyknął i jego oddech zmienił się w płytkie, niemal niewyczuwalne chwytnie powietrza, podczas gdy dziewczynka nadal oddychała głęboko i miarowo.

Różdżka wróciła do Alnaca. Zdawała się wyrastać z jego ciała, będąc jednością z kręgosłupem i czaszką — hak płonął wewnątrz mózgu rozsiewając blask, w którym doskonale widać było wszystkie kości, arterie i organy.

Dziecko wyglądało nadal tak samo, ale gdy Elryk przyjrzał mu się bliżej, stwierdził z przerażeniem, że niebieskie dotąd oczy przybrały barwę bezdennej czerni. Niepewnie spojrzął na oblicze Alnaca i ujrzał to, czego wcale nie pragnął zobaczyć. Jego oczy zrobiły się jasnoniebieskie. Zupełnie jakby tych dwoje wymieniało się duszami.

Mając niejaki doświadczenie w magii, albinos nie spotkał się nigdy z czymś takim. Zaniepokojony do ostatnich granic, zaczynał rozumieć, na czym polega zawód Złodzieja Snów, czemu może być tak niebezpieczny i dlaczego tak niewielu, z każdym rokiem coraz mniej, decyduje się go uprawiać.

Zmiany nie ustawały. Zakrzywiona laska wiła się znów, wchłaniając teraz materię ciała Złodzieja Snów, nie gardząc ni krwią, ni mięśniami, ni kośćmi czy mózgiem.

Raik Na Seem jęknął przerażony. Odstąpił krok, nie mogąc się opanować.

— Ach, mój synu! Czegóż od ciebie zażądałem!

Wkrótce po Alnacu pozostało niewiele więcej niż pomarszczona skóra, zupełnie jakby był zrzucającą wierzchnią okrywą ważką. Różdżka leżała jednak tam, gdzie pierwotnie ją umieścił, czyli w połączonych dłoniach jego i dziewczyny. Wydawała się jednak większa i lśniła niemożliwym do zniesienia dla oczu blaskiem. Zmieniała kolory przemierzając co chwila całe spektrum barw widzialnych i niewidzialnych.

— Próbuje ze wszystkich sił uratować moją córkę — powiedział Raik Na Seem. — Daje z siebie więcej zapewne, niż powinien.

— Da z siebie wszystko — stwierdził Elryk. — To leży w jego charakterze. To dlatego nazwałeś go swym synem i dlatego mu zaufałeś.

— Tak, ale teraz obawiam się, że stracę i syna, i córkę. — Westchnął zmartwiony i pełen wątpliwości, czy słusznie uczynił zwracając się z tą prośbą właśnie do Alnaca Kreba.

Przez cały dzień, całą noc i jeszcze dłużej, siedzieli Elryk, Raik Na Seem i jego ludzie w Spiżowym Namiocie, wpatrzeni w dziwnie skurczone i pomarszczone ciało Alnaca. Czasem poruszył się lub wymamrotał coś, ale wciąż pozostawał równie martwy jak z mumifikowane zwłoki kóz, które czasem wyłaniały się spod wędrujących wydm. Raz wydało się Elrykowi, że Święta Dziewczyna wydała jakiś dźwięk, raz zaś Raik Na Seem przyłożył dłoń do jej czoła, ale zaraz wrócił na

miejsce, kręcąc głową.

— Nie czas rozpaczać, ojcie mego przyjaciela — powiedział Elryk.

— Owszem. — Pierwszy Najstarszy Bauradimów uspokoił się i usiadł obok Elryka. — Tu, na pustyni, przywiązujemy wielką wagę do prorocत्व. Wygląda na to, że nadzieja na pomoc przytłumiła naszą zdolność myślenia.

Nad ranem wyszli z namiotu. Lekki wiatr unosił na północ przez liliowe niebo smugi dymu pochodni. Elryka ten zapach przyprawił niemal o mdłości, ale zbyt był zmartwiony stanem przyjaciela, by myśleć o sobie. Niezdolny przeciwstawić się głodowi eliksiru, popijał oszczędnie z manierki, a gdy Raik Na Seem zaproponował mu wodę z własnej butelki, odmówił. Wciąż ścierało się w nim zbyt wiele przeciwności. Czuł silną więź łączącą go z tymi ludźmi, zwłaszcza z Raikiem Na Seemem, którego cenił szczególnie. Przejmował się Alnakiem, który pomógł mu ująć cało z opresji, czyniąc to równie szczerze i spontanicznie jak wszystko, co robił. Elryk był wdzięczny Bauradimom za zaufanie, bowiem poznawszy jego opowieść, mieli wszelkie prawo kazać mu opuścić Oazę Srebrnego Kwiatu. A zamiast tego zaprowadzili go do Spiżowego Namiotu w czas Krwawego Księżyca, dokładnie tak jak chciał tego lord Gho, wierząc jednak, że w niczym nie przeszkodzi. Elryka łączyły teraz z nimi więzy lojalności, których nigdy nie poważyłby się zerwać i oni chyba o tym wiedzieli. Może odgadli jego charakter równie łatwo, jak kiedyś rozszyfrowali Alnaca. To dodawało odwagi, chociaż z drugiej strony niepomernie komplikowało Elrykowi zadanie, bowiem żadna zdrada nie wchodziła w grę.

Raik Na Seem wciągnął głęboko powietrze i odwrócił się w kierunku odległej oazy. Coraz wyżej pod niebo wspinała się kolumna czarnego dymu, przypominająca uwolnionego dzina dążącego, by spotkać się z mniejszymi pobratymcami stworzonymi przez płonące pochodnie. Elryk nie byłby zdumiony, gdyby ujrzał prawdziwego dzina, bowiem wypadki ostatnich dni przyzwyczaiły go do wszelkich osobliwych zdarzeń.

— Doszło do następnego ataku — powiedział nieobecny głosem Raik Na Seem. — Miejmy nadzieję, że ostatniego. Teraz palą ciała.

— Kto was zaatakował?

— Następni ze stowarzyszeń Czarowników, Poszukiwaczy Przygód. Podejrzewam, że ich postępowanie ma coś wspólnego z wewnętrzną polityką miasta. Kotłują się tam całymi gromadami, by zdobyć to czy tamto — najpewniej miejsce w Radzie, o którym wspominałeś. Od czasu do czasu wciągają nas w swoje machinacje. Do tego już się przyzwyczailiśmy. Ale wygląda na to, że w tym przypadku Perła w Sercu Świata uznana została za jedyny środek płatniczy. Czym dalej plotka się szerzy, tym więcej zbrojnych przybywa, by ją znaleźć! — stwierdził Raik Na Seem z gorzkim uśmiechem. — Miejmy nadzieję, że skutkiem tych wypraw miasto wyludni się wkrótce i jego władcy zostaną sami z nie istniejącą władzą nad nie istniejącym narodem!

Elryk obserwował, jak przejeżdżający mimo całej szczerp nomadów zwalnia przed Spizowym Namiotem dla okazania szacunku. Byli to opaleni ludzie o oczach równie przenikliwych i błękitnych jak oczy Varadii. Odrzucone kaptury ukazywały zdumiewająco jasne włosy. Ich ubiór różnił się jednak od stroju Bauradimów kolorem — dominowały różne odcienie lawendy obszytej złotem i ciemną zielenią. Kierowali się ku Oazie Srebrnego Kwiatu pędząc ze sobą stada owiec. Dosiadali dziwnych, garbatych bykopodobnych wierzchowców, które Alnac zachwalał jako wyjątkowo dobrze przystosowane do warunków pustyni.

— To Waued Nii — stwierdził Raik Na Seem. — Na każde zgromadzenie przybywają ostatni. Zamieszkują na skraju pustyni, gdzie handlują z Elwher przywożąc tak cenione przez nas lapis lazuli i cięte jadeity. Zimą, gdy nawet dla nich burze są zbyt gwałtowne, zapuszczają się na równiny, docierają aż do miast. Chwalą się, że kiedyś złupili Phum, ale my podejrzewamy, że to było jakieś mniejsze miasto, a oni pomylili z Phum. — To ostatnie było wyraźnie żartem, który ludzie pustyni opowiadali sobie o Waued Nii.

— Miałem przyjaciela, który pochodził z Phum — powiedział Elryk. — Nazywał się Rackhir i wybrał się na poszukiwanie Tanelornu.

— Znam Rackhira. Dobry łucznik. W zeszłym roku przyłączył się do nas na kilka tygodni.

Elryka bardzo ucieszyła ta niespodziewana wiadomość.

— Jak się miewał?

— Doskonale. — Raik Na Seem chętnie zmienił temat rozmowy, by przestać na chwilę myśleć o losie córki i adoptowanego syna. — Był nam miłym gościem. Polował dla nas, gdy podeszliśmy pod Strzępiaste Filary, bo w tej sztuce nie jesteśmy dobrzy. Opowiadał o swoim przyjacielu, który nazbyt często oddaje się rozmyślaniom i nierzadko popada przez to w biedę. Bez wątpienia chodziło o ciebie. Teraz pamiętam. Musiał chyba żartować. Powiadał, że jesteś nieco bladą postacią. Był ciekaw, co się z tobą dzieje. Myślę, że nas polubił.

— Jak i ja jego. Mamy wiele wspólnego. Podobnie jak z wami czy Alnakiem Krebem.

— Rozumiem, że przeszliście razem przez wiele niebezpieczeństw.

— Różne dziwne rzeczy nam się zdarzały. On jednak miał tego dość i bardziej pragnął odpoczynku i spokoju. Nie wiesz, dokąd potem poszedł?

— Owszem, jak wspomniałeś, szukał Tanelornu. Gdy usłyszał już od nas wszystko, co mogliśmy mu powiedzieć, pożegnał się i odjechał na Zachód. Radziliśmy mu, by nie marnował życia na pogoń za mitem, ale stwierdził, że wie lepiej. Nie chciałeś podróżować razem z przyjacielem?

— Inne obowiązki mnie wzywają, chociaż i ja poszukuję Tanelornu. — Pomyślał, że lepiej będzie nie ciągnąć tego wątku, który gotów przywołać stare wspomnienia i problemy. Wolał skupić się na Alnacu i dziewczynce.

— Ach tak, przypominam sobie. Przecież w swoim kraju jesteś królem. Ale

niezbyt się do tego palisz, co? To ciężka sprawa dla młodego człowieka. Wiele się od ciebie oczekuje, nakłada ci się na barki ciężar przeszłości, zaprzęta sprawami tęsknot i lojalności całego ludu. Trudno jest godziwie rządzić, stanowić dobre sądy, po równo rozdzielać sprawiedliwość. My, Bauradim, nie mamy królów, a tylko grupę mężczyzn i kobiet wybieranych, by mówili w imieniu całego klanu. To chyba jest lepsze, bo dzielą ów ciężar, a gdy jeszcze każdy odpowiedzialny jest za samego siebie, wówczas nikogo nie przygniata brzemień zbyt wielkie.

— Podróżuję, by dowiedzieć się więcej o sposobach stanowienia sprawiedliwości — powiedział Elryk. — Ale tobie powiem, że mój lud jest równie okrutny jak mieszkańcy Quarzhasaat, a na dodatek dysponuje realną władzą. Niewiele wiemy o sprawiedliwości, a powinności władzy ograniczają się do wynajdywania nowych sposobów zastraszania i ujarzmiania innych. Myślę, że władza jest nałogiem równie strasznym jak uzależnienie od tego tu eliksiru. Żywi się własną tkanką. To głodna bestia, pożerająca tych, którzy pragną ją osiąść, i tych, którzy jej nienawidzą, nawet tych, którzy już ją mają.

— Głodna bestia nie stanowi jeszcze żadnej władzy — zauważył starzec. — Władza nie jest ani dobra, ani zła. Dopiero sposób wykorzystania czyni ją dobrą lub złą. Wiem, że Melniboné rządziło niegdyś światem, a przynajmniej tą jego częścią, do której miało dostęp i której nie zniszczyło.

— Wydajesz się wiedzieć więcej o moim narodzie niż mój naród o was — uśmiechnął się Albinos.

— Mówi się, że nasz lud uciekł na pustynię najpierw przed Melniboné, potem przed Quarzhasaat. Oba państwa były równie okrutne, oba pełne zepsucia i nie obchodziło nas, które pokona które. Oczywiście mieliśmy nadzieję, że wygubią się nawzajem, ale tak nie miało się stać. Zdarzyło się coś niemal równie pomyślnego: Quarzhasaat samo niemal starło się z powierzchni ziemi, a Melniboné zapomniało o nim, a co za tym idzie, również o nas! Sądzę, że krótko po tamtej wojnie Melniboné znudziło się podbojami i ograniczyło swe rządy tylko do Młodych Królestw. Teraz słyszę, że wystarczyło mu nawet mniej.

— Obecnie tylko Smocza Wyspa. — Elrykowi przypomniała się Cymoril, o której wolał w tej chwili nie myśleć. — Ale wielu łupieżców usiłuje wylądować na jej brzegach i zdobyć coś z bogactw. Szybko jednak przekonują się, że Melniboné jest wciąż zbyt potężne jak na ich możliwości i że muszą poprzestać na handlu z wyspą.

— Handel jest wyższą formą wojny — powiedział Raik Na Seem i obejrzał się gwałtownie na skurczone ciało Alnaca. Złocista różdżka znów roztaczała migotliwy blask.

— Osobliwy organ — mruknął starzec. — Zupełnie jak drugi kręgosłup.

Przerwał, bowiem Alnac poruszył się i upiorny, pełen cierpienia jęk wydobył się spomiędzy jego bezkrwistych warg.

Podeszli, by uklęknąć obok niego. Oczy Alnaca jaśniały błękitem, oczy Vara-

dii były wciąż czarne.

— On umiera — wyszeptał Pierwszy Najstarszy. — Umiera, prawda, księżę Elryku?

Elryk nie potrafił powiedzieć nic więcej.

— Co możemy dla niego zrobić? — spytał Raik Na Seem.

Elryk dotknął chłodnej skóry złodzieja snów. Uniósł niemal nieważką dłoń, ale nie wyczuł pulsu w nadgarstku. W tej właśnie chwili oczy Alnaca zmieniły nagle kolor z powrotem na czarny i spojrzały bystro na Elryka.

— Ach, chcecie mi pomóc. Wiem już, gdzie jest Perła. Ale za dobrze jej strzeżę — wyszeptał suchymi na wiór ustami.

Elryk wziął go w ramiona.

— Pomogę ci, Alnacu, tylko powiedz mi jak mogę to zrobić.

— Nie ma sposobu. Te jaskinie... Te sny mnie przytłaczają. Wchłaniają. Wciągają do środka. Muszę dołączyć do ich ofiar. Marne to dla mnie towarzystwo, księżę Elryku, nader marne...

Różdżka pulsowała kościaną bielą. Oczy Złodzieja Snów ponownie zblękitniały, potem poczerniały. W gardeł zasyczało powietrze. Na jego twarzy pojawił się nagle grymas przerażenia.

— Nie! Muszę znaleźć dość sił!

Różdżka niczym wąż przemknęło przez jego ciało, sięgnęła do Varadii i wróciła.

— Och, Elryku — zabrzmiał cichutki głos. — Pomóż mi, jeśli możesz. Wpadłem w pułapkę. To gorsze od wszystkiego, co poznałem...

Elrykowi wydało się, jakby głos dobiegał z czeluści grobu, chociaż przyjaciel najwyraźniej nie był jeszcze martwy.

— Elryku, jeśli jest jakiś sposób...

Ciało zadrżało, jakby wypełnił je nagle potężny oddech, różdżka poruszyła się, zamigotała i po chwili leżała znów, jak na początku, zahaczona o złączone dłonie.

— Och, przyjacielu. Głupcem byłem sądząc, że dam sobie radę... — głos słabł coraz bardziej. — Gdybym poznał się na naturze jej umysłu. Jest taki silny! Taki silny!

— O czym on mówi? — spytał Raik Na Seem. — O moim dziecku? Że to ona go przytrzymała? Moja córka jest z kobiet Sarangli. Jej babka potrafiła zaczarować całe szczepy, by uwierzyły, że wymierają od zarazy. Mówiłem mu o tym. Czego nie rozumie?

— Och, Elryku, ona mnie zniszczyła? — Pomarszczona dłoń wysunęła się w kierunku albinosa.

Nagle barwy i życie powróciły w ciało Alnaca, które urosło do poprzedniej postaci. Haczykowata laska znów była tylko zwykłym przedmiotem.

Złodziej Snów uśmiechnął się zdziwiony.

— Ja żyję! Elryku, ja żyję!

Wziął różdżkę w dłoń i spróbował się podnieść. Nagle zakaszłał i coś obrzydliwego, niby na wpół strawiony robak, wymknęło się z jego ust. Złodziej snów otarł usta z plugastwa i przez chwilę zastygł w przerażeniu, z paniką malującą się w oczach.

— Nie — ocknął się. — Na zbyt wiele liczyłem. Umieram jednak. — Upadł na poduszki, nim Elryk go podtrzymał, i pokręcił ironicznie głową. — Nieco za późno. Wygląda na to, że nie jest moim przeznaczeniem być twoim towarzyszem, panie Wieczny Wojowniku, przynajmniej nie w tym wymiarze.

Dla Elryka słowa te pozbawione były wszelkiego sensu i przekonany, że Alnac mającym, próbował go uciszyć.

Różdżka wysunęła się z bezwładnej dłoni i potoczyła w bok. Z ust Alnaca dobył się wibrujący, jękliwy krzyk, a po chwili buchnął zeń smród, który wypędził Elryka i Raika Na Seema ze Spiżowego Namiotu. Alnac chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ciało rozkładało się w oczach.

Złodziej Snów był martwy.

Elrykowi, który bardzo żałował dobrego, dzielnego człowieka, wydało się nagle, że tym sposobem przesądził się jego los i los Anigha. Śmierć Alnaca sugerowała, że w sprawę uwikłane są potężne siły, których istota była księciu nieznaną. Przy całej swej wiedzy magicznej nie spotkał się nigdy z mocami mogącymi sprowadzić na człowieka taki koniec. Widział, jak ludzi parających się czarami spotykał nawet los gorszy, ale to zdarzenie było dlań całkowitą zagadką.

— A zatem odszedł — stwierdził Raik Na Seem.

— Tak — powiedział Elryk łamiącym się głosem. — Było w nim więcej odwagi niż ktokolwiek, włącznie z nim, sądził.

Pierwszy Najstarszy podszedł powoli do pogrążonego w transie dziecka. Spojrzał w jej błękitne oczy, jakby oczekiwał ujrzeć w nich ziarno czerni.

— Varadio?

Nie odpowiedziała.

Ostrożnie wziął dziewczynkę na ręce i położył ją z powrotem na podwyższeniu, układając poduszki, jakby po prostu szykował ją do normalnego, nocnego snu.

Elryk przyglądał się szczątkom Złodzieja Snów, który z pewnością wiedział, co grozi mu w razie porażki i nie chciał dzielić się tą świadomością z nikim.

— To już koniec — stwierdził łagodnym głosem Raik Na Seem. — Nic już nie mogę dla niej zrobić. On zaś oddał zbyt wiele. — Starzec walczył z ogarniającą go żalnością i rozpaczą. — Musimy pomyśleć, co dalej. Pomożesz mi, przyjacielu mego syna?

— Jeśli tylko będę mógł.

Wstając, roztrzęsiony Elryk usłyszał hałas dobiegający z za jego pleców. W pierwszej chwili pomyślał, że to przysłała jakaś żalobnica z klanu Bauradimów,

ale gdy spojrział na jaśniejące blaskiem dnia wejście do namiotu, ujrzał tylko zarys kobiecej postaci.

Była to młoda niewiasta, nie należąca do Bauradimów. Weszła powoli i ze łzami w oczach spojrzała na doczesne szczątki Alnaca.

— Spóźniłam się?

Jej melodyjny głos nabrzmiewał smutkiem. Przysłoniła twarz dłonią.

— Nie powinien podejmować się czegoś takiego. W Oazie Srebrnego Kwiatu powiedzieli mi, że tu pojechaliście. Czemu nie poczekaliście jeszcze trochę? Przynajmniej jeden dzień?

Widać było, że całym wysiłkiem woli opanowuje żal. Elrykowi wydało się nagle, że jest mu w jakiś sposób bardzo bliska.

Podeszła jeszcze bliżej do ciała. Była o cal mniej więcej niższa niż Elryk, z twarzą w kształcie serca, okoloną bujnymi kasztanowymi włosami. Smukłą, zgrabną sylwetkę okrywał watowany kaftan z wycięciami ukazującymi spodnią suknię z czerwonego jedwabiu. Stroju dopełniały miękkie aksamitne spodnie, zdobione filcowe buty do konnej jazdy i zsunięty właśnie z ramion, niemal przezroczysty bawełniany płaszcz. U pasa miała miecz, znad ramienia zaś wyglądała zakrzywiona laska z hebanu i złota. Była o wiele bogaciej zdobiona, ale przypominała tę, która leżała przy zwłokach Alnaca.

— Ja nauczyłam go wszystkiego, co wiedział o wykradaniu snów — powiedziała. — Ale tutaj to było za mało. Jak mógł sądzić inaczej! Nigdy nie dałby sobie rady. To zadanie nie leżało w jego charakterze. — Odwróciła się, ocierając łzy. Gdy podniosła spojrzenie, oczy były już suche i wpatrywały się wprost w Elryka.

— Jestem Oone — powiedziała i skłoniła się Raikowi Na Seemowi. — Jestem Złodziejem Snów, po którego posłaliście.

KRONIKA CZARNEGO MIECZA

CZEŚĆ DRUGA

*Czy jest taka córka, w snach narodzona,
O śnieżnym ciele, o oczach z rubinu
Patrzących przez wymiary, których tkanka zda się
Jak męka mocna, miękka jak omamy?
Czy jest jakieś dziewczę, w snach narodzone,
Z krwi tak sędziwej, jako i sam czas.
Wyrokiem losu dane mi za żonę
I na panią ziem nowych, co czekając nas?*

Rozdział 1

CO ZŁODZIEJ DORADZIĆ MOŻE CESARZOWI

Oone wyjęła z ust pestkę daktyla i rzuciła ją na piasek Oazy Srebrnego Kwiatu. Wciągnęła rękę do jednego ze wspaniałych kwiatów kaktusa, które użyczyły oazie imienia, i pogładziła długimi, delikatnymi palcami jego płatki. Nuciała coś, co wydawało się Elrykowi lamentem.

Szacunek nakazywał mu zachować milczenie, gdy siedział tak oparty plecami o palmę i wpatrzony w pełen życia odległy obóz. Oone poprosiła go, by jej towarzyszył, lecz prawie się doń nie odzywała. Z kazby dobiegło go wołanie, ale gdy spojrzał w jej kierunku, niczego nie dojrzał. Wiatr nagał z pustyni czerwony pył, który płynął jak woda hen, ku majaczącym na horyzoncie Strzępiastym Filarom.

Było prawie południe. Do oazy wrócili rano, pogrzebawszy w nocy szczątki Alnaca Kreba. Był to pochówek z wszelkimi honorami, zgodny ze zwyczajami Bauradimów.

Oone trzymała różdżkę w obu dłoniach, obracając ją miarowo i patrząc na swe odbicie w wypolerowanych ozdobach, zupełnie jakby widziała to po raz pierwszy. Różdżkę Alnaca miała wetkniętą za pas.

— Gdyby Alnac nie był tak w gorącej wodzie kąpany — odezwała się nagle — nieco ułatwiłby mi zadanie. Nie wiedział, że przybywam i chciał uratować dziecko, rozumiem. Ale wystarczyłoby kilka godzin, a razem zapewne by nam się udało. Na pewno mogłabym go uratować.

— Nie rozumiem, co właściwie mu się zdarzyło — powiedział Elryk.

— Nawet ja nie znam dokładnych powodów jego klęski. Ale wyjaśnię ci to, na ile potrafię. Dlatego chciałam, byś ze mną poszedł. Nie pragnę, by nas podsłuchiowano. I musisz dać mi słowo, że dochowasz tajemnicy.

— Zwykle to czynię, pani.

— Na zawsze?

— Na zawsze.

— Musisz obiecać, że nikomu, ale to nikomu nie powtórzysz tego, co dziś ode mnie usłyszysz, niezależnie od konsekwencji. Musisz uznać prawa kodeksu Złodziei Snów, pomimo że nie należysz do naszego fachu.

— A to czemu? — spytał zdumiony Elryk.

— Chcesz uratować ich Świętą Dziewczynę? Pomścić Alnaca? Uwolnić się od uzależnienia? Zmienić coś w Quarzhasaat?

— Wiesz, że tak.

— A zatem możemy się zgodzić, bowiem o ile nie pomożemy sobie nawzajem, to i dziewczyna, i ty, a zapewne i ja, będziemy martwi, zanim zblednie Krwawy Księżyc.

— Naprawdę? — zdziwił się nieufnie Elryk. — Czy przepowiadasz też przyszłość?

— Wszyscy Złodzieje Snów są do pewnego stopnia prorokami — odparła niemal niecierpliwie, jakby tłumaczyła oczywiste sprawy dziecku, ale zaraz się pohamowała. — Wybacz. Zapomniałam, że nasze rzemiosło jest nie znane w Młodych Królestwach. W rzeczy samej, w ogóle rzadko zaglądamy do tego wymiaru.

— Wiele spotkałem już w życiu zjawisk nadprzyrodzonych, moja pani, ale niewiele spośród nich miało tak ludzką postać.

— Ludzką postać? Ależ oczywiście, że jestem człowiekiem! — krzyknęła rozbawiona i rozchmurzyła czoło. — Ach, zapominam, że jesteś równocześnie bardziej doświadczony i mniej wykształcony niż moi pobratymcy. — Uśmiechnęła się. — Jeszcze nie przyszłam do siebie po niepotrzebnej śmierci Alnaca.

— Nie musiał umrzeć — stwierdził Elryk. Znał Alnaca na tyle, by traktować go jak przyjaciela. Rozumiał też nieco z natury żalu Oony. — Nie ma sposobu, by przywrócić go życiu?

— Stracił swą siłę witalną. Zamiast wykraść czyjś sen, został obrabowany z własnych. — Zamilkła. — Czy pomożesz mi, księżę Elryku? — dodała po chwili pospiesznie, jakby pragnęła wyrzucić z siebie słowa, zanim tego pożałuje.

— Tak — odparł bez wahania. — Pomścić Alnaca i uratować dziecko.

— Nawet jeśli ryzykujesz, że podzielisz los Alnaca? Sam widziałeś, jak to wygląda.

— Nawet wtedy. Czy to może być gorsze, niż śmierć zadana za sprawą lorda Gho?

— Owszem.

Elryk roześmiał się na taką szczerość.

— No dobrze, pani. Niech tak będzie! Niech będzie! Co proponujesz?

Przesunęła opuszkami po różdżce, która balanasowała pomiędzy dwoma palcami. Zmarszczyła brwi, wciąż niepewna słuszności decyzji.

— Myślę, że jesteś jednym z niewielu śmiertelników na tej ziemi, który potrafi zrozumieć specyfikę mego zawodu, który pojmie naturę snów i rzeczywiście-

ści i wzajemnej zależności pomiędzy nimi. Myślę też, że twój sposób myślenia może uczynić z ciebie jeśli nie idealnego sprzymierzeńca, to w każdym razie dość dobrego pomocnika, bym mogła na tobie polegać. Złodzieje Snów stworzyli coś w rodzaju nauki, która pozostaje w całkowitej sprzeczności z powszechnie akceptowanymi prawami. Uprawiamy jednak nasz zawód z powodzeniem, zwykle odnosząc sukcesy, bowiem potrafimy, przynajmniej do pewnego stopnia, narzucać naszą wolę chaosowi, na który natykamy się we snach. Czy to ma dla ciebie sens?

— Chyba tak. Niektórzy moi filozofowie głoszą pogląd, że magia jest w istocie sztuką kształtowania materii, rzeczywistości u jej podstaw samą siłą woli. Inaczej rzecz biorąc, sztuką zamieniania snów w jawę. Niektórzy twierdzą, że cały nasz świat powstał właśnie w ten sposób.

Oone wyglądała na zadowoloną.

— Dobrze. Wiedziałam, że pewnych spraw nie będę musiała tłumaczyć ci od początku.

— Ale czego po mnie oczekujesz, pani?

— Chcę, byś mi pomógł. Razem możemy znaleźć drogę do miejsca, które Czarownicy nazywają Perłową Fortecą, i w ten sposób jedno z nas, lub oboje, będzie miało szansę wykraść sen, który związał dziewczynę. Wtedy obudzi się, by znów być ich skarbem i dumą.

— A zatem istnieje między nimi ścisłe powiązanie? Pomiędzy dziewczyną i Perłą? — Elryk podniósł się, zapomniawszy o głodzie napoju.

— Tak myślę.

— Co to za więź?

— To odkryjemy najpewniej w trakcie.

— Wybacz mi, pani — powiedział uprzejmie Elryk — ale teraz ujawniasz nie mniejszą niewiedzę niż moja!

— Bo też czasem przychodzi mi przyznać się do ignorancji. Ale zanim powiem coś więcej, muszę poprosić cię, byś przysiągł wierność nakazom Kodeksu Złodziei Snów.

— Przysięgam — powiedział Elryk podnosząc dłoń z Actoriosem, by pokazać, iż ślubuje na jeden z najwspanialszych skarbów swego cesarstwa. — Przysięgam na Pierścień Królów.

— A zatem powiem ci, co sama wiem i czego po tobie oczekuję. — Wziąwszy go pod ramię, poprowadziła w głąb gaju palm i cyprysów. Wyczuwając w nim narastający głód narkotyku starała się okazać nieco współczucia.

— Złodziej Snów — zaczęła — robi dokładnie to, co znaczą te słowa. Kradniemy sny. Pierwotnie byliśmy prawdziwymi złodziejami, którzy nauczyli się wnikać do snów ludzi i kraść te najwspanialsze lub najbardziej egzotyczne. Stopniowo jednak niektórzy zaczęli nas prosić o pomoc w pozbyciu się niemiłych snów, czy raczej zmór gnębiących ich krewnych lub przyjaciół. Wykradaliśmy je

zatem. Często okazywało się, że sny te były groźne tylko dla tych, którzy znajdowali się w ich władzy, a dla innych nie...

— Czy chcesz powiedzieć, że sen jest w pewien sposób materialny? — przerwał jej Elryk. — Ze można go zamknąć niczym wiersze w książce lub, powiedzmy, pieniądze w sakiewce, i odebrać właścicielowi?

— W zasadzie tak. Czy też raczej, powinnam powiedzieć, że nauczyliśmy się czynić sny dość materialnymi, by nimi obracać! — Roześmiała się swobodnie na widok zdziwienia malującego się na twarzy księcia i atmosfera nieco zelżała. — Trzeba do tego nie tyle jakiego talentu i sporej wprawy.

— Ale co robicie z tak skradzionymi snami?

— Cóż, sprzedajemy je dwa razy do roku na Targu Snów. Handluje się tam niemal wszystkimi rodzajami snów niezależnie od tego, jak osobliwe mogą być lub przerażające. Zjeżdżają się tam pośrednicy, którzy kupują je do dalszej sprzedaży. Oczywiście najpierw destylujemy je do postaci, w której możliwy jest transport i tłumaczenie. Ponieważ nadajemy im stałą postać, zaczynają być groźne. Mogą nas zniszczyć. Widziałeś, co spotkało Alnaca. Potrzebne są zaiste szczególne cechy charakteru, stan ducha i umysłu, a właściwie kombinacja wszystkich tych trzech elementów, by móc bezpiecznie poruszać się po królestwie snów. Ale ponieważ usystematyzowaliśmy wszystkie te wymiary, potrafimy również po części nimi manipulować.

— Musisz wyjaśnić mi to bliżej — powiedział Elryk — jeśli mam z tobą pracować, pani.

— Niech będzie. — Zatrzymała się na skraju zagajnika, gdzie ziemia przechodziła w pył nie będąc już częścią oazy, a nie stając się jeszcze pustynią. Przyglądała się pęknięciom gruntu rozchodzącym się niczym zarysy rzek na mapie, jakby dostrzegała w nich coś szczególnego.

— Ustaliliśmy pewne reguły — powiedziała nieobecny głosem, niby do siebie. — Przez stulecia opisywaliśmy nasze odkrycia. A wciąż ryzykujemy ponad ludzkie pojęcie...

— Poczekaj, pani. Sugerujesz, że za sprawą waszej sztuki Alnac Kreb wniknął do świata snów Świętej Dziewczyny, gdzie zaznał cierpień porównywalnych z tym, co my przeżywamy w materialnym świecie?

— Dobrze powiedziane. — Spojrzała na niego z dziwnym uśmiechem błędzącym na wargach. — Tak. I jego siła witalna też przeszła do tamtego świata i została weń wchłonięta, wzmacniając strukturę snów...

— Tych snów, które miał nadzieję wykraść.

— Wykraść chciał tylko jeden. Ten, który uwięził ją w letargu.

— A potem sprzedałby go, jak mówiłaś, na Targu Snów?

— Zapewne tak. — Najwyraźniej nie pragnęła wdawać się w szczegóły.

— Gdzie odbywa się ten targ?

— W innym wymiarze, w miejscu, gdzie dotrzeć mogą tylko przedstawiciele naszego zawodu lub ci, którzy im towarzyszą.

— Zabierzesz mnie tam? — Przez Elryka przemawiała czysta ciekawość.

Przyjrzała mu się uważnie, choć z widocznym rozbawieniem.

— Może. Najpierw jednak musi nam się udać tutaj. Trzeba wykraść sen w ten sposób, by móc nim handlować. Wiedz, Elryku, że chętnie odpowiedziałabym na wszystkie twoje pytania, ale wiele rzeczy trudno jest wyjaśnić komuś, kto nie studiował w Gildii. Chodzi o to, co można jedynie zademonstrować lub doświadczyć samemu. Nie pochodzę z twego świata, jak zresztą większość Złodziei Snów w tej okolicy. Jesteśmy wędrowcami, nomadami, można powiedzieć, w strumieniach czasu i w przestrzeni. Wiemy, że to, co w jednym świecie jest snem, w drugim jest nader materialne. Może być i tak, że to, co w jednym świecie jest prozą codzienności, w innym może zostać uznane za najdzikszą fantazję lub zmorę nocną.

— Czy zawsze materia snów jest tak podatna na obróbkę? — Spytał Elryk wzdrygając się z lekka.

— Ta, którą my tworzymy musi taka być, inaczej znika — odparła tonem kończącym kwestię.

— Wygląda na to, że walka pomiędzy Ładem a Chaosem odbija się echem w zmaganiach zachodzących we wnętrzu nas samych pomiędzy chłodną rozważą a nieskrępowanymi emocjami. — Elryk umilkł świadom, że rozmówczyni nie pragnie rozwijać tematu.

Oone wodziła stopą po pęknięciach gruntu.

— Aby dowiedzieć się czegoś więcej, trzeba zostać adeptem naszej sztuki, terminatorem.

— Z chęcią — stwierdził Elryk. — Dość rozbudziłaś moją ciekawość, pani. Wspominałaś o pewnych zasadach. Czego dotyczą?

— Niektóre mają charakter instruktażowy, inne deskryptywny. Przede wszystkim musisz wiedzieć, że każdemu wymiarowi snu przypisaliśmy siedem aspektów, którym nadaliśmy nazwy. W ten sposób pragnęliśmy nadać postać temu, co jej nie posiada, i opanować to, co jest niemal nie do opanowania. Narzucając taką interpretację snów, nauczyliśmy się sztuki przetrwania w światach, gdzie inni musieliby zginąć po paru minutach. Jednak nawet to, co własną siłą woli kształtujemy, może wymknąć się czasem spod kontroli. Gdybyś wybrał się ze mną, by wesprzeć mnie w sprawie, będziesz musiał pamiętać, że przyjdzie nam przebyć siedem krain. Pierwsza to Sadanor, lub inaczej Kraina Snów Pospolitych. Druga nazywa się Marador, inaczej Kraina Starych Pragnień. Trzecia to Paranor, Kraina Straconej Wiary. Dalej jest Celador, Łąd Zapomnianej Miłości. Piąta jest Imador, Kraina Młodzieńczych Ambicji, szósta zaś Falador, Kraina Szaleństwa...

— Zaiste dziwaczne to nazwy, pani. Gildia ma chyba skłonność do poetyzowania. A siódma? Jak się nazywa?

Nie odpowiedziała od razu. Spojrzała na niego urokliwymi oczami, jakby sondując umysł księcia.

— Nie ma nazwy — stwierdziła cicho. — Nie ma nazwy, prócz tej, którą akurat nadadzą krainie jej mieszkańcy. Ale tam właśnie, jeśli gdziekolwiek, znajdziesz Perłową Fortecę.

Elryk poczuł się zniewolony jej łagodnym, ale przenikliwym spojrzeniem.

— A jak można tam się dostać? — Zmusił się do zadania tego pytania, chociaż całe jego ciało wołało wielkim głosem o chociaż łyk eliksiru.

Oone wyczuła napięcie i położyła mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

— Poprzez dziecko.

Pamiętając zdarzenia ze Spizowego Namiotu, Elryk zadrżał.

— Ale jak tego dokonać?

Oone zmarszczyła brwi i mocniej zacisnęła dłoń.

— Ona jest naszą bramą, a różdżki są kluczami. Nie stanie jej się przy tym żadna krzywda. Jeśli zaś dotrzemy do siódmej, Bezimiennej Krainy, wówczas może uda nam się znaleźć sposób, by uwolnić dziewczynę z więzienia.

— Zatem ona jest medium? Czy może Czarownicy wiedzieli o tym i dlatego właśnie wprowadzili ją w trans? Czy to tak było?

Oone zawahała się, ale przytaknęła.

— Blisko jesteś, książę Elryku. Nasze księgi, których wiele spisano, chociaż znaczna ich część spoczywa niedostępna w bibliotekach Tanelornu, powiadają że: „To, co trwa wewnątrz, zawsze ma swą postać na zewnątrz, to zaś, co jest na zewnątrz, z wnętrza przybiera swą postać”. Inaczej mówiąc, wszystko widzialne ma też swój niewidzialny aspekt, podobnie jak rzeczy niewidzialne mają swoje widzialne odpowiedniki.

Elrykowi wydało się to zbyt enigmatyczne, chociaż nieobce mu były podobne zagadki spotykane w demonologii jego kraju. Traktował je poważnie wiedząc, że często wymagają szczególnego doświadczenia i refleksji, by dały się zrozumieć.

— Mówisz, pani, o magicznych wymiarach. Światach zamieszkałych przez władców Ładu i Chaosu, przez istoty nieziemskie, nieśmiertelne i tym podobne. Wiem nieco o nich, bywałem tam nawet trochę. Nigdy jednak nie słyszałem o tym, by zostawiać przy przekraczaniu granicy część swej fizycznej materii ni o wykorzystywaniu śpiącego dziecka jako bramy wejściowej!

Przyjrzała mu się, jakby podejrzewała księcia o świadomą nieuprzejmość, potem wzruszyła ramionami.

— Sam stwierdzisz, że wymiary snów są bardzo podobne do tych, które poznałeś. I lepiej, jeśli zapamiętasz sobie dobrze nasz kodeks i będziesz go przestrzegał.

— Przejmujesz zatem dowództwo, pani...

— Jeśli mamy przetrwać... Alnac kierował się instynktem dobrego złodzieja snów, brakło mu jednak dyscypliny. To był jeden z zasadniczych powodów jego

porażki. Dla ciebie zaś dyscyplina jest czymś naturalnym, dzięki niej doszedłeś do pewnej znajomości magii. Inaczej dawno byś już uległ własnym czarom.

— W znacznym stopniu wyzwoliłem się już od tej dyscypliny, pani.

— Owszem, wierzę, ale przyzwyczajenia pozostają. A w każdym razie taką mam nadzieję. Pierwsze prawo, które Złodziej Snów musi przestrzegać, brzmi: „Należy zawsze przyjmować oferty pomocy, ale nigdy nie wolno im ufać”. Drugie: „Uważaj szczególnie na to, co wydaje ci się znajome”. Trzecie mówi: „Wszystko, co obce, winno być przyjęte, ale ostrożnie”. Znam jeszcze inne, ale te trzy są najważniejsze dla przetrwania. — Uśmiechnęła się tak jakoś słodko i bezbronię, że Elryk zauważył wreszcie jej zmęczenie. Zapewne to żal tak ją wyczerpał.

Elryk popatrywał na czerwone bryły murów i budowli Oazy Srebrnego Kwiatu, skąd dobiegały lekko przytłumione głosy. Kolumny dymu sięgały bezchmurnego błękitnego nieba.

— Ile czasu trzeba na szkolenie i trening Złodzieja Snów? — spytał spokojnym głosem.

Oone wyczuła w tym ironię.

— Przynajmniej pięć lat. Alnac był pełnym członkiem Gildii od jakichś sześciu lat.

— I nie udało mu się dostać do wymiaru, w którym uwięziony jest duch Świętej Dziewczyny?

— Przy wszystkich swych umiejętnościach był tylko zwykłym śmiertelnikiem.

— A mnie uważasz za kogoś więcej? Roześmiała się.

— Jesteś ostatnim cesarzem Melniboné. Jesteś najpotężniejszym z całej twej rasy, której związki z czarami są wręcz legendarne. Owszem, zostawiłeś oczekującą cię narzeczoną i usadziłeś twego kuzyna Yyrkoona na Rubinowym Tronie jako regenta, by rządził do twego powrotu, co świadczy o twoim idealizmie, ale tak czy tak, mój panie, nie możesz udawać przede mną zwykłego człowieka!

Pomimo meczącego pragnienia, Elryk odpowiedział jej śmiechem.

— Jeśli jestem kimś aż tak niezwykłym, to jak, pani, zdarzyło mi się znaleźć w tak podłej sytuacji? Drugorzędny, prowincjonalny polityk grozi mi śmiercią...

— Nie powiedziałam, że wart jesteś wszelkich zachwyty, panie, ale głupotą byłoby z twojej strony odrzucać świadomość, kim byłeś i kim możesz się stać.

— To drugie jest o wiele ciekawsze, pani.

— Jeśli chcesz, to pomyśl o losie córki Raika Na Seema. Pomyśl o losie jego ludu pozbawionego historii i prorokini zarazem. Pomyśl o własnym końcu, bezsensownym, z dala od domu, o nie wypełnionej swej misji.

Elryk nie mógł się nie zgodzić.

— Może być i tak, że w tym świecie nikt nie dorówna ci w czarach. O ile nawet twe szczególne cechy nie pomogą ci w wyprawie, którą proponuję, to do-

świadczanie, wiedza i zdolność do refleksji mogą zaważyć o powodzeniu naszego zadania.

Elryk nie potrafił opierać się dłużej pragnieniu.

— Niech będzie i tak, lady Oone. Zgadzam się z góry na wszystko, co postanowisz.

Odstąpiła o krok i spojrzała na niego chłodno.

— Wracaj lepiej do namiotu i poszukaj eliksiru — powiedziała cicho.

Albinos poczuł, jak powraca znajoma desperacja.

— Zrobij tak, pani. — Skierował się szybko ku skupisku namiotów Bauradimów.

Ledwie zamienił słowo z napotkanymi po drodze nomadami. Raik Na Seem nie ruszył nic z namiotu, który książę dzielił ostatnio z Alnakiem. Albinos wyjął pospiesznie manierkę z juków i pociągnął tęgi łyk czując z ulgą, jak przynajmniej na parę chwil powracają siły i iluzja zdrowia. Westchnąwszy, obrócił się ku wejściu, w którym stanął właśnie Raik Na Seem. Oczy starca pełne były bólu, którego nie potrafił ukryć, brwi nastroszone.

— Zgodziłeś się pomóc Złodziejce, Elryku? Spróbujecie ziścić prorocstwo? Sprowadzicie Świętą Dziewczynę? Jest coraz mniej czasu. Krwawy Księżyc niedługo już zniknie.

Elryk upuścił manierkę na dywan, schylił się i podniósł Czarny Miecz, który odpiął, gdy wychodził z Oone. Oręż drżał pod palcami i Elryk poczuł przyływ mdłości.

— Zrobię, cokolwiek zażadasz — odpowiedział.

— Dobrze. — Starzec ujął Elryka za ramiona. — Oone powiedziała mi, że jesteś wielkim człowiekiem z wielką przyszłością i że oto nadchodzi chyba najważniejsza chwila twojego życia. Jesteśmy zaszczyceni, że możemy pomóc ci wypełnić twe przeznaczenie i wdzięczni, że obdarzasz nas swą uwagą. . .

Elryk słuchał w pozie pełnej szacunku, na koniec skłonił się.

— Sądzę, że zdrowie Świętej Dziewczyny jest o wiele ważniejsze niż jakiegokolwiek ciężące nade mną fatum. Zrobię, co możliwe, by sprowadzić ją z powrotem.

Oone wyjrzała zza pleców Pierwszego Najstarszego i uśmiechnęła się do albinosa.

— Gotów?

Elryk przytaknął i zaczął przypasywać Czarny Miecz, ale Oone powstrzymała go gestem.

— Wszelką potrzebną broń znajdziesz tam, gdzie się udajemy.

— Ale ten miecz to więcej niż tylko broń, pani! — Albinos znalazł się na krawędzi paniki.

Złodziejka wręczyła mu różdkę Alnaca.

— To ci wystarczy, mój panie cesarzu. Przynajmniej tym razem.

Zwiastun Burzy zabormotał gniewnie, gdy Elryk pozwolił mu opaść na poduszki. Brzmiało to niemal jak groźba.

— Ale jestem z nim związany... — zaczął Elryk.

— Nie jesteś — potrząsnęła spokojnie głową Oone. — Wierzysz tylko, że ten miecz stanowi część twojej osobowości. Tak nie jest. To twój osobisty demon ucieleśniający nie siłę twą, ale słabość.

— Nie pojmuję, co mówisz, pani, lecz jeśli nie chcesz, bym brał miecz ze sobą, to dobrze, zostawię go tutaj — westchnął Elryk.

Ostrze przemówiło ponownie, tym razem pojękując upiornie, ale Elryk zignorował dźwięk. Dołożywszy do miecza jeszcze manierkę, wyszedł pewnym krokiem z namiotu. Na zewnątrz czekały na nich konie gotowe do podróży z powrotem do Spiżowego Namiotu.

Jechali w pewnej odległości za Raikiem Na Seemem, a Oone opowiadała Elrykowi o Świętej Dziewczynie i jej znaczeniu dla Bauradimów.

— Jak pewnie już się orientujesz, takiemu dziecku powierza się całą historię i marzenia klanu, całą zgromadzoną wiedzę. Wszystko, co uważają za prawdziwe lub wartościowe, zawierają w jej umyśle. To żywa skarbnica całej ich mądrości, esencja ich historii jeszcze z czasów, zanim zostali władcami pustyni. Gdyby stracili ją, wówczas, jak sądzą, musieliby zacząć pisać swoją historię od nowa, raz jeszcze zdobywać ciężko opłacone doświadczenie i wiedzę. Ponownie przysłoby im popełniać te same błędy i pomyłki, które przez stulecia wytaczały krew z żył ich przodków. Można powiedzieć, że ona jest Czasem. Jest ich biblioteką, muzeum, religią i kulturą zamkniętą w ludzkiej postaci. Rozumiesz teraz, czemu tak boleją nad jej chorobą? Ona jest duszą całego klanu, uwięzioną teraz tam, gdzie tylko nieliczni mogą dotrzeć, o wydobyciu jej nie wspominając.

Elryk gładził palcami różdżkę, którą przywiesił u pasa zamiast miecza.

— Nawet gdyby była tylko zwykłym dzieckiem opłakiwanym przez rodzinę ledwie, też gotów byłbym pomóc — powiedział. — Polubiłem tych ludzi i ich przywódcę.

— Jej los jest powiązany z twoim — stwierdziła Oone. — Niezależnie od szlachetnych deklaracji, tak naprawdę mały masz wybór w tej materii.

Ta kwestia wcale mu się nie spodobała.

— Mam wrażenie, że wy, Złodzieje Snów, znacie aż za dobrze mnie, moją rodzinę, mój lud i przeznaczenie. To nie jest miła świadomość, nie zaprzeczysz bowiem, że potrafisz powiedzieć więcej niż ktokolwiek inny, moich najbliższych nie licząc, o sprawach kłębiących się w mej biednej głowie. Czy to dzięki sztuce wróżenia i wygłaszania prorocत्व?

— Jest taka kraina, którą odwiedzają wszyscy Złodzieje Snów — powiedziała Oone takim tonem, jakby czuła się winna. — To miejsce wspólne dla wszystkich snów. Nazywajmy je Krainą Pierwotnych Narodzin. To tam rodzaj ludzki po raz pierwszy doświadczył rzeczywistości.

— Ależ to legenda! I to prymitywna!
— Dla ciebie legenda, dla nas prawda. Sam się kiedyś przekonasz.
— Skoro Alnac potrafił przewidywać przyszłość, to czemu nie poczekał na twoje przybycie?

— Rzadko wiemy coś o własnym przeznaczeniu, zwykle znamy tylko ogólne kierunki przebiegu zdarzeń i losów kluczowych postaci danego świata. To prawda, że wszyscy Złodzieje Snów znają przyszłość, bowiem przynajmniej przez połowę ich życia obywają się bez Czasu. Nie ma dla nas przeszłości ni przyszłości, tylko zmienna teraźniejszość. Więzy, które krępują większość ludzi, nas nie dotyczą.

— Czytałem o takich ideach, ale niezbyt je rozumiem.

— Bo brak ci doświadczenia, które nadałoby sens pojęciom.

— Wspominałaś o Krainie Snów Pospolitych. Czy to jest to samo co Kraina Pierwotnych Narodzin?

— Może. W tej materii nasze autorytety różnią się zdaniem.

Na chwilę pobudzony przez narkotyki, Elryk znajdował sporo przyjemności w rozmowie, chociaż niewiele z niej pojmował. Pozbycie się miecza zaowocowało lekkością ducha, stanem podobnym do tego, który towarzyszył mu podczas kilku pierwszych miesięcy spędzonych wraz z Cymoril, nim jeszcze rosnące ambicje Yyrkoona rzuciły cień na życie dworu w Melniboné. Wspominał nawet niektóre z przekazów znanych jeszcze z młodości.

— Czytałem, że świat jest zawsze tylko i dokładnie tym, czym uczynią go jego mieszkańcy. Było o tym w *Sporze o wymiary*: „Któż może osądzić, co jest snem, a co jawą? Do nas należy decyzja, co uznamy za rzeczywistość, wówczas nią się staje, chociaż to, co nazwiemy snem, może być czasem o wiele prawdziwsze”. Czy przemawia do ciebie takie filozofowanie, pani?

— Dość dobrze. Chociaż to akurat było nieco wydumane.

Jechali rozmawiając niby dwoje dzieci na pikniku, aż o zachodzie słońca dotarli do Spiżowego Namiotu. Raz jeszcze zaprowadzono ich do miejsca, gdzie mężczyźni i kobiety siedzieli bądź leżeli wokół spoczywającej w wielkim łożu dziewczyny — klucza do ich istnienia.

Elrykowi wydało się, że koksowniki i lampy palą się niniejszym płomieniem niż poprzednio i że dziecko jest jeszcze bledsze, ale nie chciał okazać zaniepokojenia przed Raikiem Na Seemem.

— Tym razem jej nie zawieziemy — powiedział.

Oone zdawała się podzielać zdanie Elryka, gdy przyglądała się, jak ostrożnie, zgodnie z jej instrukcjami, przenoszono drobne ciało Varadii z łóżka na wielką poduchę, po obu stronach której ułożono dwie dalsze, równie potężne poduszki. Skinęła, by albinos położył się po prawej stronie dziecka, sama zajęła miejsce po lewej.

— Weź ją za rękę, książę — powiedziała ironicznie. — Załóż hak różdżki na waszych dłoniach, jak zrobił to Alnac.

Elryk posłuchał jej z drzeniem, ale wiedział, że nie boi się o siebie, tylko o dziecko i jej lud, o czekającą na niego w Melniboné Cymoril i o chłopaka, który zanosił z pewnością w Quarzhasaat gorące modły o powrót przyjaciela ze skarbem. Przyciskając swą dłoń do dłoni dziewczynki, poczuł, jak ich ciało stapia się w jedno, co nie było niemiłe, paliło tylko niby żywym ogniem. Oone również ujęła dłoń dziecka.

Natychmiast książkę odczuł, jak ogarnia go moc i przez chwilę miał wrażenie, że jego ciało robi się coraz lżejsze, tak lekkie, że zaraz odpłynie uniesione wiatrem. Złudzenie ustąpiło, ale obraz koncentrującej się Oone był teraz nieco zamglony.

Spojrzał na twarz Świętej Dziewczyny — jej skóra była coraz bledsza, oczy lśniły szkarłatem niczym u albinosa. Przyszła mu do głowy dziwna myśl: *Gdybym miał córkę, tak by właśnie wyglądała. . .*

A potem wydało mu się, że jego kości topnieją, ciało znika, a cały umysł rozpada się na kawałki. Poddał się temu uznawszy, że jest tylko pomocnikiem Oone i widocznie tak musi być. Ciało przelewało się niczym woda, krew w żyłach zmieniała się w prądy barwnego gazu, szkielet falował niczym płynne srebro, a wszystko to mieszało się z ciałem dziewczynki, stawało się jej ciałem przez chwilę, by poszybować dalej jeszcze, ku mrocznym jaskiniom i tunelom, ku miejscom, gdzie wznosiły się całe światy zbudowane z pustych wewnątrz skał, gdzie słyszał wołające go głosy pragnące przestraszyć lub dodać mu ducha, inne wyjawiały mu niechciane sekrety. Nagle zrobiło się jasno. Poczuł, że Oone jest tuż przy nim i prowadzi go za rękę, chociaż wciąż nie wiedział, gdzie kończy się jego ciało, a zaczyna jej. Przemawiała doń pewnie, nawet serdecznie, jakby znała czekające na nich niebezpieczeństwa i przechodziła tędy wiele razy. Jednak pobrzmiwało w jej głosie napięcie sugerujące, że z tak wielkim ryzykiem nie miała dotąd do czynienia i że może się zdarzyć, iż żadne z nich nie powróci już nigdy do Spizowego Namiotu ni do Oazy Srebrnego Kwiatu.

Usłyszał muzykę i wiedział, że to dusza dziecka pod postacią dźwięków. Słodka i smutna, bardzo samotna melodia. Tak piękna przy tym, że gotów był załkać i uczyniłby to, gdyby był czymś więcej niż tylko zwiewną zjawą.

A potem ujrzał otwierające się przed nim błękitne niebo i czerwoną pustynię ciągnącą się aż po horyzont, gdzie majaczyły czerwone góry, i wydało mu się, że oto powrócił do znajomej krainy, którą opuścił kiedyś w dzieciństwie, a potem o niej zapomniał.

Rozdział 2

POGRANICZE

Elryk czuł, jak wraca normalna waga i spoistość jego ciała, a gdy się rozejrzył, wydało mu się, że okolica nie różni się niemal od tej, którą dopiero co opuścili. Przed nimi rozciągała się czerwona pustynia zwieńczona w oddali czerwonymi górami. Obejrzał się, oczekując ujrzeć za sobą Spizowy Namiot, ale zamiast niego zobaczył przepaść tak ogromną, że nie widać było ani jej dna, ani drugiego brzegu urwiska. Odczuł zawrót głowy i ku rozbawieniu Oone zachwiał się, jakby chciał odzyskać równowagę.

Złodziejka Snów ubrana była wciąż w te same jedwabie i atłasy. Nie kryła śmiechu.

— Tak, książę Elryku! Znajdujemy się dokładnie na krawędzi świata! Wszelkie dostępne nam wybory na pewno nie obejmują odwrotu!

— Nawet o tym nie myślałem, pani. — Przyjrząwszy się uważniej otoczeniu, stwierdził, że góry są tu nieco wyższe i wszystkie pochylają się w tę samą stronę, jakby przygięte potężnym wiatrem.

— Przypominają zęby dawno wymarłego drapieznika — powiedziała Oone ze wzruszeniem ramion, jakby zaiste spoglądała kiedyś w paszczę takiego potwora. — Oto pierwszy etap naszej wędrówki, kraina zwana niezmiennie Sanadorem, czyli Krainą Snów Pospolitych.

— Ale nie poznasz tego miejsca.

— Sceneria jest zmienna, znamy tylko naturę krainy. Niezależnie od szczegółowych różnic, miejsce to jest niebezpieczne nie dlatego, że obfituje w nieznaną, ale wręcz przeciwnie. Pora na drugą zasadę Złodzieja Snów.

— Uważaj na wszystko, co jawi się znajomo.

— Dobrze ci idzie. — Wyglądała na zadowoloną z odpowiedzi Elryka, jakby nie do końca wierzyła w swoje talenty pedagogiczne. Książę zaś zaczynał rozumieć, jak desperacką jest ich wyprawa i poddawał się chwili niosącej nowe doświadczenia mogące wywyższyć go ponad dotychczasowych władców Melniboné opierających swą władzę na tradycyjnych metodach i dążeniu do pomnożenia sił

za każdą cenę.

Uśmiechnął się i z błyskiem dawnej energii w oczach skłonił się ironicznie.

— A zatem prowadź, pani! Ruszajmy ku góróm. Nieco zdumiona tą zmianą nastroju Oone zmarszczyła brwi, ale postąpiła przez piasek tak lekki, że zamykał się wokół jej stóp niczym woda. Albinos poszedł za nią.

— Muszę zauważyć — powiedział po jakiejś godzinie marszu, która nie zaznaczyła się na nieboskłonie — że im dłużej tu przebywam, tym mniej mi się to miejsce podoba. Najpierw myślałem, że słońce schowało się za powłoką chmur, ale teraz widzę, że w ogóle nie ma słońca.

— Tutaj to normalne zjawisko.

— Pewniej czułbym się, mając miecz u boku.

— Mieczy jest tu dość.

— Również i takie wypijające dusze?

— Pewnie też. Ale czy odczuwasz jakieś szczególne pragnienie? Brakuje ci eliksiru?

Ku swemu zdumieniu Elryk zrozumiał, że nie czuje słabości. Po raz pierwszy w życiu miał wrażenie, że jest taki sam jak inni ludzie, którzy nie potrzebują żadnych szczególnych substancji, by podtrzymać swą egzystencję.

— Może dobrze byłoby, gdybym osiadł tu na stałe?

— O proszę, już wpadasz w jedną z tutejszych pułapek — zauważyła mimochodem Oone. — Pierwszą reakcją jest podejrzliwość, czasem strach. Potem przychodzi odprężenie i odczucie, że powróciło się na stare śmiecie, że wróciło się do domu, tak tradycyjnego, jak i duchowego. To iluzje dobrze znane podróżnikom. Nie wolno im ulegać, bowiem są czymś więcej niż miłymi stanami emocjonalnymi. Ciesz się, że masz w sobie więcej energii, niż sam o tym wiesz i zapamiętaj sobie jeszcze jedną zasadę złodziei snów: *Wcześniej lub później, ale za wszystko trzeba będzie zapłacić*. Cokolwiek zyskasz tutaj, upomni się o swoją cenę.

W głębi ducha Elryk uznał, że takie miejsce warte jest nawet wysokiej ceny.

W tejże chwili ujrzał liść.

Liść spływał powoli skądś znad jego głowy i był szerokim, czerwonozłotym liściem dębu. Niczym zwykły, jesienny spoczął na piasku u stóp Elryka, który nie widząc w tym zrazu nic niezwykłego, schylił się i go podniósł.

Oone chciała w pierwszej chwili powstrzymać księcia, ale jakby zmieniła zamiar.

Elryk położył liść na rozpostartej dłoni. Nic było w nim nic osobliwego, poza faktem może, że w zasięgu wzroku nie rośło żadne drzewo. Już miał spytać Oone o wyjaśnienie tego fenomenu, gdy zauważył, że złodziejska spogląda gdzieś ponad jego ramieniem.

— Dobry wieczór — rozległ się wesoły głos. — To zaiste szczęście, spotkać na tak beznadziejnym pustkowi parę bratnich śmiertelników. Jakież to kaprys Koła was tu zagnał?

— Witamy — powiedziała Oone uśmiechając się szeroko. — To przebranie nie nadaje się na pustynię, panie.

— Nie zostałem poinformowany ani o celu wędrowki, ani nawet o samym fakcie wyruszenia w drogę. . .

Elryk odwrócił się i ze zdumieniem ujrzał niewysokiego człowieka, którego ostro zarysowane, pogodne rysy ocieniał osobliwie olbrzymi turban z żółtego jedwabiu równie szeroki, jak ramiona właściciela. W materię wbita była szpila z wielkim, zielonym klejnotem, nad nią zaś powiewało jeszcze kilka pawich piór. Mężczyzna wydawał się spowity w kilka warstw ubrania, wszystkie z jaskrawego płótna i jedwabiu, włącznie z obszywaną kamizelką i długim surdudem zszytym misternie z wielu różniących się subtelnie odcieniami błękitu kawałków materiału. Nogi osłaniały workowate spodnie z czerwonego jedwabiu i zakrzywione pantofle z zielonej i żółtej skóry. Osobnik był nieuzbrojony, ale na rękach trzymał czarno-białego kota z parą jedwabistych, czarnych skrzydeł wyrastającą z grzbietu.

Skłonił się przed Elrykiem.

— Witaj, panie. Rozumiem, że w tym wymiarze jesteś postacią Wiecznego Wojownika. Ja zaś — zmarszczył czoło, jakby zapomniał chwilowo własnego imienia — jestem kimś, kogo miano zaczyna się na „J” oraz na „C”. Mniejsza z tym, poznam je zaraz. To albo inne. Jestem twoim, jak to się nazywa? Osobistym sekretarzem. — Spojrzał na niebo. — Czy to jeden z tych światów bez słońca? Czy tu w ogóle nie ma nocy?

Elryk spojrzał na Oone, która nie wyglądała na zdziwioną.

— Nie prosiłam o towarzystwo sekretarza, panie. Żadnego też nie oczekiwałam. Mój towarzysz i ja mamy do wykonania pewną misję w tym świecie. . .

— Oczywiście, cóż by innego. Równie to oczywiste, jak moja rola waszego kompana. Taki jest porządek rzeczy, panie. Nazywam się. . . — ale pamięć jeszcze mu nie dopisywała. — A jak brzmią wasze imiona?

— Jestem Elryk z Melniboné, a to Oone, Złodziejka Snów.

— Rozumiem zatem, że to jest ład, którzy Złodzieje Snów określają jako Sanador. Dobrze, w takim razie ja nazywam się Jaspar Calinadous. A mój kot, jak zwykle zresztą, to Wąsatek.

Stworzenie miauknęło cicho, ale jakby inteligentnie. Opiekun wysłuchał uważnie kociej kwestii.

— Już sobie przypominam. Poszukujecie Bramy Maradoru? Zmierzacie do Krainy Starych Pragnień.

— Czy i ty jesteś Złodziejem Snów, panie Jaspar? — spytała Oone z niejakim zdziwieniem.

— Niektórzy moi krewni są nimi.

— Ale jak się tu dostałeś? — spytał Elryk. — Przez medium? Czy, jak my, wykorzystaliśmy dziecko śmiertelników?

— Nie wiem, o czym mówisz, panie. — Jaspas Calinadous poprawił turban i umościł kota w jednym z obszernych rękawów. — Podróżuję pomiędzy światami dość chaotycznie, najpewniej jako igraszka dla nieznanymi mi, potężnymi sił. Często zdarza mi się być przewodnikiem podobnych tobie poszukiwaczy. Nie zawsze — dodał z wyrzutem — jestem tym samym odziany stosownie do zwyczajów świata lub chwili. Chyba śniłem właśnie, że jestem nieprzyzwoicie bogatym sułtanem w jakimś bajkowym mieście. Czekałem akurat na... — Spłonął się i spojrzał na Oone. — Wybaczone mi, to był tylko sen. Już się obudziłem. Niestety, szaty podążyły za mną do jawy...

Dla Elryka wszystko to nie miało najmniejszego sensu, ale Oone przyjmowała przemowę jak coś oczywistego.

— A zatem znasz drogę do Bramy Maradoru?

— Oczywiście, jeśli to jest Kraina Snów Pospolitych, to znam. — Jaspas przeniósł ostrożnie kota na ramię i zaczął przetrząsać przepastne wnętrze rękawa, potem zakamarki koszuli i liczne kieszenie w pozostałych częściach garderoby dobywając po kolei liczne zwoje, papierzyska, książeczki, pudełka, puderniczki, przybory pisarskie, kawałki rzemienia i szpulki nici. W końcu, znalazłszy pewien zwitek welinu, krzyknął z ulgą. — Oto i mam! To nasza mapa. — Porozmieszczał wszystkie dobyte uprzednio przedmioty w tych samych miejscach i rozwinął pergamin. — W rzeczy samej, to ona! Pokazuje nam drogę ku tamtym góróm.

— Propozycje przewodnictwa... — zaczął Elryk.

— I uważaj na to, co wygląda znajomo — dodała Oone i rozłożyła ręce. — Proszę, już mamy kłopot. Co dla ciebie jest osobliwe, dla mnie zupełnie zwyczajne. Taki już jest ten kraj. — Zwróciła się do Jaspasa Calinadousa. — Możemy zobaczyć twoją mapę, panie?

Człowieczek wręczył jej zwitek bez chwili wahania.

— Prosta droga. Zawsze prosta, co? I do tego tylko jedna. Miła strona życia w krainach snów. Prosta interpretacja, łatwa kontrola. Przynajmniej dopóki nie wchłoną kogoś te piaski bez reszty. Co się nie stanie.

— Wiesz zatem więcej ode mnie — stwierdził Elryk. — Ja wcale nie znam tego świata. Nie miałem nawet pojęcia, że ktoś może go tak polubić.

— Aha! A zatem czeka cię wiele miłych niespodzianek, panie! Tyle cudów ujrzysz. Mógłbym ci o nich opowiedzieć, ale pamięć mi chwilowo nie dopisuje. Często mi się to zdarza. Jest cała nieskończoność światów, niektóre jeszcze nie powstały, inne są już całkiem zgrzybiałe. Jedne rodzą się ze snów, inne giną stoczone koszmarem. — Przerwał z miną proszącą wybaczenia. — Nazbyt się zapalam. Nie chcę mieszać ci w głowie, panie. Wiedz jednak, że sam nieco się pogubiłem. Też się zdarza. Czy mapa mówi ci cokolwiek, pani?

— Owszem. — Oone studiowała uważnie wygnieciony pergamin. — Jest tylko jedna droga przez te góry zwane Paszczą Rekina. Jeśli przyjmiemy, że góry leżą na północy, to musimy skierować się na północny wschód, by odnaleźć coś,

co tutaj nazwano Gardzielą Rekina. Jesteśmy ci wielce zobowiązani, panie Jasparze. — Zwinęła mapę i oddała mu ją. Pergamin zniknął zaraz w rękawie, a kot skorzystał z okazji i mrużąc ulokował się ponownie na starym miejscu.

Elrykowi przemknęło przez głowę, że owo indywiduum jest wytworem wyobraźni Oone, chociaż z drugiej strony trudno było uwierzyć w istnienie wyobrażenia tak spójnego i niezależnego od twórcy. Po chwili Elryk uznał, że w takiej sytuacji nic właściwie nie stoi na przeszkodzie, aby i on sam okazał się czymś snem.

— Wiedźcie, że na tej drodze grożą nam pewne niebezpieczeństwa — powiedział Jaspar wchodząc pomiędzy nich. — Gdy podejdziemy bliżej, to jeśli chcecie, poproszę Wąsatka, by poleciał na zwiady.

— Będziemy zobowiązani — powiedziała Oone.

Podążali przez monotonną okolicę, Jaspar tymczasem zabawiał ich opowieściami o swych dotychczasowych przygodach, które pamiętał tylko połowicznie. Mówił o znanych mu ludziach, których imiona umknęły jego pamięci, i wielkich zdarzeniach historycznych tysięcy światów, chociaż nie pamiętał, czemu właściwie owe zdarzenia były wielkie. Elrykowi przypomniła się Smocza Wyspa i sale Imrryr, gdzie na wielkiej serii witraży przedstawione były opowieści z czasów pierwszych Melnibonéńczyków, którzy zakładali swą ojczyznę. Teraz były to tylko urywki opowieści, epizody, których kontekst umknął pamięci i ledwo dawał się odtworzyć. Zamiast układać zatem zdarzenia w logiczną całość, Elryk cieszył się słowami Jaspara niczym kawałkami szkła, podziwiając ich wzory i koloryt.

Jednostajne światło dnia drażniło księcia coraz bardziej, a w końcu przerwał gawędziarzowi pytaniem, czy i na niego wpływa to deprymująco.

Jaspar wykorzystał chwilę przerwy w opowieści, by przystanąć i wytrząsnąć piach z pantofli. Oone wysforowała się do przodu, gdzie czekała na nich niecierpliwie.

— Nie, panie. Cudowne światy często bywają pozbawione słońca, bowiem nie obowiązują w nich znane nam prawa. Mogą być płaskie, półokrągłe, owalne, okrągłe, a nawet sześciennie. Istnieją jedynie jako satelity tych światów, które nazywamy „prawdziwymi”, i tym samym nie są związane z żadnym słońcem, księżycem ni systemem planetarnym, a jedynie z pierwowzorami, które, i owszem, mają słońca dostarczające ciepła i księżyce powodujące pływy. A i więź ta jest osobliwa, bo duchowa, wyobrażeniowa, ogólnie filozoficzna. Jest nawet pewna teoria, że to nasze światy są wtórne, a te tutaj to właściwe miejsce narodzin naszego jestestwa.

Skończywszy zabiegi z obuwiem, dołączyli do podążającej już naprzód Oone.

— Może tą krainą rządzi mój patron, Arioch, Księżę Piekiel — powiedział Elryk. — Może to stąd pochodzi Czarny Miecz.

— Och, całkiem to możliwe, księżę. Bo i widzisz, jakieś diabelskie stworzenie właśnie zmierza ku nam, a my wszak nie mamy broni!

Trzygłowy ptak musiał zbliżyć się z wielkiej wysokości, skoro dojrzeli go dopiero teraz, gdy nurkował gwałtownie prosto na Oone, ostrzeżoną już krzykiem Elryka i biegnącą, by poszukać schronienia w widniejącym przed nimi zagłębieniu terenu. Ptaszysko przypominało gigantyczną wronę; dwie głowy przytuliło do karku, trzecią wyprostowało w locie. Rozpostarło szeroko skrzydła, wyciągnęło pazury i gotowało się, by schwytać zdobycz.

Elryk też ruszył biegiem, pokrzykując na stworzenie w nadziei, że odciągnie jego uwagę i przeszkodzi w ataku.

Ze straszliwym skrzeczeniem, które zdawało się wzbijać pod niebiosa, potwór zwolnił na chwilę, by skorygować nieco kurs.

W tej chwili gdzieś z tyłu dobiegł głos Jaspara.

— Jack Trzy-Dzioby, ty wstrętne ptaszysko!

Bestia zwinęła się w miejscu, wszystkie trzy łby obracając ku postaci w turbanie. Jaspar stał wyprostowany, z zaniepokojonym kotem na ręce.

— No i co, Jack? Nie zabroniono ci kosztować żywego mięsa? — rzucił z pogardą Jaspar, a Wąsatek miauknął i prychnął na wielokrotnie większego odeń przeciwnika.

Wyraźnie sprowokowane monstrum opadło na piasek i ruszyło biegiem za Złodziejką Snów, która przystanąła uprzednio, zdumiona rozwojem zdarzeń. Teraz znów wzięła nogi za pas.

— Jack! Jack! Pamiętaj o karze!

Ptak zakrakał niemal szyderczo. Elryk pognał przez piach po jego śladach mając nadzieję, że znajdzie sposób, by uratować Oone.

Nagle coś zafurkotało nad jego głową owiewając go prądem chłodnego powietrza i pogoniło za monstrum.

Był to kot. Wylądował na środkowej szyi ptaszyska i wszystkimi szesnastoma pazurami wpił się w pierze. Potwór zaczął kręcić się wkoło, by dopaść napastnika, ale bez powodzenia.

Ku zdumieniu Elryka kot zaczął rosnąć, podczas gdy Trzy-Dzioby małał coraz bardziej.

— Brzydki Jack Trzy-Dzioby! Głupi Jasiu! — Niemal groteskowa postać Jaspara wykwitła nagle tuż przed potworem i pogroziła mu palcem. Dzioby kłapały przed jego dłonią, ale żaden nie odważył się ugryźć. — Zostałeś ostrzeżony i teraz to już koniec z tobą. Skąd się tu wzięłeś? Pewnie podążyłeś za mną, gdy opuściłem pałac. — Podrapał się w głowę. — Chociaż nie pamiętam, bym wyjeżdżał. Mniejsza z tym. . .

Jack Trzy-Dzioby zakrakał raz jeszcze, spoglądając szalonymi, przerażonymi ślepiami ku swej niedoszłej ofierze, która podchodziła tymczasem coraz bliżej.

— Czy to twój zwierzak, panie Jaspar?

— Oczywiście, że nie, pani. To mój przeciwnik. Wiedział, że otrzymał ostatnie ostrzeżenie, ale nie spodziewał się chyba, że mnie tu spotka. Miał nadzieję na

bezkarnie zaatakowanie żywej ofiary. Nie było tak, co Jack?

Stworzenie zakrakało niemal żałośnie. Małe kocię przypominało teraz wampira wysysającego siły życiowe wraz z materią ciała.

Oone patrzyła z przerażeniem, jak ptaszysko malało do rozmiarów zwykłego drobiu, a potężny i zaokrąglony porządnie Wąsatek, który puścił w końcu ofiarę, usiadł na piasku i zaczął się myć, mruczając przy tym z wyraźną satysfakcją. Zadowolony z ulubieńca Jaspas pogłaskał go po łebku.

— Dobry kotek. Teraz biedny Jack może liczyć co najwyżej na okruszki, jeśli ktoś mu je rzuci. — Uśmiechnął się z dumą do dwojga nowych przyjaciół. — Ten kocur już wiele razy ratował mi życie.

— Skąd znałeś imię tego potwora? — spytała Oone. Była zdyszana, ze szkarłatnym obliczem i nagle przypomniała Elrykowi Cymoril, chociaż nie było między kobietami żadnego podobieństwa.

— Cóż, Jack mocno wystraszył księstwo, w którym przedtem byłem. — Jaspas wskazał na szaty, które musiały pochodzić właśnie stamtąd. — No i w ten sposób stałem się ulubieńcem tamtego ludu. Jack Trzy-Dzioby od dawna znał możliwości Wąsatka i bał się go. Gdy tam przybyłem, terroryzował ludność, zatem uspokoiłem go, a dokładniej rzecz biorąc, zrobił to kot. Darowaliśmy mu jednak życie, bo ostatecznie był z niego pożytek, jak zawsze z padlinożercy, szczególnie w tak gorącym klimacie. Gdy przedostałem się tutaj przez powłokę multiwszechświata, podążył najpewniej za mną nie wiedząc, że i Wąsatek jest tutaj. Niezbyt to wszystko tajemnicze, pani.

Oone wciągnęła głęboko powietrze.

— Wdzięczna ci jestem za pomoc, panie.

Jaspas skłonił lekko głowę.

— Czy nie powinniśmy ruszyć dalej ku Bramie Maradoru? Czeka na nas jeszcze wiele innych, chociaż może mniej niespodziewanych, niebezpieczeństw. Są zaznaczone na mapie.

— Gdybym tylko miał broń przy boku — westchnął Elryk. — Iluzja czy jawa, ale czułbym się pewniej! — Razem z innymi ruszył jednak w kierunku gór.

Wąsatek został z tyłu czyszcząc łapy i futro, zupełnie jak zwykły domowy kot, który właśnie upolował buszującą w spiżarni mysz.

Grunt zaczął się podnosić, zapowiadając bliskość Paszczy Rekina. Przed nimi ciemniały masywne szczyty, pomiędzy którymi otwierała się Gardziel prowadząca do następnej krainy. W upale pustkowia przejście wręcz zapraszało do chłodnego wnętrza, chociaż Elrykowi wydało się, że widzi jakieś białawe, kłębiące się w cieniu kształty.

— Jacyż ludzie mogą tu mieszkać? — spytał Oone, która nie pokazała mu uprzednio mapy.

— Głównie ci, którzy zbłądzili lub przelękli się dalszej drogi. Ten szlak nazywa się również Doliną Nieśmiałych Dusz. — Oone wzruszyła ramionami. —

Nie sędzę jednak, żeby zagrażało nam coś akurat z ich strony. W każdym razie nic poważnego. Są w jakiś sposób sprzymierzeni z siłami, które władają przejściem.

— A mapa nie mówi, jakie to siły?

— Radzi jedynie zachować ostrożność.

Z tyłu dobiegł jakiś odgłos i Elryk obejrzał się, oczekując następnej napaści, ale to tylko Wąsatek dołączał do nich, trochę może bardziej pulchny, trochę gładszy, ale poza tym normalnych już rozmiarów.

Jaspar Calinadous roześmiał się i usadził kota na ramieniu.

— Z tak przepięknym stworzeniem do towarzystwa nie potrzeba nam żadnej broni!

Kot polizał go po twarzy.

Elryk sondował wzrokiem mroki Gardzieli i przez chwilę wydało mu się, że widzi przed wejściem jeźdźca w biało-szaro-żółtej zbroi na srebrno-szarym koniu. Rycerz wycofał się i odjechał w ciemność. Księżciu wydało się, że poznaje postać, chociaż z pewnością nigdy jej nie widział.

Oone i Jaspar niczego chyba nie zauważyli, maszerowali bowiem spokojnie przed siebie.

Elryk przemilczał zjawisko, zamiast tego pytając Oone, jak to się dzieje, że chociaż maszerują od wielu godzin, nie czują głodu ni zmęczenia.

— To jedna z zalet tego wymiaru — powiedziała. — Przydaje się, chociaż zakłóca poczucie czasu i sprzyja zapomnaniu celu wędrówki i gubieniu kierunku. Co więcej, dobrze jest pamiętać, że nie zużywając fizycznej energii organizmu, eksploatuje się inne jego zasoby. Może psychiczne, duchowe, może inne, ale z pewnością równie istotne. Nie nadwężaj sił, księżę, bo wkrótce bardzo będziesz ich potrzebował!

Elryk zastanawiał się, czy może i ona dostrzegła bladego rycerza, ale z niejasnych powodów wołał jej o to nie pytać.

Wzgórza wyrastały z wolna coraz wyżej wokół nich, aż w końcu dotarli do Gardzieli Rekina. Światło ledwie tu dochodziło i Elryka przebiegł dreszcz, który nie był wyłącznie wynikiem mrocznego chłodu.

Usłyszał szum, a Jaspar wspiął się na wał kamieni i spojrział na drugą stronę. Wrócił po chwili, lekko zdumiony.

— Głęboka przepaść. I rzeka na dnie. Musimy poszukać mostu. — Mruknął coś do skrzydlatego kota, który niezwłocznie wzięcia! nad przepaścią i zniknął w cieniach po drugiej stronie.

Zmuszony do postoj, Elryk odczuł nagły przypływ smutku. Niezdolny do zapamiętania nad swymi fizycznymi potrzebami, niepewny biegu wydarzeń w świecie, który opuścił, zaniepokojony kurczącym się czasem i pewnością, że lord Gho z pewnością dotrzyma słowa i zamęczy Anigha na śmierć, dochodził z wolna do wniosku, że zachował się jak ostatni głupiec wyrażając wolę uczestnictwa w wy-

prawie, która może skończyć się tylko klęską. Nie rozumiał, czemu tak bezgranicznie zaufała Złodziejce Snów. Może to z desperacji po śmierci Alnaca. . .

Oone dotknęła jego ramienia.

— Pamiętaj, co ci powiedziałam. Zmęczenie nie narusza tu ciała, tylko umysł. Manifestuje się zmianami nastroju. Musisz poszukiwać pozytywnych myśli, tak jak normalnie szukałbyś jedzenia i wody.

Spojrzał w jej oczy odnajdując ciepło i serdeczność. Mroki rozpaczy zaczęły rozpraszać się momentalnie.

— Muszę przyznać, że zaczęło mnie ogarniać głębokie zwątpienie. . .

— Gdyby zdarzyło się tak znowu, to powiedz. Wiem, jak sobie z tym radzić. . .

— A zatem moje życie spoczywa w twoich rękach, pani — stwierdził bez ironii w głosie.

— Myślałam, że tyle zrozumiałeś w chwili, gdy zgodziłeś się mi towarzyszyć

— powiedziała łagodnie.

— Owszem. — Odwrócił się akurat na czas, by ujrzeć kota siadającego lekko z powrotem na ramieniu Jaspara. Ten wysłuchał uważnie wszystkiego, co kot miał do powiedzenia. W końcu skinął głową.

— Około ćwierć mili stąd jest całkiem dobry most prowadzący prosto do Gardzieli, ale Wąsatek mówi, że mostu pikluje rycerz na koniu. Pozostaje mieć nadzieję, że nas przepuści.

Poszli wzdłuż rzeki, niebo zaś ciemniało nad ich głowami a Elryk pożałował, że w odróżnieniu od braku łaknienia i zmęczenia istnieje jednak w tej krainie poczucie chłodu. Trząśnięcie z zimna, które tylko na Jasparze zdawało się nie robić wrażenia.

Skaliste ściany przepaści rozstały się na boki zakrzywiając się w kierunku przejścia i wkrótce ujrzeli most — naturalny, kamienny łuk tworzący wąską kładkę spinającą brzegi ponad spienioną rzeką. Usłyszeli echo wody mknącej dalej wąskim przesmykiem w dół, nigdzie jednak nie widać było strażnika, o którym opowiadał kot.

Elryk wysunął się ostrożnie na czoło pochodu, raz jeszcze żałując, że nie ma broni. Doszedł do mostu i postawił na nim stopę. Daleko w dole, niczym żywe stworzenie, rzeka śpiewała swą własną, spienioną pieśń rozpaczy i triumfu.

Księżę zadrzał i zrobił następny krok. Wciąż nie widział w coraz głębszym mroku żadnej postaci. Następny krok. Był już ponad wodą, ale pomimo wezwań rzeki, nie spoglądał pod stopy. Wiedział, jak fascynuje taka otchłań, jak wciążą mocą ryku i żywiołem ruchu.

— Widzisz kogoś, księżę? — spytał Jaspar.

— Nikogo! — odkrzyknął albinos i zrobił jeszcze dwa kroki.

Oone ruszyła ostrożnie w jego ślady. Elryk spojrzał na drugi koniec mostu, na wielkie, wilgotne płyty skalne pokryte porostami i pnączami o osobliwym kolorze. Kamienna ściana pięła się w górę i znikwała w panującym tam mroku. Wydało

mu się, że przez huk rzeki przebijają jakieś głosy zapowiadające złośliwie połamane nogi, ale nadal nikogo nie dostrzegał.

Był już w połowie mostu, nim zauważył w cieniach czeluści zarys konia i mglistą sylwetkę jeźdźca w białej jak skóra Elryka zbroi.

— Kto tam? — Albinos podniósł głos. — Przybywamy w pokoju. Nie chcemy nikogo skrzywdzić.

Nie wiadomo czy za sprawą płynącej wody zdawało mu się, czy rzeczywiście usłyszał cichy, niemiły chichot.

Nagle huk rzeki jakby przybrał na sile, aż Elryk zrozumiał, że to do panującego hałasu dołączył odgłos kopyt stąpających po skale. Uformowana niby z wodnej kurzawy, na drugim brzegu mostu pojawiła się postać rycerza zmierzającego ku księciu z długim jasnym mieczem w uniesionej dłoni.

Nie było gdzie uciekać. Jedynym sposobem zejścia jeźdźcowi z drogi byłby skok w nurt rzeki. Elryk przygotował się, by skoczyć na mglistego wojownika i schwycić cugle konia, gdy obok znów rozległ się znajomy szum skrzydeł i nieduży kształt zaatakował hełm rycerza, sięgając skrytej pod przyłbicą twarzy. To Wąsatek zabrał się do dzieła, prychając przy tym i sycząc niby zwykły kot toczący ze współplemieńcami walkę o kawałek ryby.

Koń cofnął się, a jeździec krzyknął z bólu i puścił cugle, chcąc zgonić kota z twarzy. Wąsatek wzbił się powietrze. Przez mgnienie Elryk widział wpatrzone weń jadowicie srebrzyste oczy i oblicze ze śladami trądu, a potem koń poniósł. Nagle kopyta straciły oparcie na wilgotnej skale i rozjechały się pod stworzeniem. Jeszcze wierzchowiec usiłował odzyskać równowagę, jeździec zaś krzyczał nań, niczym nagle oszalały, nie puszczając miecza z dłoni. Potem obaj przewalili się przez krawędź mostu i spadli wprost we wzburzone i łakome wodne otchłanie.

Elryk łapał ciężko powietrze, gdy Jaspar podszedł do niego i ujął za ramię, pomagając i jemu, i Oone przekroczyć kamienną kładkę. Księżę wciąż niezbyt wiedział, co się właściwie wydarzyło.

— I znów wdzięczność jesteście winni Wąsatkowi — powiedział Elryk z niepewnym uśmiechem. — Nieoceniony jest ten twój zwierzak, panie Calinadous.

— Zaiste, więcej jest wart, niż sądzisz — powiedział człowieczek radośnie. — Odegrał kluczową rolę w historii więcej niż jednego świata! — Poklepał kota, gdy ten, zadowolony z siebie i mrucząc, wskoczył mu na ramię. — Cieszę się, że możemy ci pomóc.

— No to strażnika mostu pozbyliśmy się na dobre — powiedział Elryk spoglądając w dół. — Czy często będziemy narażeni na takie ataki, moja pani?

— Zapewne tak — odparła marszcząc czoło, jakby zmagająca się z jakąś sobie tylko wiadomą zagadką.

Jaspar zacisnął mocno usta.

— Tędy — powiedział w końcu. — Patrzcie, jak przejście się zwęża. Zmienia się w tunel.

Rzeczywiście, teraz widzieli wyraźnie, jak skalne ściany nakładały się na siebie, tworząc jaskinię, przez którą Elryk ledwie mógł przejść nie schylając głowy. Do wnętrza prowadziły ledwo obrobione stopnie, w głębi zaś migotało żółtawe światło, jakby pochodni.

Jaspar westchnął.

— Miałem nadzieję dłużej wam towarzyszyć, ale niestety, muszę już zawrócić. Nie mogę przekroczyć Bramy Maradoru, która jest najpewniej tym właśnie, czym obawiam się, że jest. To by mnie zniszczyło. Idę znaleźć nowe towarzystwo w Krainie Snów Pospolitych — powiedział z autentycznym żalem. — Żegnaj, książę Elryku, żegnaj, lady Oone. Życzę wam powodzenia.

Bez zbędnych słów Jaspar odwrócił się i przeszedł szybko po moście. Nie spojrzawszy za siebie, zniknął im z oczu niemal tak samo niespodzianie, jak się pojawił. Nim którekolwiek zdołało się odezwać choć słowem, on rozpułynał się już w ciemności, a jego kot razem z nim. Oone wyglądała na pogodzoną całkowicie z tym faktem.

— Tacy ludzie po prostu przychodzą i odchodzą. Tutaj to normalne — odpowiedziała na pytające spojrzenie Elryka. — Kolejna zasada złodzieja snów brzmi: Polegaj wyłącznie na swej własnej duszy. Rozumiesz?

— Rozumiem, że to bardzo samotny los być Złodziejem Snów, pani.

Powiedziawszy to, Elryk rozpoczął wspinaczkę po grubo ciosanych stopniach schodów prowadzących do Bramy Maradoru.

Rozdział 3

PIĘKNO GŁĘBOKICH JASKIŃ

Niemal zaraz za wejściem tunel zaczął opadać. Chłodne z początku powietrze ustąpiło miejsca ciepłemu i tak wilgotnemu, że Elrykowi wydawało się chwilami, iż brodzi w wodzie. Źródłem przytłumionego blasku okazały się nie lampy ni pochodnie, ale naturalna substancja o cielistym wyglądzie. Przyłapali się oboje na tym, że szepczą, jakby nie chcąc zakłócić spokoju mieszkańcom tego miejsca. Elryk nie czuł jednak lęku. W tunelu panowała atmosfera sanktuarium i nawet Oone zaczęła zachowywać się mniej ostrożnie, pomimo doświadczenia każącego jej traktować wszystko podejrzliwie jako potencjalną iluzję.

Nie natknęli się na żadną wyraźną granicę pomiędzy Sanadorem i Maradorem. Jediną zauważalną zmianą była lekka zmiana nastroju. Tunel kończył się wielką jaskinią ze ścianami jarzącymi się błękitami, zieleniami, złocistą żółcią i ciemnym różem, a wszystkie te kolory przenikały się płynnie niczym dopiero co schłodzona lava. Przypominały raczej barwy nie kamienia, a rozkwitłych, bujnych kwiatów i Elryk poczuł się, jakby stąpał po ogrodzie podobnym do tych, które znał z dzieciństwa, miejsc spokojnych i bezpiecznych. Nie miał jednak wątpliwości, że dotarli do jaskini i są głęboko pod ziemią.

Zachwycony widokiem odczuł żal, że uleciały z jego pamięci te ogrody dzieciństwa pełne tak rzadkiej w Melniboné beztroskiej szczęśliwości. Pomyślał o matce, która umarła wydając go na świat, i o pogrążonym w niepocieszonej żałobie ojcu, który nigdy nie zaakceptował syna, uważając go za zabójcę.

W głębi jaskini dało się zauważyć poruszenie i Elryk zaczął węszyć niebezpieczeństwo, ale ludzie, którzy się pojawili, byli bez broni, a twarze ich miały wyraz bezkresnej melancholii.

— Przybyliśmy do Maradoru — wyszeptała Oone pewnym tonem.

— Któż to do nas przybywa? — przemówiła jakaś kobieta w zwiewnych, kolorowych szatach odbijających barwy skalnych ścian i sklepienia. Miała długie włosy w barwie spłowiałego złota, a oczy o odcieniu pokrytej patyną cyny. Dotknęła Elryka na powitanie, jej dłoń była lodowata. Książę poczuł, jak opanowuje

go to samo pełne smutku uspokojenie i pomyślał, że pozostanie tutaj nie byłoby najgorszym z możliwych losów. Można by żyć wspomnieniami szczęśliwych chwil, gdy życie było takie proste, a świat zdawał się czekać tylko, by otworzyć swe podwoje.

— Jesteśmy podróżnikami w twym kraju, pani — powiedziała z tyłu Oone głosem, który wydał się nagle chropawy. — Nie chcemy nikogo skrzywdzić, ale z pewnością tu nie zostaniemy.

— Podróżnymi? — spytał jakiś mężczyzna. — Czego szukacie?

— Perłowej Fortecy — odpowiedział Elryk. Oone była wyraźnie niezadowolona z tej szczerości.

— Nie zabawimy tu długo. Chcemy tylko dowiedzieć się, gdzie jest następne przejście, Brama Paranoru.

Mężczyzna uśmiechnął się smutno.

— Obawiam się, że przepadła. Przepadła dla nas wszystkich. Ale nie bolejemy na tą stratą. Nie sądzicie, że wyszło nam to na dobre? — Zwrócił na nich rozmarzone, nieobecne spojrzenie. — Lepiej nie szukać tego, co może jedynie rozczarować. My wolimy pamiętać to tylko, co mieliśmy za najbardziej upragnione i jak to było: pragnąć. . .

— Ale przecież czy naprawdę nie lepiej poszukać przejścia — spytał Elryk sam zdumiony własną szorstkością wobec tego człowieka.

— Ale po co, jeśli rzeczywisty świat zawsze przegrać musi w zestawieniu ze światem nadziei?

— Tak myślisz, panie? — Elryk gotów był zastanawiać się nad tym stanowiskiem, ale Oone chwyciła go mocno za ramię.

— Wspomnij nazwę, jaką Złodziejce Snów nadali tej krainie — mruknęła.

Tak, to była Kraina Starych Pragnień, gdzie wszystkie tęsknoty wracały z mroków niepamięci kojącym spokojem i prostotą postrzegania świata. Elryk wspominał, jak niegdyś podobny stan ducha ustąpił w jego myślach gniewnej zapalczywości. Skłonny był uznać teraz, że niewielką miały szansę na realizację jego ówczesne marzenia. Gniew kierowany ku niesprawiedliwości tego świata wyładował się w studiach nauk magicznych. Celem księcia była zmiana porządku rzeczy i ustanowienie większej wolności i sprawiedliwości z wykorzystaniem wszelkiej dostępnej jego rodowi władzy. Pobratymcy nie podzielali tego punktu widzenia. Marzenia towarzyszące szlachetnym porywom pełnego nadziei serca zostały w końcu zapomniane. Aż do teraz, gdy znowu zaświtała im nadzieja. Może są jednak królestwa, gdzie spełnia się każde marzenie? Może to Marador jest tym miejscem?

— Gdybym wrócił po Cymoril, moglibyśmy zamieszkać tu w spokoju wraz z tymi ludźmi — powiedział do Oone.

Złodziejka Snów nie kryła pogardy dla tego pomysłu.

— Ta kraina nosi imię Starych Pragnień, nie Pragnień Spełnionych, a to różnica! Nie czujesz niczego niezwykłego, tyle tylko, że pozbawiony kontaktu z rzeczywistością, zatracasz się w tęsknocie za nieosiągalnym. Dopiero prawdziwe spełnienie może uczynić cię tym, kim pisane jest ci zostać, Elryku z Melniboné. Odwróć się plecami do przeznaczenia, twego własnego przeznaczenia, by budować sprawiedliwy świat, a stracisz cały mój szacunek. Sam stracisz szacunek do siebie. Okażesz się kłamcą i dowiedziesz mej głupoty, bo ja zawierzyłam, iż naprawdę możesz mi pomóc!

Elryk był skrajnie zdumiony jej wybuchem, tak bardzo kontrastującym z panującym tu kojącym spokojem.

— Ale wydaje mi się, że takiego świata nie da się zbudować. Czy nie lepiej zatem żyć nadzieją niż ze świadomością porażki?

— Tak sądzą wszyscy w tej krainie. Zostań tu, jeśli chcesz, i zatrać się w ich wierze. Ale ja uważam, że nadal trzeba próbować, nieważne, jak wadę są szansę powodzenia!

Elryk poczuł się zmęczony, nade wszystko zapragnął usiąść i odpocząć. Ziewnął, przeciągnął się.

— Ci ludzie zdają się znać jakąś tajemnicę, też chciałbym ją poznać. Porozmawiam z nimi chwilę, a potem pójdziemy dalej.

— Zrób tak, a Anigh umrze. Umrze Święta Dziewczyna. I wszyscy, których cenisz — powiedziała Oone nie unosząc głosu, tonem stwierdzenia, jednak jej słowa wytrąciły Elryka z transu. Nie po raz pierwszy miał ochotę wycofać się w świat marzeń. Gdyby ostatnio uległ pokusie, rządziłby teraz w Melniboné, a Yyrkoon zostałby stracony lub wygnany.

Myśli o kuzynie i jego ambicjach, o czekającej na powrót i zaślubiny Cymoril, pomogły Elrykowi odzyskać poczucie celu, zapobiegły pojedynczemu wycofaniu się do własnej skorupy. Skłonił się mieszkańcom jaskini.

— Dziękuję za serdeczne przyjęcie, ale droga prowadzi mnie dalej, do Bramy Paranoru.

Oone odetchnęła głęboko, z ulgą.

— Czas nie płynie tutaj w znany ci sposób, ale umyka nam szybciej, niż sądzisz, książę Elryku...

Z poczuciem głębokiego żalu Elryk zostawił ogarniętych melancholią ludzi i skierował się w głąb jaskiń.

— Nazwa tej krainy nie wynika z przypadku. Uważaj na to, co znajome.

— Może jednak powinniśmy odpocząć? Dojść nieco do siebie? — spytał książę.

— Owszem. I umrzeć z przesłodzonej melancholii.

Spojrzał, nastrój pieczar nie miał na nią żadnego wpływu.

— Czy to temu uległ Alnac Krebs?

— Oczywiście nie! Był dość dobrze przygotowany, by ominąć tak proste pułapki!

— A zatem ledwo przeszedłem pierwszą próbę, pierwszy test mego zdecydowania i samodyscypliny — zawstydził się Elryk.

— Złodzieje Snów nieustannie wystawiani są na takie próby. Łatwiej jest im się przeciwstawić, chociaż pokusy są równie silne.

— Nawet dla ciebie?

— A czemu nie? Czy sądzisz, że i ja nie pragnęłam nigdy niczego, o niczym nie marzyłam? Nie przeżyłam pogodnych chwil dzieciństwa?

— Wybacz, pani. Wzruszyła ramionami.

— Ten aspekt przeszłości przyciąga dość silnie. Jak zresztą cała przeszłość. Gorzej, że zapominamy łatwo wszystko, co skłoniło nas do ucieczki w świat fantazji.

— A zatem ty wierzysz w przyszłość, pani? — Elryk próbował zdobyć się na żart. Skąła pod stopami zrobiła się śliska i wspinaczka wymagała więcej uwagi. W polu widzenia pojawiła się podziemna rzeka.

— Przyszłość bywa równie niebezpieczna jak przeszłość — powiedziała Oone z uśmiechem. — Ja zaś wierzę w chwilę terażniejszą. W wieczne teraz — stwierdziła tonem sugerującym, że czasem myśli jednak inaczej.

— Spekulacje i żal przyczyniają pokus — powiedział Elryk i umilkł zdumiony nowym zjawiskiem.

Dwoma wyżłobionymi w skale, schodzącymi się na kształt litery V korytami spływało płynne złoto. Metal przemieszczał się spokojnie i z bliska widać było, że nie jest gorący, że płynność powodować musi jakiś inny czynnik, najpewniej chemiczny. Docierając do podłogi jaskini, złoto rozlewało się w jeziorko, z którego wypływał bulgoczący strumień łączący się dalej z innym potokiem, potokiem nie wody, ale srebra. Oba kruszce mieszały się, by jeszcze dalej zlać się z błyszczącą szkarłatą strugą niosącą najpewniej płynne rubiny. Nigdy w podróży po Młodych Królestwach ani po innych wymiarach Elryk nie spotkał niczego podobnego. Chciał podejść, by przyjrzeć się bliżej zjawiskom, ale Oone go powstrzymała.

— Doszliśmy do następnej bramy — powiedziała. — Zostaw w spokoju cudowne manifestacje, panie, i lepiej spójrz tam. — Wskazała na coś cieniściego pomiędzy strumieniami złota. — Tam leży Parador. Jesteś gotów się z nim zmierzyć?

Pamiętając, jak Złodzieje Snów ochrzcili tę krainę, Elryk pozwolił sobie na ironiczny uśmiech.

— Od urodzenia, pani.

Gdy wstępowali już w portal, rozległ się za nimi odgłos kopyt odbijający się donośnym echem pod ponurym sklepieniem tysięcy jaskiń. Zanim Elryk zdołał się odwrócić, coś uderzyło go w ramię, odrzucając na bok. Wydało mu że widzi

śmiertelnie bladego konia niosącego jeźdźca w zbroi z kości słoniowej, macicy perłowej i żółwich skorup, który przemknął obok i zniknął w mrokach bramy.

Z pewnością był to jeden z wojowników z drużyny pilnującej i, mostu, bowiem taki sam chichot zdawał się dobiegać do uszu księcia, nim przestwór za bramą wchłonął wszelkie odgłosy.

— Mamy tu wrogów — powiedziała Oone krzywiąc się i przygotowując go do ewentualnej walki. — Zostaliśmy rozpoznani. Perłowa Forteca atakuje, miast czekać obłężenia.

— Znasz tych jeźdźców? Spotkałeś już ich kiedyś?

Pokręciła głową.

— Znam tylko wielu im podobnych.

— Nie możemy ich ominąć?

— Niezbyt. — Zamyśliła się i najwyraźniej nie zamierzała I dzielić się troską z Elrykiem. Ostatecznie wzięła go pod ramię i poprowadziła pomiędzy bliźniaczymi kaskadami; zimnego złota ku jaskini, która nagle wypełniła się łagodnym, zielonym blaskiem, jakby wędrowali pod baldachimem skapanych w jesiennym słońcu liści. Elryk wspomniął Stare Melniboné u szczytu potęgi, gdy dumni mieszkańcy uznawali cały świat za swoją własność. Całe narody były wówczas wymazywane z powierzchni ziemi dla prostego kaprysu.

Następna jaskinia była tak obszerna, iż trudno było uwierzyć, że nadal jest to podziemie. Elryk ujrzał wieżycy i minarety miasta oblanego tym samym ciepłym, zielonym światłem, równie pięknego jak ukochane przez księcia Imrryr, Miasto Snów, które zwiedzał w młodzieńczych czasach.

— Wygląda jak Imrryr, ale z drugiej strony wcale go nie przypomina — powiedział zdumiony.

— Oczywiście, że nie — odparła. — Wygląda jak Londyn, jak Tanelorn, jak Ras-Paloom-Atai. — Nie mówiła tego z ironią, ale jakby naprawdę wierzyła w podobieństwo do tych wszystkich miast, spośród których Elryk kojarzył tylko jedno.

— Ale ty już je widziałaś. Jak się nazywa?

— Nie ma nazwy i zarazem nosi wszystkie. To zależy od tego, jak zapragniesz je nazwać. — Odwróciła się, jakby chciała złapać chwilę oddechu, po czym poprowadziła drogą omijającą miasto.

— Nie powinniśmy tam zajść? Może ktoś pomógłby nam znaleźć dalszą drogę?

— Albo i kres wędrówki — zachnęła się. — Wiemy już, że ktoś bacznie śledzi nasze kroki i że pewne podejrzliwe siły skłonne będą zatrzymać nas za wszelką cenę.

— Myślisz, że śledzą nas Czarownicy?

— Lub podążają przed nami i przygotowują innych na nasze nadejście. — Spojrzała nieufnie na miasto.

— Wydaje się takie spokojne — powiedział Elryk. Im dłużej przyglądał się miastu, tym większe wrażenie robiła na nim architektura wzniesionych z zielonkawego kamienia budynków. Mieniące się od żółci do błękitu wieże z przyporami łączyły łukowate mosty; delikatne niczym pajęczyna iglice zdawały się sięgać samego sklepienia jaskini. Kojarzyły mu się z czymś, czego nie potrafił uchwycić. Chciałby tam pójść i miał coraz większy żal do Oone, że na to nie pozwala. Zaczął podejrzewać, że Złodziejka zgubiła się i nie ma większego pojęcia o położeniu celu wędrówki niż on sam.

— Musimy iść dalej — powiedziała nagle.

— Pewien jestem, że znajdziemy w mieście coś, co przywróci Imrryr dawny blask i chwałę. Tym razem jednak, zamiast strachu i okrucieństwa, miasto przepełni piękno i dobra wola.

— Jesteś bardziej podatny na iluzję, niż sądziłam, książę Elryku — powiedziała Oone.

— A co złego jest w takich ambicjach? — Spojrzał na nią gniewnie.

— Są nierealne. Zupełnie jak to miasto.

— Dla mnie wygląda całkiem solidnie.

— Solidnie? Cóż, może na swój sposób i jest solidne. Gdybyś jednak przekroczył jego bramę, przytuliłoby cię niby dawno opłakana kochanka! Chcesz? No to chodź! Dalej! — Złodziejka wyraźnie traciła panowanie nad sobą. Postąpiła na wijką się ze wzgórze, obsydianową drogę ku miastu.

Zdumiony nagłą odmianą charakteru, Elryk poszedł za nią, jednak jego gniew zaczął z wolna wygasać.

— Przepraszam, pani, może jednak oprzemy się na twoim rozeznaniu sytuacji...

Nie słuchała go. Z każdą chwilą miasto było coraz bliżej, aż w końcu mury i wieże zawisły nad ich głowami. Budowle były tak olbrzymie, że nie dawały z bliska ogarnąć się wzrokiem.

— To jest brama — powiedziała Oone. — Proszę! Przejdź przez nią i żegnaj na zawsze. Sama pójde dalej i sama spróbuję uratować dziecko, ty zaś rozpamiętuj sobie utraconą wiarę tracąc tak naprawdę wiarę wszelaką!

Elryk przyjrzał się bliżej murom przypominającym z daleka jadeitowe, i ujrzał zastygłe w środku, niczym muchy w bursztynie, postaci mężczyzn, kobiet i dzieci. Podeszedł jeszcze parę kroków, by zajrzeć w żywe wciąż twarze i nieruchome oczy, usta zastygłe w grymasie przerażenia, udreki lub smutku.

— To niezmienna przeszłość, książę Elryku — powiedziała Oone. — Oto los tych, którzy upierają się przy próbach odzyskania utraconych przekonań, miast poszukać nowych. To miasto ma nazwę, nadaną im przez Złodziei Snów. Nazywamy je Miastem Twórczego Tchórzostwa. Nie rozumiesz pokrętnej logiki, która przywodzi wielu do rozpamiętywania przeszłości! Która sprawia, że zmuszają]

najbliższych, aby podzielili ich los. Chcesz z nimi zostać, książę Elryku, chcesz przez wieczność całą dopieszczać to, co straciłeś?

Albinos odwrócił się, przejęty dreszczem.

— Ale skoro widzieli, co spotkało poprzedników, to czemu wchodzili do miasta?

— Bo byli ślepi na oczywiste fakty. Podziwiasz właśnie wielki triumf bezmyślności nad rozumem.

Wrócili oboje na drogę okrążającą miasto. Elryk poczuł ulgę, gdy przepiękne wieże znalazły się daleko. Przeszli jeszcze przez kilka wielkich jaskiń, a w każdej wznosiło się miasto, chociaż żadne nie było tak wspaniałe jak pierwsze. Te następne nie przyciągały Elryka, chociaż wyczuwał w niektórych poruszenie. Oone stwierdziła, że zapewne żadne z nich nie jest równie niebezpieczne jak Miasto Twórczego Tchórzostwa.

— Nazwałaś, pani, ten świat Wymiarem Snów, i zaiste, dobra to nazwa, bowiem mamy tu cały katalog snów, a nie tylko garść zmór nocnych — powiedział Elryk. — Zupełnie jakby całe to miejsce zrodziło się w wyobraźni jakiegoś poety, tak straszne rzeczy można tu napotkać.

— Powiedziałaś mi już, że wiele z tego, co widzisz, to na poły uformowana materia pochodząca z jawy innych światów, takich jak twój czy mój — stwierdziła o wiele już spokojniejsza, skoro Elryk zrozumiał niebezpieczeństwo. — Przynajmniej tak było na razie. Na ile objawi nam się to dalej, nie wiem. Wszystko tutaj było przez stulecia całe kształtowane przez Złodziei Snów, którzy potrafią narzucić postać temu, co dla innych jest bezpostaciowe.

Elryk zaczął coraz lepiej rozumieć wykład Oone.

— Zatem zamiast rysować mapę tych krain, sami narzucacie im łatwą do rozpoznania postać?

— Do pewnego stopnia. Nie tworzymy niczego, a tylko opisujemy. W ten sposób potrafimy wytyczać drogi przez miriady sennych wymiarów, bowiem w tym jednym wszystkie są identyczne.

— W tym, że w każdym z nich może istnieć tysiąc różnych krain?

— Możesz tak powiedzieć. Lub nieskończoność krain. Lub jedna w niezliczonych postaciach. Drogi wytycza się tak, aby pozbawiony kompasu podróżnik nie zbłądził zanadto. — Roześmiała się niemal radośnie. — Nazwy, które nadajemy tym krainom, nie wynikają z zamiłowania do poezji ani z kaprysu, ale z konieczności. Od trafnego opisu zależy może nasze przetrwanie!

— Dobrze zatem dobieracie słowa, pani, chociaż sam wolę uzależnić moje przetrwanie od mocnego, ostrego miecza!

— Taka zależność, książę Elryku, prowadzi tylko do jednego.

— Do marnego końca, pani?

Oone pokręciła głową, przybierając wyraz współczucia, niemal czułości.

— Taka czy inna śmierć czeka większość z nas. Zauważ jednak, że gdyby kiedykolwiek chaos miał ogarnąć Chaos, to ty byłbyś narzędziem owego osobliwego podboju. Smutne by to było, książę Elryku, gdybyś wraz ze wszystkim, co kochasz, miał zginąć stawiając czoło chaosowi.

— Obiecuję ci, pani, że zrobię co w mojej mocy, by takiego losu uniknąć. — Spojrzawszy w oczy Złodziejki Snów, powstrzymał się przed dalszymi rozważaniami.

Jechali przez las stalagmitów i stalaktytów lśniących ciemnymi zieleniami, granatem i bogactwem czerwieni, a każda kropla spadającej ze sklepienia wody rozbrzmiewała muzyką. Wkrótce jednak pieczary znów zrobiły się suche, oni zaś poczuli się odprężeni. Maszerowali wesoło ramię w ramię, gdy ujrzeli postacie wyłaniające się spomiędzy spiczastych, kamiennych zębów.

— Zbrojni — mruknął Elryk. — Oto kiedy broń jednak czasem się przydaje... — dodał ironicznie. W myślach przetrząsał pamięć w poszukiwaniu jakiegokolwiek zakłęcia, ale bezskutecznie. Zupełnie jakby wszystkie ścieżki jego umysłu prowadzące do wiedzy magicznej zatrzęsnięto przed nim na głucho.

Rycerze byli zakapturzeni. Sylwetki skrywały ciężkie, obszerne płaszcze, głowy chroniły hełmy z metalu i skóry. Elrykowi zdało się, że spod tych hełmów patrzą na niego zimne i harde oczy o wytatuowanych powiekach. Poznał członków Gildii Zabójców z Quarzhasaat. Wycofujący się Czarownicy musieli zostawić ich tutaj, uwięzionych. Było oczywiste, że nie szykowali się do rozmów z dwójką podróżników, a jedynie do zaatakowania ich w ulubiony przez siebie sposób.

Było jednak w nich coś dziwnego. Brakowało im płynności ruchów, a gdy podeszli bliżej, Elryk zauważył, że poprzez ich oczy widać było niemal wnętrze czaszki. To nie byli zwykli śmiertelnicy. Spotkał już kiedyś takich ludzi w Imrryr. Było to przy jednej z tych rzadkich okazji, gdy Sadric zabrał go ze sobą i pokazał starą arenę okoloną wysokim murem, za którym więziono Melnibonéńczyków, ofiary swej własnej magii. Nieszczęśnicy ci utracili dusze, pozostawiając puste skorupy żywych ciał. Podobnie jak obecni napastnicy, wydawali się przepojeni zimną, nieubłaganą nienawiścią do wszystkich, którzy nie byli im podobni.

Oone krzyknęła i opadła na jedno kolano, otrzymawszy uderzenie mieczem, który zazgrzytał zaraz o stalagmit. Kamienne filary wyrastały szczęśliwie tak gęsto, że wojownicy nie mogli zamachnąć się należycie mieczami. Przez kilka chwil Elryk i Oone wymykali się ciosom, aż w końcu ostrze zahaczyło o ramię albinosa, a napastnik wchłonął utoczoną krew.

Książę Melniboné wiedział, że śmierć ich obojga jest tylko kwestią czasu, gdy nagle poczuł, jak stalagmit, o który oparł się plecami, ustępuje nieco pod naporem. Z jakiegoś powodu skały w jaskini musiały być bardzo kruche. Elryk zapał się z całej siły i stalagmit ustąpił. Albinos szybko ujął go w dłoń, oparł na ramieniu i wycelowawszy w najbliższego nieprzyjaciela, zaatakował.

Czubek kamiennego ostrza wniknął głęboko w pierś zakapturzonego mężczy-

zny. Czarownik krzyknął krótko w agonii, a oręż pokrył się dziwną, nienaturalną krwią, która zaraz wsiąkać zaczęła w kości napastnika, jakby przez nie wchłaniania. Pomimo następnego zbrojnego nacierającego od tyłu, Elryk podskoczył i wyrwał z rąk pokonanego szablę i sztylet. Od razu przypomniał sobie całą swą sztukę walki, którą posiadał na długo przedtem, nim stał się właścicielem Zwiastuna Burzy. Nauczył się wówczas posługiwać mieczem, nożem, łukiem i lancą, nie potrzebował teraz zatem magicznego oręża, by szybko uporać się z drugim Czarownikiem, potem z trzecim. Krzyknął do Oone, by zaopatrzyła się w broń, przeskakiwał od skały do skały, za każdym razem dopadając kolejnego wroga. Wojownicy stracili pewność siebie, poruszali się jeszcze bardziej niezgrabnie, ale nie uciekali.

Oone dołączyła do niego wykazując się równie wysokim kunsztem walki jak Elryk. Podziwiał finezję jej techniki, pewność, z jaką przechodziła z obrony do wypadu i celność, za sprawą której była równie skuteczna i oszczędna w ruchach jak kot, który wdarł się do szurzego gniazda.

Elryk znalazł chwilę, by uśmiechnąć się do niej przez ramię.

— Świetnie władasz ostrzem, pani, szczególnie jak na kogoś, kto nie tak dawno dowodził wyższości oręża słów nad orężem stalowym!

— Dobrze jest poznać obie te sztuki, zanim dokona się wyboru! — odkrzyknęła, rozplątując następnego zabójcę. — Przyznaje zresztą, że w szczególnych okolicznościach odpowiedni kawałek stali ma niejaką przewagę nad najwspanialszą nawet frazą!

Walczyli ramię w ramię niczym starzy przyjaciele. Ich techniki były porównywalne, ale nie identyczne. Oboje sprawiali się jak wyćwiczeni żołnierze, nie wykazując się ani okrucieństwem, ani nie znajdując przyjemności w zabijaniu, pragnąc jedynie wygrać walkę jak najszybciej, przyczyniając równocześnie jak najmniej cierpienia wrogowi.

Wróg zdawał się niewrażliwy na ból, choć każdy umierający wydawał przejmujący okrzyk i broczył obficie dziwną krwią.

W końcu Oone i Elryk przystanęli, oparci na pożyczonych ostrzach, i dyszeli ciężko, starając się opanować częste po bitwie mdłości.

Elryk zauważył, jak porozrzucone wkoło ciała znikają raptownie, zostawiając po sobie jedynie porozrzuconą broń. Podobnie wyparowały ślady krwi, i po chwili nic niemal nie świadczyło, że w jaskini rozegrała się przed chwilą zajądła walka.

— Gdzie oni zniknęli?

Oone podniosła pochwę i schowała do niej swą nową szablę. Pomimo deklaracji wyraźnie nie miała ochoty postępować dalej bez broni. Dwa sztylety zatknęła za pas.

— Zniknęli? Aha. — Zawahała się. — W jakimś zbiorniku ektoplazmy, z którego zresztą przybyli. — Potrząsnęła głową. — Oni byli prawie zjawami, księżę,

choć niezupełnie. Dokładnie rzecz biorąc, byli pozostałościami po Czarownikach, Poszukiwaczach Przygód.

— Chcesz powiedzieć, że tylko część każdego z nich wróciła do naszego świata, podobnie jak to było z Alnakiem?

— Dokładnie. — Wciągnęła powietrze, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze.

— No to czemu nie spotkaliśmy tu dotąd żywego Alnaca?

— Bo go nie szukaliśmy — powiedziała pewnym głosem i dość już spokojna, by ośmielić Elryka do dalszego zgłębiania tematu.

— A poza tym i tak nie znaleźlibyśmy go w tej akurat krainie — powiedział cicho albinos.

— Prawda.

Elryk objął Złodziejkę i stali tak przez kilka chwil, aż uznali, że gotowi są do dalszej drogi ku Bramie Celadoru. Dalsze słowa nie były potrzebne.

Później, gdy Elryk pomagał jej przejść po naturalnym moście rozpiętym ponad rzeką toczącą jakąś matową, brunatną substancję, Oone jednak się odezwała.

— To nie jest dla mnie zwyczajna wyprawa, księżę Elryku. Właśnie dlatego potrzebuję twój towarzystwa.

Lekko zdumiony, że Oone powiedziała coś, co oboje dobrze wiedzieli, Elryk nie odpowiedział.

Gdy niedługo potem zaatakowały ich kobiety z twarzami na podobieństwo ryjów, wszystkie uzbrojone w sieci i piki, utworzenie sobie drogi i odpędzenie napastniczek nie zabrało wiele czasu. Równie niewielką przeszkodą były wilkopodobne stworzenia, które skakały na tylnych łapach i wyciągały ku nim ptasie szpony. Wybuchnęli nawet śmiechem, gdy przyszło im przedzierać się przez sforę szczerzących kły bestii przypominających konie wielkości psów, zdolnych nawet wypowiedzieć kilka słów w ludzkim języku, tyle że zupełnie bez sensu.

W końcu dotarli do granic Paranoru. Ponad nimi górowały dwie gigantyczne wieże wyciosane w żywej skale z wieloma małymi balkonami, oknami, tarasami i blankami, całość zaś wyłożona była starą kością słoniową i pnącymi krzakami jeżyn rodzącymi jasnożółte owoce.

— To Brama Celadoru — powiedziała Oone, zwlekając jednak z podejściem bliżej. Położyła jedną dłoń na rękojeści szabli, drugą wsuwając pod ramię Elryka. Zatrzymała się i odetchnęła głęboko, powoli. — To kraj porośnięty puszciami.

— Nazwałeś go Krainą Zapomnianej Miłości.

— Owszem. To nazwa, którą nadali jej Złodzieje. — Roześmiała się sardonicznie.

Niepewny jej zmiennych nastrojów Elryk nie ważył się więcej indagować. Też przystanął, przenosząc wzrok ze Złodziejki na bramę i z powrotem.

Oone pogładziła palcami rysy jego białej twarzy. Jej własna skóra była złociста, młoda i elastyczna. Popatrzyła na niego, a potem, z kolejnym westchnieniem, obróciła się i nie wypuszczając jego dłoni, pociągnęła go w kierunku bramy.

Przeszli pomiędzy wieżami i momentalnie Elryk poczuł bogatą woń liści i torfu. Wokół rosły masywne dęby, wiązy, brzozy i wszelkie inne możliwe gatunki drzew, jednak ponad baldachimem ich gałęzi zamiast słońca jarzyła się dziwna poświata sklepienia jaskini. Elryk owi wydało się niemożliwe, by drzewa rosły pod ziemią. Były jednak zdumiewająco prawidłowo rozwinięte i zdrowe.

Wciąż jeszcze zaskoczony, albinos dojrzał jakieś stworzenie wyłaniające się z puszczy i stające pewnie na ich drodze.

— Stop! Muszę wiedzieć, co was tu sprowadziło! — Oblicze istoty pokryte było futrem, zęby długie i wystające, uszy wyrosłe ponad miarę, oczy wielkie i psie. W sumie obcy przypominał po prostu nienaturalnie dużego królika. Był jednak solidnie opancerzony w blachy z kutego brązu z taką czapczką na głowie i uzbrojony w miecz i włócznię z porządnej stali, obie również oprawne w brąz.

— Szukamy jedynie przejścia przez tę krainę, nic do nikogo nie mamy i nie szukamy zwady — odparła Oone.

Wojowniczy królik potrząsnął łebkiem.

— Zbyt ogólnie — powiedział i zważywszy w dłoni włócznię, wraził jej ostrze głęboko w pień dębu. Dąb krzyknął. — Ten tutaj też powiedział mi tylko tyle. I jeszcze wielu innych.

— Te drzewa były kiedyś podróżnikami? — spytał Elryk.

— Twoje imię, panie?

— Jestem Elryk z Melniboné, a to jest Oone. Nie chcemy sprawić ci kłopotu. Jesteśmy w drodze do Imadoru.

— Nie znam ani „Elryka” ani „Oone”. Jestem hrabią Magnes Doar i to mój kraj. Sam go podbiłem. Pradawnym prawem. Musicie wrócić przez bramę.

— Nie możemy — powiedziała Oone. — To by nas zabiło.

— Próba dalszego marszu przyniesie wam to samo. No to co, będziecie po wsze czasy obozować przy bramie?

— Nie, panie — powiedziała, kładąc dłoń na szabli. — W ostateczności wywalczymy sobie drogę przez twój las. Jesteśmy w pilnej potrzebie i nie damy się zatrzymać.

Zbrojny królik wyciągnął włócznię z dębu, co znów spowodowało krzyk, i cisnął ją w inne drzewo. Tym razem rozległ się wibrujący jęk, który trwał tak długo, aż zirytowany hrabia Magnes Doar wyciągnął ostrze z drzewa.

— Zatem musicie mnie pokonać — powiedział.

Spoza prawej wieży dobiegł ich głośny krzyk i coś białego pojawiło się w polu widzenia: na stającym właśnie dęba koniu siedział kolejny biały jeździec w koscianej zbroi i z oczami pełnymi nienawiści. Kopyta jego wierzchowca były niewidzialną barierą, której nie było w tym miejscu jeszcze chwilę temu.

Nagle przeszkoda zniknęła i jeździec zaszarżował.

Albinos i Złodziejka Snów przygotowali się do obrony, ale hrabia Magnes Doar wysunął się przed nich i cisnął włócznią w wojownika. Stał odbiła się od

pozornie tylko słabego pancerza, a wzniesiony miecz opadł, niby mimochodem, na hełm królikowatego, rozrąbując i metal, i czaszkę. Stworzenie porzuciło oręż i złapało się za głowę, zapiszczało, a jego oczy zrobiły się jeszcze większe. Potem obróciło się powoli wokół własnej osi i opadło na kolana.

Elryk i Oone gotowali się do obrony za pniem jednego z dębów, gdy rycerz zaatakował.

Koń ponownie stanął dęba, dysząc taką samą bezmyślną wściekłością jak jego pan. Elryk wymknął się z ukrycia, złapał włócznię i wraził ją w złączenie pancerza pomiędzy napierśnikiem a naszyjnikiem, trafiając dokładnie w gardło przeciwnika.

Jeździec zakrzuszył się, po chwili dławił się już gwałtownie. Skierował konia ścieżką w kierunku lasu i odjechał, kołyszając się w siodle jakby w agonii, jednak nadal nie spadając.

Patrzyli za nim, aż zniknął.

— Gdybym nie widział jego śmierci na moście, przysięgłbym, że to ten sam — powiedział roztrzęsiony Elryk. — Zdumiewające podobieństwo.

— Nie widziałeś wcale jego śmierci — stwierdziła Oone. — Widziałeś jedynie, jak spadł z mostu do rzeki.

— No, teraz już mu się chyba nie udało. Niemal odciąłem mu głowę.

— Małe szansę. Mam wrażenie, że to nasz najpotężniejszy wróg i nie powinniśmy zbyt z nim zadzierać aż do chwili, gdy dotrzemy do Perłowej Fortecy.

— Jest jej obrońcą?

— Jako jeden z wielu. — Objęła go na chwilę, potem przyklękła, by przyjrzeć się martwemu hrabiemu Magnes Doar. Po śmierci bardziej przypominał człowieka, bowiem sierść na twarzy i dłoniach zdążyła już posiwieć, nawet ciało zaczynało jakby znikać powoli. Brązowy hełm przybrał barwę spatynowanego srebra. Elrykowi przypominała się agonía Alnaca i odwrócił wzrok.

Oone wstała szybko i ze łzami w oczach. Nie rozpacziała jednak po hrabim Magnes Doar. Elryk objął Złodziejkę — zatęsknił nagle za kimś, kogo ledwie pamiętał z marzeń młodości, kogoś, kto zapewne nawet nigdy nie istniał.

Poczuł, jak nagły dreszcz przebiegł przez Oone. Pamięć przywołała obraz małej łodzi dryfującej na otwarte morze, na dnie której leżała jasnowłosa dziewczyna. On sam żeglował ku niej skiffem, pełen dumy, że oto może stać się jej wybawcą. Pewien był, że tamto się nie zdarzyło, nie poznał żadnej takiej dziewczyny, chociaż patrząc na Oone pomyślał, że gdyby, to owa dziewczyna byłaby już dorosła...

Oone odsunęła się od niego łapiąc powietrze.

— Wydało mi się, że jesteś... Zupełnie jakbym znała cię od zawsze... — Przyłożyła dłoń do jego twarzy. — Och, dobrze nazwano tę przeklętą krainę, Elryku!

— Cóż nam tu grozi?

— Kto wie? — Potrząsnęła głową. — Może nic? Może wiele lub prawie nic? Złodzieje Snów powiadają, że to właśnie w Krainie Zapomnianej Miłości zapada najczęściej istotnych decyzji, które mogą pociągnąć za sobą potworne zaiste konsekwencje.

— A zatem należy unikać podejmowania decyzji w tym miejscu? Preferować bezczynność?

Przesunęła palcami po jego włosach.

— Musimy w każdym razie pamiętać, że konsekwencje mogą dać znać o sobie dopiero po jakimś, niekiedy nawet bardzo długim czasie.

Zostawili poległego królikowatego i zagłębili się tunel pod drzewami. Elrykowi wydawało się chwilami, że widzi zerkające na nich z zielonych cieni twarze. Raz miał wrażenie, że dostrzega swego ojca, Sadrica, bolejącego nad śmiercią matki Elryka, jedynej istoty, którą kochał naprawdę. Wizja była tak sugestywna, że Elryk nie opanował okrzyku.

— Sadricu! Ojczu! Czy tu właśnie jest twe piekło?

— Nie! — zareagowała gwałtownie Oone. — Nie mów nic do niego! Nie wołaj go. Nie czyń go prawdziwym! To pułapka, Elryku. Jeszcze jedna pułapka.

— Mój ojciec?

— Kochałeś go?

— Tak. Chociaż była to bardzo nieszczęśliwa miłość.

— Pamiętaj o tym i nie przywołuj go. Nie godzi się włączać go do tutejszej galerii iluzji.

Elryk zrozumiał i ze wszystkich sił spróbował usunąć sprzed oczu postać ojca.

— Wiesz, chciałem mu powiedzieć, że dzieliłem z nim jego żal. — Załkał pod wpływem emocji, które miał już za dawno minione. — Ach, oddałbym życie, aby ona mogła do niego wrócić. Czy nie ma żadnego sposobu...?

— Takie ofiary są bezcelowe — powiedziała Oone chwytając obie jego dłonie i przyciągając księcia do siebie. — Szczególnie tutaj. Pamiętaj o celu naszej wyprawy. Przeszliśmy już trzy z siedmiu krain dzielących nas od Perłowej Fortecy. Mamy za sobą połowę drogi, najgorsze mamy już za sobą. Trzymaj się, książę Melniboné. Pamiętaj, kto i dlaczego liczy na nasz sukces!

— Ale co w tym złego, jeśli skorzystam ze sposobności, by uczynić coś dobrego...?

— To tylko sprawa twoich uczuć i nikogo więcej. Chcesz przywoływać cienie, by zabawiały cię we snach? Czy to uszczęśliwi twego załamanego ojca lub matkę?

Elryk spojrział ponad jej ramieniem na las. Ojciec zniknął.

— Wyglądał tak realnie! Jak z ciała i kości!

— Musisz uwierzyć, że jedynymi realnymi postaciami jesteśmy tutaj my oboje. A i nawet my... — urwała i pocałowała go. — Odpoczniemy trochę. Musimy uspokoić myśli.

Oone pociągnęła Elryka na miękkie liście przy ścieżce. Całowała go, przesuwała dłońmi po jego ciele i niedługo trwało, a Elryk pojął, że Złodziejka jest wszystkim, co on dotąd stracił w miłości. Dla niej stał się ucieleśnieniem tego, czego odmawiała sobie do tej chwili pożądamc mężczyzn. Nie czuł winy ani żalu, gdyż wiedział dobrze, że ich miłosne uściski nie mają żadnej przeszłości, a jedyna możliwa ich przyszłość znajduje się gdzieś daleko poza granicami ich żywotów, poza jakimkolwiek światem czy wymiarem, który dotąd poznali, i że żadne z nich nigdy nie zazna ich konsekwencji.

Cała ta wiedza nie przeszkadzała im jednak zakosztować radości. Oboje poczuli, jak wypełnia ich siła, bez której nie mogliby żywić nadziei na ukończenie wędrówki i ujrzenie kiedykolwiek Perłowej Fortecy.

Rozdział 4

INTERWENCJA NAWIGATORA

Ku swojemu zdumieniu, Elryk nie odczuwał żadnych wyrzutów czy zmieszania, a myśli jego stały się jasne i klarowne. Wraz z Oone przekroczył mieniącą się Bramę Imadoru, krainy zwanej przez Złodziei Snów tajemniczo Krainą Młodej Ambicji. Stanęli na szczycie monumentalnych schodów zbiegających na niebieskawo zamgloną równinę, ciągnącą się niczym płaszczyzna nieba ku horyzontowi. Przez chwilę wydawało się, że są tu sami, gdy dostrzegł cały tłum ludzi wypełniających szerokie stopnie. Niektórzy z nich pogrążeni byli w zapalczą dyskusji, inni handlowali, obejmowali się, jeszcze inni otaczali świętych mężów, mówców, kapłanki, bazarzy i albo słuchali pilnie, albo wdawali się w kłótnie.

Schody aż wrzały od wszelkich rodzajów ludzkiej działalności. Elryk dostrzegł zaklinaczy węży, treserów niedźwiedzi, zonglerów i akrobatów. Wszyscy ubrani byli w stroje typowe dla krain pustynnych — obszerne jedwabne pantalone w kolorach zieleni, błękitu, złota, cynobru lub bursztynu, płaszcze z brokatu lub atłasu, turbany, burnusy lub czapki, większość szydełkowej roboty. Poblyskiwały ozdobami z polerowanego metalu, srebra lub złota, drogocennymi kamieniami wszelkich rodzajów, a otaczały ich zwierzęta, stragany i kosze wypełnione towarami — płótnem, wyrobami ze skóry, miedzi i brązu.

— Jacy oni wspaniali! — stwierdził Elryk i była to prawda, bowiem chociaż ludzie ci byli różnego wzrostu i postury, to cechowało ich trudne do uchwycenia piękno. Wszyscy mieli zdrową skórę, czyste oczy, ruchy pełne godności i gracji. Byli pewni siebie, w dobrych humorach i chociaż wyraźnie zauważyli inność Oone i Elryka schodzących po schodach, przywitani ich bez wylewności, narzucając się czy natrętnego wypytywania. W tłumie krążyły koty, psy i małpy, a dzieci bawiły się w tajemnicze zabawy, przy czym żadne nie stało z boku. Powietrze było ciepłe, łagodne, przesycone zapachami owoców, kwiatów i innych wonnych towarów. — Gdyby wszystkie światy były takie jak ten — dodał Elryk uśmiechając się do kobiety proponującej mu wyszywany obrus.

Oone kupiła od chłopca, który do niej podbiegł, kilka pomarańczy. Wręczyła

jedną Elrykowi.

— Tak, miejsce pełne jest słodyczy. Nie oczekiwałam, że tu będzie tak miło.

— Ale gdy ugryzła owoc, zaraz wypluła kęs na dłoń. — To nie ma smaku!

Elryk też spróbował owocu: w niczym, poza wyglądem, nie przypominał pomarańczy.

Rozczarowanie było ogromne. Elryk odrzucił pomarańczę. Uderzyła w niższy stopień i stoczyła się gdzieś w dół.

Zielono-szara równina wydawała się nie zamieszкана. Przecinała ją szeroka droga o twardej nawierzchni, która jednak pozostawała pusta. Pomimo wielkiego tłumy na schodach, na drodze nie było widać żadnego podróżnika.

— Ciekawe, czemu droga jest pusta? — spytał Oone. — Czy ci ludzie nocują na stopniach? A może, dobiwszy targu, znikają w innym wymiarze?

— Wątpię, byśmy zdołali rychło poznać odpowiedź, mój panie.

Wzięła go pod ramię. Od czasu zbliżenia w lesie, ich kontakty mocno się zacieśniły. Elryk nie czuł się winny, wiedział w głębi serca, że tak naprawdę nikogo nie zdradził i widać było, że ona myśli podobnie. W pewien szczególny sposób dodali sobie wzajemnie sił, tworząc coś więcej niż sumę ich indywidualnych zasobów. Elryk nie poznał nigdy dotąd tego szczególnego rodzaju przyjaźni i był wdzięczny Złodziejce. Wiele się już od niej nauczył i pewien był, że niejednego jeszcze się dowie i że wszystko to przyda się, gdy wróci do Melniboné, by przejąć tron od Yyrkoona.

Im niżej schodzili, tym bardziej wyszukane wydawały się stroje tuziemców, ozdoby, uczesania i oręż nabierały bogactwa i egzotyczności, same zaś ludzkie postacie karłały stopniowo i traciły na urodzie.

Z czystej ciekawości przystanął, by posłuchać otoczonego widzami bazarza, ale człowiek ten przemawiał monotannie w niezrozumiałym, piskliwym języku, który z niczym nie kojarzył się Elrykowi. Przystanęli potem jeszcze przy sprzedawczyni paciorków, by spytać, czy wszyscy zgromadzeni na schodach ludzie należą do jednego narodu.

Kobieta zmarszczyła czoło i potrząsnęła głową, odpowiadając w jeszcze innym języku, który zdawał się obejmować tylko kilka słów i wiele powtarzających się dźwięków. Dopiero gdy zagadnęli młodego chłopaka, sprzedawcy sorbetu, udało im się porozumieć.

Chłopak zamyślił się, jakby przekładał ich słowa.

— Owszem, jesteśmy narodem schodów. Każdy z nas ma tu swoje miejsce, jedni wyżej, drudzy niżej.

— Im niżej, tym bogatsi i ważniejsi? — spytała Oone.

Chłopak wyglądał na zdumionego.

— Każdy z nas ma tu swoje miejsce — powtórzył i, jakby zaniepokojony pytaniem, uciekł kryjąc się w tłumie powyżej. Wprawdzie nadal liczny, tłum jednak rzedniał. Im bliżej równiny, tym mniej widać było ludzi.

— Czy to złudzenie? — mruknął Elryk. — Wszędzie panuje atmosfera snu.
— To kwestia naszego postrzegania i autosugestii.
— A zatem to nie jest iluzja?
— To nie jest to, co zwykłeś nazywać iluzją. — Próbowала znaleźć odpowiednie słowa, ale bez powodzenia. — Im bardziej uważasz to za iluzję, tym bardziej się nią staje. Czy to ma dla ciebie jakikolwiek sens?
— Chyba tak.

Zbliżali się do stóp schodów. Zostało im już tylko kilka stopni, gdy ujrzeni jeźdźca zmierzającego ku nim przez równinę. Wierzchowiec zostawiał za sobą szeroki, pylisty ślad.

Tłum za ich plecami wybuchł wrzawą. Elryk obejrzał się na ludzi, którzy rzucili się w górę schodów. W pierwszym odruchu chciał przyłączyć się do nich, ale Złodziejka go powstrzymała.

— Pamiętaj, nie możemy zawrócić. Pozostaje nam tylko stawić czoło niebezpieczeństwu.

Postać jeźdźca rysowała się coraz wyraźniej. Był to albo ten sam rycerz, którego już spotkali, albo ktoś z nim identyczny. Niósł lancę zakończoną zaostrzonym kawałkiem kości, który kierował prosto w serce Elryka.

Książę skoczył do przodu, mając nadzieję zmylić przeciwnika. Przemknął prawie pod kopyta konia i szybkim ruchem uniesionej szabli ciął lancę. Zachwiał się, tak silne było uderzenie, tymczasem Oone, jakby kierowani byli oboje jednym umysłem, prześliznęła się pod uniesionym ramieniem i wymierzyła w serce przeciwnika.

Jej szabla została odbita przez pancerną rękawicę zbrojnego, rycerz celnym kopnięciem odsunął Oone z drogi. Teraz, po raz pierwszy, Elryk mógł przyjrzeć się wreszcie twarzy wojownika. Była szczupła, blada, niby bezkrwista, z oczami barwy łuski dawno śniętej ryby i ustami, rozwierającymi się w ohydny grymasie zadowolenia. Mimo wszystko oblicze zdradzało pewne podobieństwo do twarzy Alnaca Kreba! Uderzona w ramię lancą Oone upadła na ziemię.

Elryk wyprostował się i zanim włócznia mogła go znaleźć, spróbował zastosować starą sztukę bandytów z Vilmirianu: przeciąć popręg. Ale na drodze ostrza stanęła opancerzona noga jeźdźca. Kamienne ostrze wymierzyło w niego i musiał zmykać, dając Oone szansę do kolejnego ataku.

Chociaż Oone i Elryk walczyli niby jedna osoba, ich nieprzyjaciel zdawał się przewidywać każdy ich ruch.

Książę zaczął nabierać przekonania, że mają do czynienia z kimś o magicznym zgoła rodowodzie i nie ustając w pracy szabłą, poszukał w myślach sposobu na takie czary, ale na nic nie trafił. Zupełnie jakby świat magii zatrzasnął się przed nim nagle, zostawiając pustkę w głowie, a wszystkie demony i duchy zagnane zostały do otchłani. Arioch nie był w stanie go wesprzeć i wszelkie nadprzyrodzone zdolności były kompletnie bezużyteczne.

Oone krzyknęła boleśnie, odrzucona na najniższy stopień. Usiłowała stanąć na nogi, ale wydawało się, że coś paraliżuje jej stopy. Ledwie mogła nimi ruszać.

Blady jeździec zachichotał i zbliżył się, by ją zabić.

Elryk wydał stare zawołanie bitewne swego rodu i pognał na nieprzyjaciela, chcąc ściągnąć jego uwagę. Był przerażony perspektywą krzywdy, mogącej spotkać kobietę, z którą łączyła go zarówno głęboka miłość, jak i przyjaźń. Gotów był zginąć w jej obronie.

— Ariochu! Ariochu! Krwi i dusz!

Ale nie mógł liczyć na nic ponad własnymi umiejętnościami i zręcznością. Nie miał Czarnego Miecza.

— Alnacu! Czy to wszystko, co z ciebie zostało? Jeździec obrócił się, jakby urażony, i cisnął włócznią w biegnącego. To była cała odpowiedź.

Tego Elryk nie przewidział. Usiłował wykonać unik, ale i tak drzewce włóczni zahaczyło o jego ramię, obalając księcia na pylisty grunt i wytrącając mu z ręki szablę. Zaczął czołgać się ku niej, jeździec wyciągnął tymczasem własne ostrze i ponownie zwrócił się ku bezbronnej Złodziejce. W desperacji Elryk przyklęknął i cisnął sztyletem, trafiając idealnie w szparę pomiędzy płytami pancerza na plecach jeźdźcy. Uniesiony miecz opadł nagle.

Elryk podniósł w końcu szablę, z przerażeniem zauważając, że wojownik zignorował ranę ramienia i znów wznosi miecz, a jego koń staje dęba nad Złodziejką.

— Alnacu?

Raz jeszcze próbował obudzić w napastniku ślad duszy Alnaca, ale tym razem bez skutku. Rozległ się jedynie ten sam szyderczy, nieludzki chichot. Koń parsknął, trącając kopytami kobietę, która usiłowała wspiąć się na stopień.

Ledwie zdając sobie sprawę z tego, co robi, Elryk rzucił się na jeźdźcę i przejął go do tyłu, usiłując ściągnąć z konia. Ten jęknął i odwrócił się z wysiłkiem, ale księżę zdołał zablokować szablą cios jego miecza i ostatecznie obaj upadli na piach o parę cali od Oone. Uzbrojona ręka Elryka uwięziona została pod napastnikiem, udało mu się jednak lewą ręką dosięgnąć sztyletu, i gdyby nie nagły uchwyt mężczyzny na nadgarstku, gotów był wrazić ostrze w odrażające, martwe oczy napastnika.

— Najpierw musisz zabić mnie! — wychrypiał Elryk zmienionym głosem. Wojownik tylko się roześmiał, a cień Alnaca zniknął z jego oczu.

Walczyli przez kilka chwil, przy czym żaden nie był w stanie przeważać szali na swoją stronę. Elryk słyszał swój zdyszany oddech, pochrząkiwania zbrojnego, rzenie konia i pojękiwania usiłującej stanąć na nogi Oone.

— Perłowy Wojowniku!

Nie był to głos Oone, ale wyraźnie kobieta wypowiedziała te słowa, których brzmienie sugerowało spory autorytet mówiącej.

— Perłowy Wojowniku! Nie wolno ci więcej niepokoić tych podróżnych!

Wojownik chrząknął, ale zignorował polecenie. Zacisnął zęby na gardle Elryka i spróbował obrócić sztylet ku jego sercu. Z ust ściekały mu nitki białej, pianistej śliny.

— Perłowy Wojowniku!

Nagle napastnik przemówił, szepcząc słowa Elrykowi wprost do ucha, jakby chciał uczynić zeń współkonspiratora:

— Nie słuchaj jej. Dobrze ci radzę. Czemu nie przyłączysz się do nas, by poznać Wielki Step, gdzie łowy zawsze są obfite? Rosną tam melony o smaku najśłodszych wiśni. Dostaniesz taki sam wspaniały strój. Nie słuchaj. Nie słuchaj. Tak, jestem Alnac, twój przyjaciel. Tak!

Przemowa wojownika wzbudziła w Elryku wstręt jeszcze większy niż jego wygląd i brutalność.

— Pomyśl o władzy, która tam cię czeka. Będą się ciebie bać. Mnie się boją. Elryku. Znam cię. Nie bądźmy rywalami. Razem zwyciężymy. Ja nie jestem wolny, ale ty mógłbyś podróżować za nas obu. Ja nie jestem wolny, ale ty nigdy nie dźwigałbyś brzemienia odpowiedzialności. Nie jestem wolny, Elryku, ale mam wielu niewolników na każde skinienie. Są twoi. Dam ci nowe bogactwa, nowe mądrości, nowe sposoby zaspokojenia wszystkich pragnień. Boją się ciebie, a ty boisz się mnie. Połączymy się zatem, zwiążemy się razem. To jedyna więź, jaka może coś znaczyć. Będą śnić o tobie, będą marzyć. Wszyscy. Nawet ci, którzy nie mają snów. Jedynym jesteś wrogiem. . .

— Perłowy Wojowniku!

Tredowaty wojownik podniósł się z grzechotem kości, skorupy żółwiowej i macicy perłowej i uwolnił Elryka.

— Razem damy radę ją pokonać — mamrotał pospiesznie. — Nikt nam się nie oprze. Przejmiesz całą mą dzikość!

Doprowadzony tym wszystkim do mdłości Elryk wstał i podążył wzrokiem za spojrzeniem Oone, która siedziała już na najniższym stopniu i masowała nogi, które wracały najwyraźniej do życia.

Ujrzał kobietę wyższą niż on sam i niż Oone. Głowę przesłoniętą miała kapturem i woalką. Spoglądała spokojnie to na nich, to na wojownika, którego nazwała Perłowym. Potem uniosła wielką laskę, którą trzymała w prawej dłoni, i uderzyła nią o ziemię.

— Musisz mnie słuchać, Perłowy Wojowniku!

Wojownik jednak stracił nad sobą panowanie.

— Dość mam tego! — warknął i z klekotem kości przetarł napierśnik. — Doprowadzasz mnie do szału, lady Sough.

— To moi podopieczni. Znajdują się pod moją ochroną. Odejdź, Perłowy Wojowniku. Gdzie indziej idź zabijać. Zabijaj prawdziwych wrogów Perły.

— Nie chcę, byś mi rozkazywała! — wojownik dęsał się jak dziecko. — Wszyscy są wrogami Perły. I ty też, lady Sough.

— Głupi jesteś! Znikaj! — Uniosła laskę wskazując jakieś miejsce za schodami, gdzie widniała tylko wznosząca się ku nieskończoności skała.

— Złócisz mnie, lady Sough — ostrzegł raz jeszcze zbrojny. — Jestem Perłowym Wojownikiem. Czerpię siłę wprost z Fortecy. Sprzymierz się ze mną, a wtedy zabijemy ją. — To ostatnie skierowane było do Elryka, niby do starego towarzysza. — Razem będziemy rządzić, chociaż ty wolny, a ja wciąż pozostając niewolnikiem, tymi wszystkimi i wieloma jeszcze innymi wymiarami, które nieznanne są Złodziejom Snów. Tam po wieczność będziesz bezpieczny. Bądź mój. Pobierzemy się. Tak, tak, tak. . .

Elryk wzdrygnął się i odwróciwszy się do niego plecami, podszedł pomóc wstać Złodziejce Snów.

Oone mogła już się poruszać, choć nogi wciąż miała zdrętwiałe. Spojrzała na znikające w górze schody. Były puste, wszyscy ludzie zniknęli.

Zakłopotany Elryk spojrzał na nowo przybyłą. Miała na sobie szaty w różnych odcieniach niebieskiego, z wplecionymi srebrnymi nitkami, obszyte złotem i ciemną zielenią. Nosiła się z niezwykłym wdziękiem i godnością, na Elryka zaś i Oone spoglądała z wyraźnym rozbawieniem. Tymczasem Perłowy Wojownik pozbierał się, stanął buńczucznie z boku, skąd wykrzywił się do Elryka w konspiracyjnych uśmieszkach.

— Gdzie zniknęli mieszkańcy schodów? — spytał Elryk.

— Po prostu wrócili do swych domów, panie — powiedziała lady Sough głosem ciepłym i głębokim, nadal jednak skłaniającym do uznania jej za autorytet. — Jestem lady Sough i witam was w tym kraju.

— Wdzięczni jesteśmy ci za interwencję, pani — odezwała się po raz pierwszy Oone, nadal trochę podejrzliwa. — Czy sprawujesz tu władzę?

— Jestem ledwie przewodniczką, nawigatorem.

— Ale to szalone jestestwo uznaje twe rozkazy. — Oone wstała rozcierając ręce i nogi i spoglądając na Perłowego Wojownika, który wymazał z twarzy szyderczy uśmiech, gdy tylko zorientował się, że skupiła się na nim uwaga lady Sough.

— To wadliwy egzemplarz — powiedziała pobłaźliwie lady Sough. — Ma tylko szczątkową inteligencję i nie rozumie natury swego zadania, nie potrafi rozpoznać, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. Jego zdolność wyboru jest mocno ograniczona, biedne stworzenie. Ci, którzy zaprzęgli go tej pracy, mają nader mgliste pojęcie, czego właściwie należy wymagać od takiego wojownika.

— Zła! Nie zrobię tego! — odszczeknął się znowu Perłowy Wojownik. — Nigdy! Oto czemu! Oto czemu!

— Idź sobie! — krzyknęła lady Sough, wskazując ponownie laską i gromiąc go spojrzeniem. — Nic nie masz do tych dwojga.

— Niemądrze jest umierać — powiedział wojownik wzruszając pogardliwie ramionami. — Pomyśl lepiej o sobie. Wszyscy zginiemy, jeśli tych dwoje dopnie

swego.

— Idź już, prymitywie! — Wskazała mu konia. — I zostaw włóczę. Jesteś istotą bezduszną, destruktywną i groteskową.

— Czy się przesłyszałem — spytał Elryk — czy on może mówi żargonem?

— Może — mruknęła Oone. — Ale możliwe, że on ma więcej racji niż wszyscy, którzy nam pomagają.

— Cokolwiek nadejdzie, wszystkiemu winniśmy dać odpór! — stwierdził sentencjonalnie Perłowy Wojownik dosiadając z pochmurną miną wierzchowca. Podjechał do miejsca, gdzie upadła ciśnieńta uprzednio w Elryka lanca. — Po to właśnie jesteśmy.

— Zgiń! Przepadnij!

Pochylił się w siodle, by podnieść broń.

— Nie — powiedziała lady Sough łagodnie, jak do dziecka. — Powiedziałam ci, byś jej nie brał. Zobacz tylko, co zrobiłeś, Perłowy Wojowniku! Nie wolno ci już nigdy atakować tych ludzi.

— Zatem nie będzie przymierza. Jeszcze nie teraz! Ale niedługo koniec z wolnością! Niedługo to się zmieni i wszyscy będą razem! — Z szalonym chichotem dał koniowi ostrogę i pogalopował, skąd przybył. — Zwiążemy się! O, tak!

— Czy nie wiesz, co miały znaczyć te słowa, lady Sough? — spytał uprzejmie Elryk, gdy wojownik już zniknął.

— Częściowo — odparła. Wydawało się, że uśmiecha się pod welonem. — To nie jego wina, że ma niedorozwinięty mózg. Wiecie, nie mamy tu wielu wojowników, a on i tak jest zapewne najlepszy.

— Najlepszy?

Sardoniczne pytanie Oony pozostało bez odpowiedzi. Lady Sough skinęła na nich ozdobioną lśniącymi łagodnie klejnotami dłonią.

— Jestem tu nawigatorem. Mogę zawieźć was na cudowne wyspy, na których dwoje kochanków może zaznać wiecznego szczęścia. Znam tajemne i bezpieczne miejsce. Chcecie tam się udać?

Elryk spojrzał na Oone ciekaw zdania Złodziejki. Zaproszenie lady Sough brzmiało atrakcyjnie i po raz drugi książkę zapomniał o celu wyprawy. Pięknie byłoby spędzić krótką idyllę w towarzystwie Oone.

— To jest Imador, prawda, lady Sough?

— Owszem, tak nazywają ten kraj Złodzieje Snów. My nie używamy tej nazwy — powiedziała tonem dezaprobaty.

— Wdzięczni jesteśmy ci za pomoc w potrzebie, pani — powiedział Elryk, skłonny uznać Oone za nazbyt szorstką i pragnąc przeprosić za maniery przyjaciółki. — Jestem Elryk z Melniboné, a to jest lady Oone z Gildii Złodziei Snów. Czy wiadomo ci, że poszukujemy Perłowej Fortecy?

— Tak. To właściwa droga, prowadzi w kierunku Fortecy. Mimo wszystko może was zwieść. Chętnie poprowadzę was, dokądkolwiek zapragniecie się udać

— powiedziała tonem nieobecnym, jakby na wpół przez sen. Elryk uznał, że musi czuć się urażona.

— Wiele ci zawdzięczamy, lady Sough, i wysoko cenimy twe rady. Co proponujesz?

— Na początek musicie zebrać armię. Dla własnego bezpieczeństwa. Perłowa Forteca jest bardzo silnie broniona. Przedtem też nie będzie lekko. Oboje jesteście odważni. Niejedna droga prowadzi do sukcesu, ale u końca wielu innych czeka śmierć. Chyba zdajecie sobie z tego sprawę. . .

— Ale gdzie moglibyśmy zebrać armię? — Elryk zignorował ostrzegawcze spojrzenie wciąż podejrzliwej Oony.

— Niedaleko rozciąga się ocean, na którym jest wyspa. Jej mieszkańcy tęsknią do walki. Pójdą za każdym, kto przyrzeknie im niebezpieczeństwa. Udacie się tam ze mną? To dobre miejsce. Ciepłe, chronione grubymi murami. Są tam ogrody i wiele jedzenia.

— Odnajduję w twoich słowach wiele zdrowego rozsądku — powiedział Elryk. — Zapewne warto przerwać wyprawę, by zwerbować żołnierzy. Perłowy Wojownik proponował mi sojusz. Pomoże nam? Można mu zaufać?

— W tej sprawie tak. — Zmarszczyła czoło. — Tak, myślę, że można.

— Nie, lady Sough — odezwała się nagle Oone pewnym głosem. — Wdzięczni jesteśmy za twoje przewodnictwo. Zaprowadzisz nas do Bramy Faladoru? Znasz ją?

— Wiem, co określacie Bramą Faladoru, młoda damo. O cokolwiek mnie spytacie lub poprosicie, moim obowiązkiem jest spełnić wasze życzenia.

— Jak naprawdę nazywa się ta kraina?

— Nijak. — Wyglądała na zmieszaną zapytaniem. — Nie ma nazwy. To tylko miejsce. Ale mogę was przez nie przeprowadzić.

— Wierzę ci, pani — głos Oone złagodniał. Wzięła Elryka pod ramię. — My nazywamy ją Krainą Młodej Ambicji. Ale taka ambicja może zwieść na manowce. Pojawia się, gdy dawne cele wydają się zbyt trudne do osiągnięcia, prawda?

Elryk zrozumiał ją i poczuł się jak głupiec.

— Czy chciałaś posiąć dywersję, lady Sough?

— Niezupełnie. — Zawołowana kobieta pokręciła głową z wdziękiem, jednakże widać było, że czuje się urażona bezpośredniością pytania. — Gdy cel dotychczasowy staje się nieosiągalny, niektórzy wybierają nowy.

— Ale nas to nie dotyczy, lady Sough — powiedziała Oone. — Jeszcze nie.

— To prawda. — Lady Sough opuściła nieco głowę. — Nie będę przed wami niczego ukrywać. Żadnego aspektu sprawy.

— Zatrzymajmy się przy tym daje nam największe szansę — ciągnęła spokojnie Oone. — Bardzo dziękujemy ci za pomoc.

— Służę uprzejmie, pani. Chodźcie. — Kobieta obróciła się na pięcie, a jej szaty zawirowały niczym chmury podczas zamieci. Poprowadziła ich z dala od

schodów, do miejsca, gdzie grunt obniżał się tworząc koryto rzeki. Stała tam zamocowana łódź o zakrzywionym dziobie z drewna połączanego w podobny sposób jak różdżka Oone. Burty obite były kutym złotem, brązem i srebrem, barierki zaś i maszt wykonano ze spiżu. Na rei furkotał żagiel z takiej samej błękitnej ze srebrną nitką tkaniny, z jakiej uszyte były suknie lady Sough. Załogi nie było. Przewodniczka wskazała laską. — Oto jest łódź, która zawiezie was do punktu przeznaczenia. Moim powołaniem jest was chronić. Nie obawiajcie się mnie.

— Jesteśmy spokojni, pani — powiedziała szczerze Oone. Elryka coraz bardziej ciekawiła nagła odmiana Złodziejki, ale uznał, że zapewne Oone potrafi lepiej ocenić sytuację.

— O co tu chodzi? — spytał, gdy lady Sough zmierzała do łodzi.

— Rzecz w tym, że jesteśmy zapewne blisko Perłowej Fortecy — powiedziała Oone. — Ona zaś usiłuje nam pomóc, ale niezbyt wie, jak się do tego zabrać.

— Ufasz jej?

— O ile możemy ufać sobie, to najpewniej możemy zawierzyć i jej. Musimy tylko zadawać jej właściwe pytania.

— A zatem wierzę ci, że można jej wierzyć — uśmiechnął się Elryk.

Lady Sough kiwała na nich, by wsiedli do pięknej łodzi, która kołysała się lekko na wodach czegoś, co musiało być całkowicie sztucznie stworzonym kanałem, prostym i głębokim, biegnącym wielkim łukiem aż ku oddalonemu o kilka mil zakrętowi. Elryk spojrział w górę nie wiedząc, czy spogląda na niebo, czy na sklepienie największej spośród wszystkich jaskiń. Dostrzegł odległe gwiazdy. Zastanawiał się, dokąd odeszli mieszkańcy tej krainy uciekając przed atakiem Perłowego Wojownika.

Lady Sough ujęła wielki rumpel łodzi i jednym ruchem skierowała ją na środek nurtu. Niemal równocześnie brzegi obniżyły się, ukazując po obu bokach szarą pustynię, z przodu zaś zarysy porośniętych zieloną roślinnością wzgórz. Spływające z góry światło przypominało Elrykowi atmosferę wrześniowego wieczoru, wyczuwał niemal zapach wczesnojesiennych róż i liści opadających z drzew w sadach Imrryr. Rozsiadł się wysoko w pobliżu dziobu z Oone wspartą na jego ramieniu i westchnął z ukontentowania.

— Jeśli reszta naszej podróży tak właśnie ma wyglądać, to będę nastawa! na następne wyprawy z tobą, Oone.

— Proszę bardzo — odparła, również w dobrym humorze. — Gdyby tak było, wówczas wszyscy chcieliby zostać Złodziejami Snów.

Łódź pokonała zakręt kanału i nagle na obu brzegach pojawiły się smutne, milczące postaci w biało-żółtych szatach. Odprowadzały stateczek pełnymi łez oczami niby żałobnicy na pogrzebie, ale Elryk pewien był, że nie płaczą ani po nim, ani po Oone. Zawołała ich, lecz nie zareagowali, zniknęli zresztą zaraz, a ich miejsce zajęły tarasy uprawne, na których rosła winorośl, figi i migdały. Powietrze przesycił zapach świeżo zebranych plonów, a przez chwilę równoległe do

nich biegło nawet brzegiem małe stworzenie podobne do lisa, które zanurkowało potem w kępę krzaków. Później jeszcze pojawili się nadzy ludzie o ciemnej skórze i chodzący na czworakach, ale ci, znudzeni, skryli się w końcu pod ziemią. Kanał robił się coraz bardziej kręty i lady Sough z całych sił napierała na rumpel, by utrzymać łódź na kursie.

— Czemu zbudowano ten kanał w ten sposób? — spytał Elryk, gdy wplynęli znów w prosty odcinek drogi.

— Co było ponad, jest teraz przed, co było pod, jest za — odpowiedziała. — Taka jest tutaj natura rzeczy. Jestem nawigatorem i wiem. Dalej jednak, gdzie robi się ciemniej, rzeka się prostuje. Pomoże wam zrozumieć.

Jej słowa były równie niepojęte jak wcześniejsze kwestie Perłowego Wojownika i Elryk spróbował rozjaśnić sobie obraz.

— Co takiego rzeka pomoże nam zrozumieć?

— Ich naturę, jej naturę, naturę tego, co przyjdzie wam spotkać. Ach, patrzcie!

Rzeka rozlewała się w jezioro o brzegach porośniętych trzcinami, nad którymi polatywały srebrzyste czaple.

— Stąd jest niedaleko do wyspy, o której wam wspominałam — powiedziała lady Sough. — Obawiam się o was.

— Nie trzeba — stwierdziła Oone uprzejmie, acz zdecydowanie. — Skieruj łódź przez jezioro do Bramy Faladoru. Dzięki.

— To podziękowanie jest... — Lady Sough potrząsnęła głową. — Nie chcę, byście zginęli.

— Nie zginiemy. Jesteśmy tu, by ją uratować.

— Ona się boi.

— Wiemy.

— Inni też mówili, że chcą jej pomóc. Ale zamiast tego... Uwięzili ją w mroku...

— Wiemy — powiedziała Oone kładąc uspokajająco dłoń na ramieniu lady Sough, gdy ta wyprowadzała łódź na szersze wody.

— Czy mówisz o Świętej Dziewczynie i Czarownikach? — spytał Elryk. — Co ją więzi? Jak możemy ją uwolnić? Sprowadzić ją z powrotem do ojca i klanu?

— Och, to kłamstwo! — krzyknęła niemal lady Sough wskazując na nadpływającego ku nim chłopca. Skóra dziecka lśniła metalicznie jasnym srebrem, a srebrzyste oczy błagały o pomoc. Potem dziecko wykrzywiło się w uśmiechu, zdjęło sobie głowę z karku i zanurzyło się.

— Jesteśmy blisko Bramy Faladoru — stwierdziła ponuro Oone.

— Ci, którzy mają ją w swych rękach, strzegą jej dobrze — powiedziała nagle lady Sough. — Ale ona nie należy do nich.

— Wiem — odparła Złodziejka spoglądając naprzód, gdzie ponad tonią jeziora kłębiła się mgła, niby zwykła zapowiedź jesiennego poranka nad wodą. Powietrze było spokojne, ale był to spokój mylący. Elryk zerknął na lady Sough, lecz

oczy nawigatorki niczego nie wyrażały, nie ostrzegały przed żadnym niebezpieczeństwem.

Łódź skręciła i spoza mgły pokazał się ład, kępa wysokich drzew górujących ponad zwałiskiem skał. Widać było też białe filary z wapienia pobłyskujące lekko w miękkim świetle. Elryk dostrzegł trawiaste pagórki otaczające niedużą zatokę. Pomyślał, że może lady Sough przywiozła ich na wspomnianą już wcześniej wyspę, nagle jednak ujrzał coś, co wyglądało na wielkie, wyciosane z kamienia i wyłożone mozaiką drzwi. Wydawały się bardzo stare.

— Brama Faladoru — powiedziała lady Sough drżącym głosem.

Wrota otwarły się nagle, wyzwalając upiorny wicher targający włosy i rozdzierający szaty, wczepiający się w skórę, wyjący i gwizdzący w uszach. Łódź zakołysała się, jakby zaraz miała się przewrócić. Elryk pobiegł pomóc lady Sough przy sterze. Przewodniczka straciła woalkę: nie była kobietą młodą, ale jej twarz zdradzała zdumiewające podobieństwo do oblicza dziewczynki, która pozostała w Spiżowym Namiocie. Lady Sough nakładała z powrotem woalkę, a książę uświadomił sobie, że przez cały czas nikt nie wspomniał ni słowem o matce Varadii.

Oone opuściła żagiel. Wiatr zamierał, pozwalając halsować z wolna ku ciemnemu, osobliwie wonięjącemu wejściu za mozaikowymi wrotami.

Nagle z mroku wypadły trzy konie. Kopyta przebierały w powietrzu, ogony biły po bokach. Galpowały przez wodę prosto na łódź. Minęły ich i zniknęły w oparze. Żaden z nich nie miał łba.

Elryk przeraził się. Był to jednak strach znajomy i szybko został opanowany. Wiedział już, że oto przychodzi mu wkroczyć do krainy, jakakolwiek byłaby jej nazwa, rządzonej przez Chaos.

Gdy tylko łódź minęła ociosane skały i wplynęła do groty, Elryk poczuł, że nie pamięta żadnego ze znanych mu zakłęć, że nie ma tutaj sojuszników czy sprzymierzeńców, że nie może tu wezwać swego patrona, Księcia Piekieł. Pozostał sam ze swym doświadczeniem, odwagą i drogowskazem uczuć i skłonny był wątpić, czy to wystarczy.

Rozdział 5

SMUTEK KRÓLOWEJ, KTÓRA NIE MOŻE WŁADAĆ

Wielka bariera obsydianowej ściany groty zaczęła płynąć nagle, osuwając się z ogłuszającym sykiem ciekłą szklistą zielenią do smrodliwie parującej wody. Gdy opar rozwiął się, ujrzeli następną rzekę, tym razem wyglądającą na naturalną, płynącą dnem głębokiego i wąskiego kanionu. Elryk zaczął podejrzewać, że to może być ta sama rzeka, którą wcześniej przeszli po kamiennej kładce, pokonując przy tym Perłowego Wojownika.

Wartki nurt porwał łódź, która stała się nagle igraszką na falach, i z rykiem poniósł w dół, jakby zamierzał dotrzeć do samego jądra świata.

Wszyscy troje zmagali się z rumplem, by utrzymać łódź na kursie. Nagle, bez ostrzeżenia, rzeka skończyła się, wyrzucając ich na chwilę w powietrze ponad progiem małego wodospadu. Opadli ciężko po drugiej stronie na spokojniejsze już wody. Łódź podskoczyła kilka razy niczym kawałek chleba rzucony na staw. Ponad nimi, na zaniesionym, cynowoszarym niebie, polatywały ciemne i skórzaste, pokrzykujące rozpaczliwie kształty. Wokół zaś rosły palmy rozpościerające zielone liście w oczekiwaniu na słońce, które nigdy nie miało tu wzejść. W powietrzu unosiła się intensywna woń rozkładu, ciszę zaś, prócz nawoływań skrzydlatych stworów, mącił jedynie nieustanny, coraz bardziej odległy huk wody.

Pomimo ciepła, Elryka opanowały dreszcze. Oone postawiła kołnierz, nawet lady Sough otuliła się ciasniej zwojami materii.

— Znasz ten kraj, Oone? — spytał Elryk. — Wiem, że byłeś tu już kiedyś, ale wyglądasz na równie zdumioną, jak ja.

— Naturą tej krainy jest, że wiecznie się zmienia. Może lady Sough powie nam coś więcej. — I obróciła się uprzejmie do nawigatorki.

Lady Sough jeszcze dokładniej zebrała w dłoń fałdy sukni. Chyba wciąż przeżywała fakt, iż Elryk zdołał dojrzeć jej twarz.

— Jestem Królową tej krainy — powiedziała nie okazując ani dumy, ani żąd-

nej innej emocji.

— A zatem masz tu podwładnych, którzy będą mogli nam pomóc?

— Przypadła mi tylko rola Królowej i nie mam tu władzy. Liczyć mogę jedynie na ochronę. Wy nazywacie to miejsce Faladorem.

— To kraina obłądu?

— Potrafi bronić się na wiele sposobów.

— Na przykład, skłaniając do odejścia — powiedziała Oone, niby do siebie.

— Czy obawiasz się tych, którzy bronią Faladoru, lady Sough?

— Teraz jestem Królową Sough — powiedziała przewodniczka, prostując się, nie wiadomo czy z dumą, czy z gorzką ironią. — Ja jestem tu pod ochroną, ale wy nie. W tej sprawie nie mogę wam pomóc.

Łódź płynęło wolno, mijając oślisze głązy, które zdawały się poruszać jak żywe. W wodzie majaczyły niepokojące Elryka kształty. Księżę najchętniej zatopiłby w nich swój miecz, ale takie zachowanie wydawało mu się niestosowne.

— Czego mamy się tu obawiać? — spytał Królowej.

Mijali wielki złom skały, na szczycie której ustawił się jeździec na koniu. Poznali Perłowego Wojownika, który wpatrywał się w nich z tą samą bezmyślną złośliwością, unosząc jednocześnie długi kij, do którego przymocował ostry, zakrecony róg jakiegoś zwierzęcia.

Królowa Sough wskazała mu ręką, by odszedł.

— Perłowy Wojownik tego nie robi! Perłowy Wojownik nie może się sprzeciwić, nawet tutaj!

Zbrojny zachichotał obleśnie i zawrócił konia, znikając im z oczu.

— Zaatakuj nas? — spytała Oone.

Królowa kierowała łódź w dopływ rzeki. Woląca zapewne opuścić główny nurt, by uniknąć konfliktu.

— Nie ma pozwolenia — powiedziała. — Ach!

Woda przybrała rubinową barwę, a brzegi porastać zaczynał lśniący, brunatny mech wspinający się wysoko na skały. Elryk miał wrażenie, że z obu wysokich brzegów spoglądają nań wiekowe oblicza, nie wyczuwał jednak żadnej groźby. Czerwony płyn przypominał wino, panowała atmosfera odprężenia i spokoju. Czyżby Królowa znała wszystkie bezpieczne zakątki tego świata?

— To miejsce pozostaje pod wpływem mojego przyjaciela, Edifa — powiedziała. — Jego głównym obszarem zainteresowania jest poezja, ale jak teraz się zachowa, tego nie wiem.

Przywykli już do specyficznych kwestii wygłaszanych przez Królową, nie mieli jednak żadnego pojęcia, kim może być Edif, zresztą minęli szybko jego domę, docierając do pustyni oddzielonej od rzeki ciągnącymi się na obu brzegach rzędami palm. Wszystko zdawało się zapowiadać oazę, ale ta się nie pojawiła.

Wkrótce niebo znów przybrało barwę plam wątrobowych, po obu stronach wyrosły wysokie skalne ściany, a powietrze wypełnił mdlący odór. Perfumy, nie-

gdyś słodkie, teraz zjełczałe, dania, na widok których ślina napływała do ust, wyschnięte już i zepsute, kwiaty nie kuszące, ale jedynie przypominające o śmierci.

W skalnych ścianach pojawiały się odbijające echo jaskinie. Królowa Sough spoglądała na nie lękliwie i starała żeglować pośrodku rzeki. Elryk dostrzegał w jaskiniach sylwetki przemieszczające się tak nad wodą, jak i pod nią. Dostrzegał czerwone, rozwierające się usta, blade oczy wpatrzone bez mrugnięcia. Stwory te nosiły piętno Chaosu i Elryk zateśknił zarówno za swoim runicznym mieczem, za patronującym mu Księciem Piekieł, za wszystkimi czarami i zaklęciami.

Ostatecznie nie był zdziwiony, gdy z wnętrza jednej z jaskiń dobiegł ich głos.

— Jestem Balis Jamon, Księżę Krwi, i pożądam nerek.

— Tylko przepływamy tędy! — odrzyknęła Królowa. — Nie jestem dla ciebie pożywieniem i nigdy nie będę!

— Ale ich nerki! Ich! — nie ustępował głos. — Od tak dawna nie jadłem niczego świeżego. Chcę nerek! Choć kawałek!

Elryk wyciągnął szablę i sztylet, Oone zrobiła to samo.

— Moich nie dostaniesz, panie! — powiedział albinos.

— Ani moich — dodała Oone, poszukując źródła głosu. Nie mieli pojęcia, w której właściwie jaskini ukrywał się mówiący.

— Jestem Balis Jamon, Księżę Krwi. Zapłaćcie rogatek. Dwie nerki!

— Jeśli już, to mogę ci wydrzeć twoje, panie. Jak wolisz? — stwierdził Elryk.

— Zaprawdę?

Coś poruszyło się w najgłębszej jaskini i woda spieniła się u jej wylotu. Coś wyłoniło się i zaczęło brodzić ku nim owinięte na wpół zgniłymi wodorostami i zwiędłymi kwiatami wodnymi. Uniosło rogaty ryj i spojrzało na nich dwoma drobnymi czarnymi oczkami. Kły były połamane, poźółkłe i poczerniałe, a pomiędzy nimi poruszał się czerwony jęzor strącający do wody pasemka przegniłego mięsa. Jedną pazurastą łapę istota przyciskała do piersi, a gdy ją odjęła, dostrzegli ciemną, pustą dziurę w miejscu, gdzie powinno być serce.

— Jestem Balis Jamon, Księżę Krwi. Spójrzcie, ile jeszcze muszę zdobyć, by dopełnić me jestestwo. Miejcie miłosierdzie, ludkowie. Nerka albo i dwie, a pozwolę wam odejść. Wy macie wszystko, a ja nie mam nic. Znajcie sprawiedliwość, podzielcie się ze mną.

— To jedyna sprawiedliwość, jaką mam dla ciebie, panie Balis — powiedział Elryk, machając nieco zbyt drobną w takiej potrzebie szablą.

— Nigdy nie złożysz się do kupy! — krzyknęła Królowa. — Przynajmniej dopóki nie zrozumiesz, czym jest miłosierdzie!

— Nie jestem chciwy! Jedna nerka wystarczy! — Szponiasta łapa wyciągnęła się w kierunku Elryka, który zamachnął się ostrzem, ale chybił. Ponowił cięcie trafiając w bok istoty, która nie poniosła prawie żadnego uszczerbku. Łapa spróbowała złapać szablę, i Elryk cofnął oręż. Balis Jamon jęknął żałośnie i wyciągnął obie łapy po albinosa.

— Dość! Masz swoją nerkę! — Oone podała mu coś ociekającego wodą. — Proszę, Balisie Jamon. A teraz nas puść. Doszliśmy do porozumienia?

— Zgoda. — Ugłaskany Księżę Krwi wziął ostrożnie podarunek Oony i umieścił go w dziurze w piersi. — Dobrze, jedźcie. — I zaspokoivszy zarówno głód, jak i dumę, ruszył z powrotem do swej jaskini.

— Co mu dałaś? — spytał zdumiony, ale i wdzięczny za wybawienie z opresji Elryk.

— Wielką fasolę — uśmiechnęła się Oone. — Z zapasu, który wciąż noszę w sakwie. Przypomina kształtem nerkę, szczególnie ociekająca wodą. Wątpię, by poznał oszustwo, to prymitywne stworzenie.

Królowa Sough patrzyła przez cały czas w górę, nawet wtedy, gdy minawszy jaskinie, kierowała łódź ku rozlewisku, nad którym urządziły sobie wodopój bawoły. Zwierzęta przerywały picie, podnosiły łby i popatrywały na nich z ostrożną ciekawością.

Elryk podążył za wzrokiem Królowej, ale dostrzegł tylko monotonne, ołowiane niebo. Schował szablę.

— Tutejsze stwory Chaosu wydają się dość prostackie. Mają mniej inteligencji niż te, które spotykałem.

— Owszem — powiedziała Oone bez zdziwienia. — To zupełnie możliwe. Ona może być...

Łódź uniosła się nagle i przez chwilę Elryk gotów był sądzić, że to amator cynaderek wrócił, by wziąć odwet za szpetny podstęp, ale okazało się, że to tylko wielka fala dźwignęła stateczek. Woda podnosiła się coraz wyżej pomiędzy śliskimi, skalistymi klifami, a wysoko, na brzegach, pojawiły się rozmaite zniekształcone postacie. Były różnego wzrostu, Elrykowi przypominały zaś nieco żebraków z Nadsokor, bowiem tamci również zwykli odziewać się w szmaty, a samookaleczenia były dla nich zwyczajną praktyką. Podobnie brudni, nosili też ślady wszystkich możliwych chorób, ran i zaniedbania. Jęczeli, spoglądając chciwie na łódź i oblizując usta.

Bardziej niż kiedykolwiek dotąd Elryk pożałował, że nie ma przy boku Zwiastuna Burzy. Runiczny miecz i kilka czarów wystarczyłyby do odstraszenia tego zbiegowiska. Mógł jednak polegać wyłącznie na ostrzu zabranym Czarownikowi, na przyjaźni Oone i na zwykłej znajomości fechtunku ich obojga. Łodzią zatrzęsło i powierzchnia wody uspokoiła się, teraz jednak płynęli o wiele wyżej, na równi z brzegami, zaś niekształtna horda dyszała i pochrząkiwała wkoło, łapiąc zapach zdobyczy.

Elryk nie marnował czasu na pertraktacje, ale od razu skoczył z dziobu łodzi tnąc dwóch pierwszych, którzy chcieli go dopaść. Wciąż dość ostra szabla odcięła łby, a albinos stanął nad ciałami szczerząc zęby jak wilk, do którego bywał zresztą czasem porównywany.

— Chcę mieć was wszystkich — powiedział, pragnąc zastraszyć tłum podob-

nie, jak robili to piraci z Cieśnin Vilmirianu. Postąpił krok i trafił w pierś następną istotę Chaosu. — Nie zaznam radości, póki wszystkich was nie zabiję!

Tego horda nie oczekiwała. Stworzenia zachrzękały, zamamrotały, spojrzały po sobie, silniej ścisnęły broń, poprawiły łachmany i mocniej stanęły na nogach.

Oone stanęła obok Elryka.

— Domagam się sprawiedliwego podziału! — krzyknęła. — Zostaw ich dla mnie, Elryku. — Zrobiła wypad i ubiła małpią istotę dźwigającą piękny, wysadzany klejnotami topór, zabrany zapewne jakiejś poprzedniej ofierze.

— Oni was nie zaatakowali! — krzyknęła z tyłu Królowa Sough. — Tylko grozili. Czy naprawdę musicie to robić?

— To nasza sprawa, Królowo! — rzucił Elryk przez ramię i zasil jeszcze dwóch człekopodobnych.

— Nie! Nie! To żadne bohaterstwo. Cóż może uczynić strażnik, jeśli nie jest już bohaterem?

Tego nie rozumiała nawet Oone, i gdy Elryk spojrział na nią pytająco, tylko potrząsnęła głową.

Zbieranina nabierała z wolna pewności siebie i podchodziła coraz bliżej. Ryje łapały wiatr, języki zbierały ściekającą po sflaczałych wargach ślinę. Przekrwione i zaropiałe oczy spoglądały na nich z nienawiścią.

Tłum był tuż i ostrze szabli napotkało opór. Dwie następne istoty straciły głowy — patrzące jeszcze przed chwilą łby opadły na boki, łapy zacisnęły się kurczowo. Oone stanęła plecami do niego, z boku zaś osłaniała ich łódź, której napastnicy wyraźnie nie mieli śmiałości dotknąć. Przerażona Królowa łkała jedynie, ale nie miała widocznie żadnej władzy nad istotami Chaosu.

— Nie! To nie pomoże jej spać! Nie! Nie! Ona na pewno ich potrzebuje! Wiem!

W tejże chwili Elryk usłyszał odgłos zbliżającego się jeźdźca i ujrzał bielejącą ponad tłumem zbroję Perłowego Rycerza.

— To są jego poddani! — krzyknął zbrojny w przebłysku zrozumienia. — Oto jego armia, z którą weźmie na nas odwet!

— Nie! — zawołała Królowa głosem, który wydawał się bardzo słaby, jakby odległy. — To nic nie da! To twoja armia. Będą ci wierni! O tak, będą wierni!

Słyszając to, Elryk zaczął cokolwiek pojmować. Czy to możliwe, że Królowa nie była naprawdę człowiekiem? Może i wszystkie tutejsze stworzenia to tylko jacyś zmiennokształtni, udający jedynie ludzi? To by wyjaśniało osobliwy sposób myślenia, specyficzną logikę i dziwne wypowiedzi.

Nie czas był jednak na spekulacje. Istoty podchodziły coraz śmieiej, nie zostawiając już niemal miejsca na zamachnięcie się szablą. Lepka i śmierdząca krew tryskała na ostrza i ramiona walczących. Elryk pomyślał, że chyba prędzej zakrzusi się odorem, nim polegnie z rąk stworów Chaosu.

Było jasne, że nie zdołają przeciwstawić się całemu tłumowi. Bliscy byli końca wyprawy, i to za sprawą tak odrażających istot.

U stóp Elryka padły następne ciała, jednak to nie on był sprawcą ich śmierci. Oone również była zdumiona takim przebiegiem zdarzeń.

Podnieśli głowy nie wiedząc, co właściwie się dzieje.

Perłowy Wojownik torował sobie drogę w szeregach tłumy, tnąc niczym kosą na lewo i prawo, kłując prowizoryczną włócznią, chichotem żegnając każde gaszone życie. Oczy jaśniały mu radością, nawet jego koń zamierzał się co chwila kopytami i zębami.

— Tak należy! — klasnęła Królowa Sough. — Dobrze! To zadanie dla ciebie! Przysporzy ci sławy!

Spychany przez Perłowego Wojownika oraz atakujących znów zawzięcie Elryka i Złodziejkę tłum szedł z wolna w rozsypkę.

Niedługo wszyscy niedawni napastnicy rzucili się w kierunku urwiska, wołąc najwyraźniej zginąć w przepaści niż od kościanej włóczni czy srebrnego ostrza Perłowego Wojownika.

Ten zaś śmiał się, zaganiając niedobitków ku zagładzie. Szydził z nich, wyzywał od tchórzy i głupców.

— Brzydactwa. Szpetni! Szpetni! Dalej! Przepadnijcie! Już was nie ma! Znikajcie! Nie ma was! Nie ma!

Elryk i Oone oparli się o burtę łodzi, by złapać oddech.

— Dzięki ci, Perłowy Wojowniku! — powiedział albinos, gdy rycerz podjechał bliżej. — Uratowałeś nas.

— Tak — przytaknął ciężko Perłowy Wojownik, niespodziewanie zamyślony. — Tak było. Teraz jesteśmy kwita. Teraz poznamy prawdę. Nie jestem wolny, jak wy jesteście. Dajesz wiarę? — Ostatnie pytanie skierowane było do Oone.

— Wierzę ci, Perłowy Wojowniku — przytaknęła. — I też wdzięczna jestem za pomoc.

— Jestem tym, który chroni. Tak trzeba. Idziecie dalej? Byłem waszym przyjacielem.

Oone obejrzała się na Królową, która przytakiwała słowom wojownika, rozkładając przy tym ręce, jak w geście ofiarowania.

— Nie jestem waszym wrogiem — powiedział Perłowy Wojownik, jakby przemawiał do istot umysłowo ograniczonych. — Gdybym był kompletny, wówczas wielka byłaby z nas trójca! Tak! Sami o tym wiecie! Ale nie o mnie tu chodzi. Widzicie, to jej słowa. Tak sądzę.

Wypowiedziawszy te tajemnicze słowa, popędził konia i zniknął za szklistymi skałami wapienia.

— Może rzecz w tym, że nazbyt tu wielu obrońców, a nie dość ochrony — odezwała się Oone równie niezrozumiale. Zanim Elryk zdążył spytać ją o cokolwiek, Złodziejka zwróciła się do Królowej Sough. — Czy to ty przywołałaś

Perłowego Wojownika na pomoc, moja pani?

— Ona go wezwała ku wam. — Królowa była jak w transie. Dziwnie słuchało się jej mówiącej sobie samej w trzeciej osobie. Elryk pomyślał, czy to może taki zwyczaj tej krainy, ale przypomniał sobie, że najpewniej nie ma do czynienia z ludźmi, a tylko z istotami o ludzkich postaciach.

Rzeka opadła już i podszedłszy do brzegu przepaści, Elryk ujrzał leżące daleko w dole ciała. Część ich roztrzaskała się o skały, inne unosił nurt wody. Wzdrygnął się na myśl o żegludze po tak nakarmionej rzece.

— Jak teraz ruszymy dalej? — spytał Oone. Przed oczami miał wizję siebie i jej umierających w Spiżowym Namiocie u boków dziecka. Poczul pragnienie, jakby narkotyk przypominał o sobie. Wspomnił Anigha czekającego w Quarzhasaat i Cymoril czekającą w Imryrr. Czy dobrze zrobił, pozwalając Yrkoonowi rządzić? Każda podjęta kiedykolwiek decyzja wydawała się teraz tak nierozsądna. Brak umiejętności przewidywania, porażki, szalone czyny podpowiadały albinosowi, że nie tylko fizycznie był upośledzony, ale brakowało mu również zwykłego zdrowego rozsądku.

— Taka już jest natura bohatera — powiedziała ni stąd ni z owad Królowa. Potem spojrzała na nich, a jej oczy były życzliwe niczym matczyne. — Jesteście bezpieczni!

— Chyba powinniśmy się pospieszyć — powiedziała Oone. — Czuję to. A ty?

— Też. Czy podąża za nami jakieś niebezpieczeństwo?

— Może. Królowo, daleko jeszcze do Bezimiennej Bramy? Jak możemy podążać dalej?

— Na ćmach. Woda zawsze wzbiera w tym miejscu, i dlatego mam ćmy. Musimy tylko na nie poczekać. Są już w drodze — stwierdziła, jakby relacjonowała fakt. — Możliwe, że ten dum był wasz. Że już nikt inny. Ale nie mogę przewidzieć wszystkiego. Każda nowa pułapka to dla mnie tajemnica. Tak jak i dla was. Mogę nawigować, jak wy to czynicie. Rozumiecie chyba, że to jest łączne.

Ponad horyzontem pojawiły się lśniące i drżące odbłaski tęczy rozległe jak zorza polarna. Królowa westchnęła na ten widok z zadowoleniem.

— Dobrze! Dobrze! Ani trochę za późno! Wręcz przeciwnie!

Barwy wypełniły całe niebo. Po chwili Elryk ujrzał wielkie, półprzeźroczyste skrzydła niosące smukłe ciała. Były to raczej motyle niż ćmy, wszystkie olbrzymich rozmiarów. Bez wahania stworzenia obniżyły lot, aż cała trójka, wraz z łodzią, przykryta została delikatnymi skrzydłami.

— Do łodzi! — krzyknęła Królowa Sough. — Szybko! Lecimy.

Posłuchali pospiesznie i raz jeszcze łódź uniosła się w powietrze, tym razem na grzbietach olbrzymich ciem, które leciały przez chwilę równo, by potem zanurkować do przepaści.

— Patrzyłam, ale nic nie było — stwierdziła Królowa tonem wyjaśnienia. — Możemy zatem kontynuować.

Ze zdumiewającą lekkością stworzenia zwodowały łódź i zaraz odleciały, wzbijając się pomiędzy ścianami kanionu i napełniając na chwilę mroczne miejsce odbłyсками tęczowego światła. Elryk potarł czoło.

— To zaprawdę jest Kraina Szaleństwa — powiedział. — I to najpewniej ja oszalałem.

— Tracisz wiarę w siebie, książę Elryku — powiedziała pewnym głosem Oone. — To typowa tutejsza pułapka. Zaczynasz wierzyć, że brak logiki nie dotyczy tego, co spotykasz, ale samego ciebie. Falador nadwerężył naszą psychikę. Nie rozpaczaj. Niedługo dotrzemy do ostatniej bramy.

— A wtedy co? — spytał sardonicznie. — Odzyskamy zdrowe zmysły? — Poczul się nagle wyczerpany. Z ciałem wszystko było w porządku, to umysł i duch przetrwania znajdowały się u kresu wytrzymałości.

— Nie potrafię przewidzieć, co znajdziemy w Bezimiennej Krainie — powiedziała Oone. — Niewielka jest władza Złodziei Snów nad tym, co leży za siódmą bramą.

— Szczególnie w porównaniu z władzą, jaką okazałaś dotychczas! — Elryk uśmiechnął się, by pokazać, że to był tylko żart, a nie obraza.

Gdzieś z góry dobiegło wycie tak bolesne, że nawet Królowa Sough zakryła uszy. Było to jak ujadanie monstrualnego ogara odbijające się echem od ścian przepaści i grożące w każdej chwili poruszeniem lawiny głazów. Pokonawszy zakręt rzeki, ujrzeli i samo zwierzę, wielką kudłatą bestię przypominającą wilka, która uniosła łeb i znów zawyła. Woda pieniała się wokół potężnych łap. Spojrzawszy na nich, zwierzę zniknęło, zostawiając jedynie echo wycia. Nurt rzeki przyspieszył. Królowa odjęła dłonie od uszu. Łódź zakołysała się, jakby trafiła na skałę, ale przewodniczka nie sięgnęła po ster. Elryk ujął rumpel, lecz bezskutecznie. Poddał się w końcu.

Rzeka zmierzała ku przepaści tak głębokiej, że wkrótce zniknęło niemal wszelkie światło. Zewsząd wpatrywały się w nich wykrzywione twarze. Ręce wyciągały się, by ich dotknąć. Elrykowi zdało się, że wszelkie śmiertelne stworzenie, które zmarło kiedykolwiek, przybyło tu, by ich straszyć. Wielokrotnie dojrzał w ciemnej skale i swoje własne oblicze, twarze Cymoril i Yyrkoona. Widział dawne bitwy rozgrywane na nowo, wracały doń stare i bolesne bitewne emocje. Bolał nad stratą wszystkiego, co kochał, rozpaczał nad śmiercią i opuszczeniem i nie trwało długo, a i jego głos rozległ się niczym wycie piekielnego ogara. Krzyczał tak, aż w końcu Oone potrząsnęła nim i nakazała mu powrót od bram ogarniającego go z wolna szaleństwa.

— Elryku! To ostatnia brama! Już prawie jesteśmy! Trzymaj się, Książę Melniboné. Aż do teraz starczało ci odwagi i rozsądku. Będą ci jeszcze potrzebne! Bądź gotów!

Elryk roześmiał się. Zaśmiewał się nad swoim losem, nad losem Świętej Dziewczyny, Anigha i Oone. Wybuchał radosnym śmiechem na myśl o czekają-

cej nań na Smoczej Wyspie Cymoril, która nie wiedziała nawet, czyjej ukochany jeszcze żyje, czy jest nadal wolnym człowiekiem.

Gdy Oone znów na niego krzyknęła, roześmiał się jej w twarz.

— Elryku! Zdradzasz nas!

Przestał się śmiać na tyle, by powiedzieć spokojnie, niemal triumfalnym tonem:

— Tak, pani, jest jak mówisz. Zdradzam was. Nie słyszałaś? Moim przeznaczeniem jest zdrada!

— Nie zdradzisz mnie! — Uderzyła go w twarz dłonią, pięścią. Kopnęła. — Nie zdradzisz mnie i nie zdradzisz Świętej Dziewczyny!

Poczuł ból, nie od uderzeń, ale rodzący się wprost w głowie. Krzyknął, potem się rozpłakał.

— Och, Oone! Co się ze mną dzieje?

— To Falador — stwierdziła po prostu. — Lepiej się już czujesz?

Ze skał wyglądały wciąż nowe oblicza. Powietrze pulsowało wszystkim, czego zawsze się bał i czego najbardziej w sobie nie znosił.

Elryk trząsał się cały. Nie potrafił spojrzeć Złodziejce w oczy. Teraz dopiero zauważył, że łka.

— Jestem Elryk, ostatni z królewskiej linii Melniboné — powiedział. — Widziałem najstraszniejsze rzeczy, gościłem Księżętę Piekieł. Czemuż odczuwam strach?

Nie odpowiedziała i albinos wcale nie oczekiwał od niej odpowiedzi.

Łódź znów się zakołysała i przechyliła.

Nagle Elryk był znów spokojny. W geście prostej sympatii wziął Oone za rękę.

— Chyba znów jestem sobą.

— Tam jest brama — powiedziała za ich plecami Królowa Sough. Jedną ręką ścisnęła ponownie ster, drugą pokazywała do przodu. — Tam leży kraina zwana przez was Bezimienną. — Wyglądało na to, że zrezygnowała z zagadek. — Tam znajdziecie Perłową Fortecę. Ona nie może wyjść wam na spotkanie.

— Kto? — spytał Elryk. Rzeka toczyła leniwe wody ku wielkiemu łukowi z alabastru obwiedzionego miękkimi liśćmi i krzakami. — Święta Dziewczyna?

— Można ją uratować — powiedziała Królowa. — Ale tylko was dwoje ma szansę tego dokonać. Tak sędzę. Pomogłam jej tam pozostać, by oczekiwała pomocy. Ale to wszystko, co mogłam zrobić. Niestety, jak widzicie.

— Nikt z nas nie jest wszechmocny — powiedział Elryk ze współczuciem.

Nowy, jeszcze wolniejszy prąd, niósł łódź jakby z wahaniem w kierunku ostatniej bramy.

— Żadna ze mnie pomoc — stwierdziła Królowa. — Gdybym chociaż spróbowała spisków. To ci ludzie. Przyszli. Wciąż przychodzili. Zostawał tylko odwrót. Szkoda, że nie znam właściwych słów. Zrozumielibyście mnie, gdybym je znała. Ach, ciężko zaiste!

Spoglądając w jej udęczone oczy Elryk zrozumiał, że nie z własnej woli pozostała w tym kraju. Miał wrażenie, że Królowa tęskni do ucieczki, a powstrzymuje ją tylko miłość do Świętej Dziewczyny. Ale przecież musiała znaleźć się tutaj na długo przed przybyciem Varadii? Nie potrafił ustalić kolejności zdarzeń ani odgadnąć prawdy.

Łódź przepływała już pod alabastrowym łukiem. Powietrze nabrało miłego, słonawego smaku, jakby zbliżali się do oceanu.

Elryk postanowił nagle zadać gnębiące go od dłuższego czasu pytanie.

— Królowo, czy jesteś matką Varadii?

Smutne oczy spojrzały jeszcze boleśniej i zawołowana kobieta odwróciła głowę. Jej pełna cierpienia odpowiedź wstrząsnęła Elrykiem.

— Kto wie? — załkała. — Kto wie?

KRONIKA CZARNEGO MIECZA

CZEŚĆ TRZECIA

Czy jest pan mężny, przez fatum zrodzony. By nowe ziemie zdobyć, broń starą dzierżąc w dłoni, Co

Rozdział 1

NA DWORZE PERŁY

Elrykowi raz jeszcze wydało się, że odnajduje w krajobrazie coś znajomego, chociaż wiedział na pewno, że nigdy nie widział podobnego pejzażu. Siwa mgła snuła się wokół cyprysów, palm daktylowych, drzew pomarańczowych i topól, ich zieleń była blada i jakby również zamglona. Co pewien czas mijali łąki błyskające bielą rozrzuconych tu i ówdzie głazów, w oddali zaś malowały się okryte wiecznym śniegiem szczyty gór. Zupełnie jakby jakiś artysta stworzył ten widok posługując się najsubtelniejszymi odcieniami farb wodnych nakładanych delikatnymi muśnięciami pędzla. Po szaleństwie Faladoru była to zaiste wizja rajy.

Królowa Sough milczała od chwili, gdy udzieliła odpowiedzi Elrykowi i atmosfera z minuty na minutę robiła się coraz cięższa, jednak nie psuło to Elrykowi przyjemności płynącej z podziwiania widoków. Po niebie (o ile to było niebo) płynęły jakby dotknięte kroplą różu i żółci perłowe chmury, ku którym wznosiło się pasemko białego dymu z komina niezbyt odległego domu. Łódka zatrzymała się wreszcie w spokojnej i czystej zatoczce, a przewodniczka nakazała im gestem, by wysiedli.

— Podążysz z nami do Fortecy? — spytała Oone.

— Ona nie wie. A ja nie wiem, czy tak można — powiedziała Królowa.

— A zatem winienem cię już pożegnać, pani. — Elryk skłonił się i pocałował delikatną dłoń kobiety. — I dzięki za pomoc, pani. Mam nadzieję, że wybaczysz mi szorstkość zachowania.

— Owszem. — Elrykowi wydało się, że Królowa uśmiechnęła się pod woalką.

— Też dziękuję ci, pani — odezwała się niemal natychmiast Oone, jakby rozumiała coś więcej z sytuacji. — Wiesz, gdzie znajdziemy Perłową Fortecę?

— Tam się dowiecie. — Królowa wskazała na dom. — Żegnajcie zatem, jak to macie w zwyczaju mówić. Możecie ją uratować. Tylko wy.

— Dziękuję też za zaufanie — mruknął Elryk, schodząc beztrąsko na darń i w ślad za Oone podążając przez pola w kierunku domostwa. — To kojący widok, pani. Co za kontrast wobec Krainy Szaleństwa!

— I owszem — odparła Oone, kładąc na wszelki wypadek dłoń na rękojeści szabli. — Pamiętaj jednak, książę, że szaleństwo różne przybiera postacie.

Elryk nie pozwolił, by podejrzliwość Złodziejki popsuła mu humor. Postanowił, że bez względu na to, co napotkają, on musi tutaj odpocząć i wrócić do formy.

Oone pierwsza podeszła do drzwi białego domu. Po podwórzu spacerowały dwa grzebiące w ziemi kurczaki, piklujący dobytku stary pies wyszczerzył do nich kły wyglądając z beczki, która służyła mu za budę. Na daszku nad wejściem siedziała para krótkowłosych kotów myjących zapamiętałe srebrzystą sierść. Oone zastukała i drzwi otwały się niemal natychmiast, ukazując młodego, wysokiego i przystojnego mężczyznę z głową nakrytą starym zawojem. Odziany był w jasnobrązową luźną szatę z długimi rękawami. Wydawał się zadowolony z przybycia gości.

— Witam, witam — powiedział. — Jestem Chamong Borm, obecnie na wygnaniu. Czy przynosicie mi dobre wieści z Dworu?

— Obawiam się, że nie przynosimy żadnych wieści — stwierdziła Oone. — Jesteśmy podróżnymi i poszukujemy Perłowej Fortecy. To gdzie blisko?

— W samym sercu, w samym środku tych gór. — Wskazał ośnieżone szczyty. — Zechcecie zasiąść ze mną do stołu?

Zarówno imię młodzieńca, jak i jego zachowanie znów kazały Elrykowi zastanowić się, czemu to wszystko wydaje mu się tak znajome. Gotów był przysiąc, że słyszał już to imię, i to całkiem niedawno.

W domu Chamong Borm zaparzył im jakieś zioła. Wydawał się dumny ze swej umiejętności prowadzenia gospodarstwa, a z pewnością nie pochodził z chłopstwa. W jednym z kątów pokoju lśniła zbroja ze stali zdobnej w srebro i złoto. Hełm zakończony był szpikulcem rzeźbionym w splecione w walce węże i sokoły. Obok spoczywały włócznie, długi zakrzywiony miecz i sztylety — wszelka możliwa broń na każdą okazję.

— Jesteś wojownikiem? — spytał Elryk siorbiąc gorący napój. — Świetna zbroja.

— Kiedyś byłem bohaterem — odparł smutno Chamong Borm — ale zostałem odprawiony z Dworu Perły.

— Odprawiony? — spytała z namysłem Oone. — Pod jakim zarzutem?

Chamong Borm opuścił wzrok.

— Pod zarzutem tchórzostwa. Uważam jednak, że niewinnie. Padłem ofiarą czarów.

Elryk przypomniał sobie, gdzie słyszał to imię. Gdy przybył do Quarzhasaat, zajrzał na targowisko, tam przysłuchiwał się opowieściom bardów. Przynajmniej trzy z tych historii dotyczyły Chamonga Borma, legendarnego herosa, ostatniego odważnego rycerza Imperium. Jego imię wymawiano z szacunkiem wszędzie, nawet w namiotach nomadów. Jednak Elryk skłonny był sądzić, że jeśli Chamong

Borm w ogóle istniał, mogło to mieć miejsce przynajmniej z dziesięć tysięcy lat temu!

— Aż czym konkretnie wiązało się to oskarżenie? — spytał.

— Nie udało mi się uratować Perły, która została związana zaklęciem, przez co cierpimy wszyscy nieustannie.

— Jakie to zaklęcie? — spytała szybko Oone.

— Takie, które uniemożliwia zarówno naszemu monarsze, jak i wielu innym opuszczenie Fortecy. Moim zadaniem było ich uwolnić, a zamiast tego pogorszyłem jeszcze sprawę. Moja kara jest teraz odwrotnością ich wyroku. Oni nie mogą wyjść, a ja nie mogę wrócić — opowiadał, popadając w coraz głębszą melancolię.

Wciąż zdumiony rozmową z bohaterem, który dawno winien być martwy, Elryk nie wiedział zupełnie, co odpowiedzieć. Oone wydawała się być o wiele lepiej zorientowana w sytuacji. Westchnęła ze współczuciem.

— Perła wciąż tam jest? — spytał Elryk, pamiętając o wszystkim.

— Oczywiście — odparł zdumiony Chamong Borm. — Niektórzy nadal sądzą, że władza ona całym Dworem, a może nawet i światem!

— Zawsze tak było? — spytała spokojnie Oone.

— Już powiedziałem, że nie. — Spojrzał na nich jak na prostaczków, ale zaraz znów popadł w przygnębienie.

— Mamy nadzieję ją uwolnić — stwierdziła Oone. — Przyłączysz się do nas?

— Nie mogę. Ona już mi nie ufa. Zostałem wygnany. Ale mogę dać wam moją broń i oręż, by jakaś drobna część mnie samego stanęła jednak u jej boku.

— Dziękuję — powiedziała Oone. — To szczodry dar.

Chamong Borm ożywił się i pomógł im wybrać co trzeba spomiędzy stosu. Elryk wziął napierśnik i nagolenniki, jedno i drugie pasujące nań jak ulał, do kompletu znalazł jeszcze hełm. Podobnie wyposażyła się Oone, poprawiając jedynie rzemienie, by dopasować broń do swej szczuplejszej sylwetki. Wyglądali teraz oboje prawie identycznie, co w niejasny sposób bardzo ucieszyło Elryka. Zbroja dawała mu nie tylko poczucie bezpieczeństwa, ale również uświadamiała obecność jego własnej wewnętrznej siły, która miała być tak potrzebna w czekającym ich starciu. Oone ostrzegała go przecież o złożoności czekających w Perłowej Fortecy zagrożeń.

Chamong Borm nie poprzestał na tym. Ofiarował im jeszcze dwa siwe konie, które wyprowadził ze stajni na tyłach domu.

— To Taron i Tadia. Brat i siostra, bliźnięta. Nigdy nie zostały rozdzielone. Używałem ich kiedyś, gdy zdarzyło się wystąpić przeciwko Jasnemu Imperium. Niech teraz ostatni cesarz Melniboné zastąpi mnie w przeznaczonym mi dziele i przerwie oblężenie Perłowej Fortecy.

— Znasz mnie? — Elryk spojrział ostro na młodzieńca, wypatrując podstępów albo nawet i ironii, ale oczy tamtego pozostawały czyste.

— Jeden bohater może znać innego, księżę Elryku. — Borm położył dłoń na przedramieniu Elryka w geście uznawanym przez ludzi pustyni za przyjazny. — Obyś osiągnął wszystko, co możliwe i wyszedł z tego z honorem. I ty też, pani. Wykazujecie się wielką odwagą. Żegnajcie.

Wygnaniec spoglądał za nimi z dachu swego domu, aż zniknęli w dali.

Wielkie góry były coraz bliższe, niemal zwieszały się nad nimi, gdy dostrzegli białą drogę biegnącą pomiędzy zboczami. Płynący z góry blask przypominał późne letnie popołudnie, słońca jednak, jak zwykle, nie było widać. Może wszystkie te krainy były jedynie nieskończonym szeregiem jaskiń, a może całym światem? A może przebywszy góry i rozciągającą się za nimi bezimienną krainę, wrócą do Krainy Snów Pospolitych? Czy odnajdą tam wówczas Jaspara Colinadousa?

Droga okazała się wyłożona czystym marmurem, ale konie były dobrze podkute i ani razu się nie poślizgnęły. Echo galopu poniosło się daleko po zboczach, aż stada pasących się tam gazeli i dzikich owiec podniosły łby, by popatrzeć na srebrzystych jeźdźców, zmierzających na siwych wierzchołkach ku bitwie z mocami, które obiegiły Perłową Fortecę.

— Lepiej rozumiesz tych ludzi niż ja — powiedział Elryk, gdy droga zaczęła krętym szlakiem wspinać się ku grani, niebo zaś poszarzało i zrobiło się chłodniej. — Nie domyślasz się, co zastaniemy w Fortecy?

Oone pokręciła z żalem głową.

— Wiemy tylko, że jest to siła dość potężna, by wypędzić tak wielkiego bohatera, jak Chamong Borm.

— Znam go tylko z legendy. Słyszałem o nim na targu niewolników w Quarzhasaat.

— Został wezwany przez Świętą Dziewczynę, gdy ta zorientowała się, że ataki nie ustaną. Tak przynajmniej sądzę. Nie oczekiwała, że ją zawiedzie. W rzeczy samej, do pewnego stopnia pogorszył nawet sprawę. Poczowała się zdradzona i wygnała go na skraj Bezimiennej Krainy, by witał wszystkich spieszących z pomocą i służył im radą. Najpewniej dlatego przyjął nas i obdarował niczym bohaterów.

— Ale my nie znamy tego świata. Jak możemy dać sobie radę tam, gdzie on zawiódł?

— Może właśnie dzięki niewiedzy. Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie, Elryku. — Podjechała bliżej, i przechyliwszy się w siodle, pocałowała go w policzek. — Wiem tylko, że jak długo sama będę o tym decydować, nie zdradzę ani jej, ani ciebie. Jednak jeśli będę musiała kiedyś wybierać, zapewne poświęcę ciębie.

Elryk spojrzał na nią zdumiony.

— Czy to możliwe?

— Nie wiem. — Oone wzruszyła ramionami i westchnęła. — Spójrz! Chyba dojeżdżamy!

Forteca wyglądała jak pałac wyrzeźbiony z najdelikatniejszej kości słoniowej. Na tle srebrzystego nieba i ośnieżonych szczytów wystrzeliwała smukłymi wieżycami i blankami, jaśniała kopułami, tajemniczymi konstrukcjami, które zdawały unosić się w powietrzu. Oplatały ją mosty, schody, galerie i balkony. Rzeźbione mury wieńczyły na dachach ogrody jaśniejące pastelowymi kolorami kwiatów, krzewów i drzew. W trakcie wszystkich podróży Elryk raz tylko widział podobne miasto, było to jego rodzinne Imrryr. Tu jednak miał przed sobą surowe piękno, podczas gdy Imrryr otaczała aura romantyzmu, bogactwa, pogoni za egzotyką i doczesnymi rozkoszami.

Podjechawszy bliżej Elryk zauważył, że Forteca nie jest czysto biała, mieni się odcieniami błękitu, srebra, szarości i różu, czasem przechodzącymi w żółć lub zieleń. Z bliska widać było wyraźnie, że całość została wyrzeźbiona w materii jednej gigantycznej perły. Dotarli do bramy, chronionej przez zasuwane kraty spotykające się pośrodku przytłaczającego swym ogromem łuku.

— Otwórzcie w imię Świętej Dziewczyny! — krzyknął Elryk, jako że nic innego nie przyszło mu do głowy. — Przybывamy, by wyzwąć do walki tych, którzy uwięzili jej ducha!

Słowa odbiły się echem od wież i od górskich szczytów, aż zdało się, że dopiero wysoki strop jaskini je wchłonął. Coś szkarłatnego przemknęło w cieniach zalegających za bramą i zniknęło. Skądś napłynął zapach wyśmienitych perfum zmieszany z tą samą osobliwą wonią oceanu, którą poczuli wkraczając do Beziemiennej Krainy.

Wielka krata drgnęła i ustąpiła przed nimi tak lekko, jakby rozplywała się w powietrzu. Naprzeciwko wejścia stanął jeździec, którego ponury chichot był im aż nadto znajomy.

— Tak chyba powinno być — stwierdził Perłowy Rycerz.

— Sprzymierz się z nami raz jeszcze, wojowniku — powiedziała Oone tonem pełnym godności, sugestywnym. — Ona tego pragnie!

— Nie. Nie będzie już tak, by zdradzano. Znikajcie. No już! Dalej! Nie ma was! — odrzuciwszy głowę do tyłu, krzyczał zajadle, niczym wściekły pies.

Elryk dobył miecza, który lśnił tym samym srebrzystym blaskiem co oręż Perłowego Rycerza. Oone poszła za jego przykładem, choć mniej chętnie sięgała po broń.

— Przejdziemy, Perłowy Rycerzu.

— Nic z tego! Za waszą wolność!

— W jej ręce ją oddajemy! — powiedziała Oone. — Nie w twoje, przynajmniej dopóki ona tego nam nie nakaze.

— Ona powiedziała, że to moja sprawa. I tak będzie. Będzie tak i kropka!

Elryk nie marnował czasu na próbę zrozumienia treści tej dziwnej rozmowy. Wypuścił konia i wyciągnął miecz, który wydał mu się tak znajomy, że przez moment książę gotów był porównać go ze swym runicznym orężem. Czy mógł

ten miecz być służącym Ładowi odpowiednikiem Zwiastuna Burzy, poplecznika Chaosu?

Perłowy Wojownik otworzył szeroko oczy. W jego źrenicach malowała się śmierć, śmierć całego świata. Opuścił dziwaczną lancę, splamioną, jak Elryk zauważył, świeżą krwią. Ostrze mierzyło prosto w oczy Elryka, który musiał uchylić się przed ciosem. Wyprostował się akurat na czas, by zadać cios, ale ten został odparowany z siłą większą niż w dotychczasowych potyczkach obu przeciwników. Perłowy widocznie zebrał siły od czasu ich ostatniego spotkania.

— Duszo ordynarna! — warknął z pogardą Perłowy Wojownik i znów zachichotał, tym razem na widok Oone atakującej z ostrzem w jednej, a włócznią w drugiej dłoni, z cugłami trzymanymi w zaciśniętych zębach. Miecz i włócznia uderzyły jednocześnie w napierśnik przeciwnika, pancerz zaś pękł niczym skorupka małża.

Elryk nie widział jeszcze takiej sztuczki, koordynacja ruchów i siły Oone były wprost niewyobrażalne. Cios, o którym rycerze mówić by mogli przez następne tysiąclecie, a wielu gotowych byłoby oddać życie w trakcie prób, iżby choć raz go powtórzyć.

Włócznia rozłupała pancerz, a miecz dokończył dzieła. Ale Perłowy Wojownik nie był jeszcze martwy.

Jęczał, pokasywał, mamrotał coś od rzeczy. Uniósł miecz, jakby chciał się zasłonić przed otrzymanym już ciosem. Jego wierzchowiec zarżał i wściekle rozdał chrapy. Oone cofnęła własnego konia i nadal mierząc ostrzem w przeciwnika, sięgała po drugą włócznię i po sztylet.

Elryk postąpił w ich kierunku i spróbował powtórzyć po części sztukę Oone, dosięgając włócznią pękniętego pancerza, ale ostrze odbiło się od kości słoniowej i zostało odtracone. Elryk stracił na chwilę równowagę i to wystarczyło Perłowemu Rycerzowi, by dać upust pragnieniu zemsty. Miecz wykrzesał iskry w spotkaniu ze stalowym pancerzem księcia, który upadł na kark konia i ledwie zdołał zablokować następne cięcie. Nagle przeciwnik zaskrzeczał boleśnie, oczy jego zrobiły się jakby jeszcze większe, a krwawa piana potoczyła z ust. Ze złączenia napierśnika i hełmu trysnęła posoka. Padł w kierunku księcia, a ten ujrzał wrażoną w pierś Perłowego włócznię.

— To tak nie zostanie! — krzyknął Perłowy Rycerz tonem groźby. — Na to nie pozwolę!

Potem spadł bezwładnie z siodła i niczym worek kości potoczył się po kamieniach podwórca. Rzeźbiona w kształt drzewa figowego fontanna ożyła nagle, wyrzucając strugi wody, która rychło zaczęła obmywać ciało. Pozbawiony jeźdźca koń rzucał się rżąc przeraźliwie, aż w końcu pogalopował przez bramę i zniknął na marmurowej drodze.

Elryk obrócił ciężkie ciało i upewnił się, że Perłowy Rycerz na dobre rozstał się z życiem. Przy okazji obejrzał dokładniej jego zbroję. Wciąż nie mógł się

nadziwić mistrzowskiemu atakowi Oone.

— Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś takiego — powiedział. — A miałem do czynienia z najlepszymi z najlepszych, zarówno jako ich sojusznik, jak i wróg.

— Dobry Złodziej Snów musi znać parę sztuczek — odparła Oone, świadoma wrażenia, jakie wywołała. — Matka mnie tego nauczyła, ale ja nigdy nie będę tak dobra jak ona.

— Twoja matka też była Złodziejką Snów?

— Skądże. — Oone obejrzała zniszczone ostrze swego miecza, po czym sięgnęła po oręż pokonanego. — Była królową. — Sprawdziła wyważenie nowej broni i odrzuciła starą. Ponieważ ten miecz był szerszy, przypasała go po prostu do pasa, pozbywając się również starej pochwy. Wyptywająca wciąż z fontanny woda podchodziła im już do kostek, drażniąc konie.

Prowadząc wierzchowce przeszli pod półkolistą bramą na następne podwórze, gdzie też były fontanny, ale woda nie zatapiała okolicy. Jak cała forteca, wydawały się wyciosane z kości, przedstawiały zaś stylizowane postaci czapli ze wzniesionymi i skrzyżowanymi dziobami. Przypomniało to nieco Elrykowi styl dominujący w Quarzhasaat, tutaj jednak nie wyczuwało się ani nastroju dekadencji, ani zastalego smrodu wiekowego szaleństwa. Czy wybudowali tę fortecę przodkowie obecnych mieszkańców upadłego miasta? Może jakiś wielki król wymknął się całe tysiąclecie temu z owego gniazda zepsucia i dotarł w ucieczce właśnie tutaj? Może z takich właśnie związków wzięła się legenda o Perle?

Mijali podwórzec za podwórcem, a każdy piękny na swój niezwykły sposób. Elryk zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem ten szlak nie wyprowadzi ich jedynie na drugą stronę fortecy.

— Dziwnie nie zamieszkane miejsce — zauważył.

— Chyba niedługo kogoś spotkamy — mruknęła Złodziejka.

Wspinali się po spiralnej ścieżce wijącej się wokół wielkiej centralnej budowli. Mimo surowego wyglądu i panującego w tych murach nastroju powagi, Elryk nie odbierał tej architektury jako martwej i chłodnej. Przeciwnie, miał wrażenie, jakby za budulec posłużyło skamieniałe ciało jakiejś wielkiej istoty.

Odgłos kopyt został przytłumiony przez kosztowne dywany zaczynające się u wejścia do wielkich sal i korytarzy, ściany obwieszane były gobelinami i wyłożone mozaikami, które nie przedstawiały żadnych żywych istot, a tylko wzory geometryczne.

— Mam wrażenie, że zbliżamy się do serca fortecy — wyszeptała Oone, jakby obawiała się zostać podsłuchana, jednak wokół nie było widać nikogo. Omiotła spojrzeniem wysokie kolumny, zajrzała do całego szeregu komnat oświetlonych, jak się wydawało, zewnętrznym blaskiem dnia. Podążając za nią, Elryk miał wrażenie, iż dojrzał jakąś postać w błękitnej szacie przemykającą przez jedne z drzwi i znikającą raptownie.

— Kto to był?

— Wciąż ci sami — mruknęła Oone. — Wciąż ci sami. — Sięgnęła po broń i gestem nakazała Elrykowi zrobić to samo. Wyszli na kolejny podwórzec, nad którym wisiało szare niebo. Wokół wznosiły się galerie sięgające aż ku samemu szczytowi budowli. Księciu wydało się, że wyglądają z nich jakieś twarze. Nagle coś skapnęło mu na twarz. Krew. Ludzka krew, w której, jak zauważył, jego koń brodził już po kostki, a wciąż więcej jej spływało z galerii. Z góry dobiegł go najpierw cichy pomruk, potem śmiech, w końcu krzyk.

— Dość! — krzyknął, brodząc ku ścianie. — Przybyliśmy, by porozmawiać! Chcemy tylko Świętej Dziewczyny! Oddajcie nam jej duszę, a odejdziemy!

Odpowiedzią były strugi krwi. Skierował wierzchowca do następnego przejścia, zagrodzonego kratą. Usiłował ją unieść lub wyważyć, ale na próżno. Spojrzał na Oone, która otarła się już z krwi. Długimi palcami wymacała jakiś przycisk, który spowodował, iż krata uniosła się powoli, jakby niechętnie, ale pozostała otwarta.

— Jak większość mężczyzn, mój panie, w chwilach paniki skłonny jesteś poprzestawać na brutalnej sile.

Elryk poczuł się urażony.

— Nie miałem pojęcia, że istnieją takie urządzenia do otwierania bram.

— Teraz już wiesz i zapamiętaj to sobie, a może wyjdiesz stąd żywy.

— Czemu nie chcą z nami rozmawiać?

— Pewnie podejrzewają, że chcemy czegoś więcej, niż głosimy. Tak naprawdę to mogę tylko zgadywać, jaką logiką się kierują. W tych krainach za każdym razem napotyka się coś nowego. Chodź.

Poprowadziła go obok basenów pełnych parującej z lekka, ciepłej wody. Ich powierzchnia była pusta i spokojna, tylko przy samym dnie poruszały się jakieś stworzenia, pewnie ryby. Elryk chciał przyjrzeć się im bliżej, ale Oone mu nie pozwoliła.

— Ostrzegałam cię. Twoja ciekawość przywiedzie nas jeszcze do zguby.

Coś chlapnęło i zabulgotało w basenie, by zaraz zniknąć. Wszystko zaczęło się trząść nagle, woda parowała intensywnie, a w marmurowych podłogach pojawiły się rysy. Konie zarżały ze strachu, ledwie utrzymując równowagę. Elryk omal nie wpadł do jednej z rozszerzających się szczelin. Zupełnie jakby trzęsienie ziemi nagle nawiedziło te góry. Gdy zmierzali pospiesznie do następnego przejścia, za którym otwierała się spokojna łąka, wstrząsy ucichły.

Ktoś szedł w ich kierunku. Mężczyzna. Z wyglądu przypominał Królową So-ugh, był jednak niższy i starszy. Biała broda spływała mu na opończę ze złotej materii, w dłoni trzymał tacę, na której spoczywały dwa skórzane mieszki.

— Czy zechcecie powitać jednego z zarządców Perłowej Fortecy? — spytał. — Jestem tu seneszalem.

— A komu służysz? — spytał obcesowo Elryk, który nie schował jeszcze miecza i nie ukrywał, że gotów jest użyć go w potrzebie.

Seneszał spojrział nań zdziwiony.

— Służę Perle, rzecz jasna. To jest Perłowa Forteca!

— Kto tu rządzi, starcze? — wtrąciła się Oone.

— Powiedziałem już, że Perła.

— A czy nikt nie włada Perłą? — spytał zdezorientowany Elryk.

— Już nie, panie. A teraz weźcie to złoto i idźcie sobie. Nie mamy ochoty tracić na was więcej czasu. Jesteśmy zmęczeni. Uprzedzam jednak, że zmęczenie minie i gotowi będziemy was unicestwić.

— Dotąd udawało nam się pokonywać wszystkich, których wysyłałeś przeciwko nam — powiedziała Oone. — Czemu mielibyśmy pragnąć tego złota?

— Nie pożądamy Perły?

Zanim Elryk zdążył odpowiedzieć, Oone uspokoiła go gestem dłoni.

— Przybyliśmy tylko po to, by uwolnić Świętą Dziewczynę.

Seneszał się uśmiechnął.

— Wszyscy tak mówili, ale naprawdę to chcieli Perły. Nie wierzę ci, pani.

— Jak możemy dowieść szczerości naszych słów?

— Nie możecie. I tak znam prawdę.

— Żadnego z ciebie pożytku, seneszalu. Ale powiedz, jeśli ty służysz Perle, to komu służy Perła?

— Najpewniej temu dziecku. — Odparł, marszcząc brew zmieszany pytaniem. Dla Elryka jednak sprawa była prosta. Coraz bardziej gotów był podziwiać spryt Złodziejki.

— No widzisz, jednak nam pomogłeś — powiedziała Oone. — Duch dziecka jest uwięziony, a waszą sprawą jest pilnować porwanej.

Starzec ponownie podsunął im tacę.

— Weźcie to i zostawcie nas w spokoju.

— Chyba jednak tego nie zrobimy — odparła pewnym tonem Oone i pogoniła konia, by wyminął seneszala. — Elryku, jedziemy.

Albinos zawahał się.

— Nie powinniśmy go dokładniej wypytać?

— Nie ma już nic więcej do powiedzenia.

Starzec upuścił tacę na podłogę i podbiegł do niej kołyszając ciężkimi mieszka-
mi.

— Nie ona! To przyniesie ból! Nie tak! To będzie bolało! To boli!

Elrykowi zrobiło się żal starca.

— Wysłuchajmy go jednak.

Oone nie zatrzymała się nawet.

— Chodź. Trzeba.

Elryk nauczył się już, żeby ufać jej ocenie sytuacji. Minał zawodzącego starca, który ze łzami ciekącymi po policzkach nadal wymachiwał mieszka-
mi. Ta misja wymagała jednak szczególnego rodzaju odwagi...

Dotarli do następnego łuku pokrytego drobnymi rzeźbami i mozaikami, obramowanego jadeitami, błękitnymi malunkami i srebrem. Drogę zagradzało dwoje masywnych drzwi z ciemnego drewna wzmocnionego brązowymi bratnalami.

Dla Oone potęga drzwi nie miała znaczenia. Pchnęła je delikatnie samymi opuszkami palców, a one zaczęły uchylać się powoli. Z wnętrza dobiegł ich cichy pisk, niemal skamlenie. Drzwi stanęły w końcu otworem.

Na chwilę Elryk zamarł porażony tym, co ujrzał.

Wielką komnatę wypełniał szarozłoty blask bijący z zakończonej kulą kolumny wysokiej na połowę wzrostu postawnego mężczyzny. Pośrodku kuli tkwiła perła niemal tak duża jak pięść Elryka. Ze wszystkich stron otaczały kolumnę niewysokie schody, na których stały jakieś postaci przypominające rzeźby. Przedstawiały mężczyzn, kobiety i dzieci ubranych na różne modły, chociaż większość przypominała strojem mieszkańców Quarzhasaat i ludy pustyni.

Starzec dogonił ich, kuśtykając.

— Nie niszczone tego!

— Działamy wyłącznie we własnej obronie, panie seneszału — powiedziała Oone, nawet na niego nie spoglądając. — I nie jesteśmy ci winni więcej wyjaśnień.

Powoli, prowadząc konie, nadal w pancerzach, weszli do wnętrza. Blask perły zdawał się pobudzać ich srebrne zbroje do samodzielnego świecenia.

— Tego nie należy niszczyć. Nie należy tego bronić. Nie należy rabować.

Elryk zadrżał, rozpoznając ten głos. Spojrzał na odległą ścianę, gdzie ujrzał Perłowego Wojownika w popękanej i zakrwawionej zbroi, z obliczem zmasakrowanym i oczami, które to zapalały się ogniem, to tchnęły martwością. Chwilami zaś stawały się oczami Alnaca.

— Nie mogę z wami walczyć — stwierdził Wojownik żałośnie. — Już nie.

— Nie chcemy cię skrzywdzić — powiedziała Oone. — Mamy cię uwolnić.

Coś poruszyło się pomiędzy zastygłymi postaciami. Postać w błękitach. Królowa Sough. Bliska łez.

— I z tym przyszliście? — Wskazała na miecze, konie, zbroje. — Ale naszych wrogów tu nie ma.

— Niedługo nadejdą — powiedziała Oone. — Już niedługo, moja pani.

Zdumiony Elryk obejrzał się, jakby chciał zobaczyć owych wrogów. Uczynił krok w kierunku Perły w Sercu Świata, by popatrzeć na to cudo, ale wszystkie postaci ożyły nagle, zagradzając mu drogę.

— Chcecie kraść! — Krzyknął starzec bardziej jeszcze zrozpaczony niż przedtem, i bardziej bezradny.

— Nie — odparła Oone. — Nie o to nam chodzi. Zrozum wreszcie. Raik Na Seem wysłał nas, byśmy ją znaleźli.

— Ona jest bezpieczna. Powiedzcie mu, że ona jest bezpieczna.

— Nie jest. Wkrótce zniknie, rozplynie się. — Oone spojrzała na poszeptujący tłum wokół kolumny. — Została oddzielona, podobnie jak my. A Perła jest przyczyną.

— To podstęp — powiedziała Królowa Sough.

— Podstęp — zawtórował jej Perłowy Wojownik i zachichotał ledwo słyszalnie.

— Podstęp — powtórzył senezal i wysunął przed siebie torby ze złotem.

— Niczego nie chcemy ukraść. Przybyliśmy, by was bronić. Spójrzcie! — Oone zatoczyła koło ostrzem miecza zwracając ich uwagę na coś, czego najwyraźniej dotąd nie dostrzegli.

Ze ścian wyłaniali się uzbrojeni po zęby, zakapturzeni

i wytatuowani żołnierze z Quarzhasaat. Czarownicy, Poszukiwacze Przygód.

— Nie damy im rady — szepnął Elryk do Złodziejki. — Za wielu ich.

I sam zaczął się gotować na śmierć.

Rozdział 2

ZNISZCZENIE FORTECY

Oone dosiadła konia i sięgnęła po miecz.

— Uczyń to samo, Elryku! — krzyknęła, poganiając ogiera do cwału. Stąpienia kopyt zabrzmiały w komnacie niczym uderzenia gromu.

Gotów stawić śmiało czoło śmierci nawet w chwili triumfu, Elryk wspiął się na siodło, ujął włócznię tą samą dłonią, która dzierżyła cugle, i ruszył z mieczem na napastników.

Rychło znalazł się pomiędzy mierzącymi w niego toporami, maczugami, pikami i mieczami i zrozumiał, iż nakazany przez Oone atak nie był wcale taki desperacki. Ludzkie cienie poruszały się niezdarnie, oczy miały zamglone, potykały się, a ich ciosy pozbawione były siły i precyzji.

Rozpoczęła się przyprawiająca Elryka o mdłości rzeź. Idąc za przykładem Złodziejki wymachiwał tylko ostrzem, jakby oganiając się, a głowy spadały z karków niczym przejrzałe owoce, kończyny traciły połączenie z tułowiem z taką samą łatwością, jak zrywa się liść z gałęzi. Wystarczało tkniecie włócznią, a ciała padały okrywając z dawna już martwą posoką stal i pancerze. Krzyki zabijanych brzmiały tak żałośnie w uszach Elryka, iż gdyby nie przysięga, że będzie posłuszny Oone, zaniechałby walki i pozwolił dokończyć jej dzieła samotnie. Przeciwnicy nie byli niebezpieczni, coraz więcej wlewało się ich przez ściany po to tylko, by napotkać niosące zagładę, wprawnie kierowane ostrza.

Zebrani u stóp centralnej kolumny dworzanie przyglądali się tylko, nie mając najwyraźniej pojęcia, jak miernych przeciwników odpierało dwoje srebrzyście odzianych przybyszów.

— Już po wszystkim — powiedziała Oone. — Czarownicy polegli.

— Zaprawdę, jesteście bohaterami! — Królowa Sough szła ku nim wyciągając ramiona i uśmiechając się radośnie, z podziwem.

— Skądże, jesteśmy tylko śmiertelnymi wojownikami, którzy właśnie odparli niebezpieczeństwo zagrażające Perłowej Fortecy — odparła uroczyście Oone. Elryk przytaknął w duchu.

— Jesteście dziećmi Chamonga Borma, Bratem i Siostrą Kościanego Księżyca, Dziećmi Wody i Chłodnego Podmuchu, Rodzicami Drzew... — Seneszał upuścił mieszki ze złotem i zaniósł się łkaniem. Płakał z ulgi i z radości. Bardzo przypominał Raika Na Seema.

Oone zsiadła z konia i padła w objęcia Królowej Sough. W chwilę później szuranie i chichot oznajmiły nadejście Perłowego Wojownika.

— Nie ma już mnie — powiedział patrząc na nich oczami Alnaca, w których pozostała już tylko rezygnacja. — Rozpadać się pora... — I runął na podłogę rozrzucając po całym pomieszczeniu kawałki pancerza i kości. Ciało zniknęło i szczątki Perłowego upodobniły się do pozostałości po gigantycznym morskim krabie.

Królowa Sough zajęła się tymczasem Elrykiem, pragnąc i jego wyściskać. Wydawała się teraz mniejsza niż przy poprzednim spotkaniu, ledwie sięgała mu do brody. Objęła go jednak serdecznie, także zapłakana. Woalka zsunęła się z twarzy odsłaniając oblicze młode, któremu ujęto lat. Wyglądała ledwie na dziewczynę.

Wszyscy tak uśmiechali się wkoło, że Elryk zrozumiał w końcu. Delikatnie dotknął policzka dziewczyny, znajomych włosów i wciągnął głęboko powietrze.

To była Varadia, Święta Dziewczyna Bauradimów. Była tym dzieckiem, którego ducha przysięgli uwolnić.

Oone podeszła bliżej i położyła dłoń na ramieniu Varadii.

— Wiesz już, że jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

Varadia przytaknęła, rozglądając się za dworzanami, ale ci znowu zastygli w nieruchomych pozach posągów.

— Jak dotąd tylko Perłowy Wojownik dawał tu radę — powiedziała. — Nie udało mi się wezwać nikogo lepszego. Chamong Borm mnie zawiódł. Czarownicy, Poszukiwacze Przygód byli dlań zbyt wielkimi przeciwnikami, ale teraz mogę już pozwolić mu opuścić wygnanie.

— Połączyliśmy nasze siły z jego mocą — powiedziała Oone. — Waszą i naszą siłę i tylko dlatego zwyciężyliśmy.

— My nie jesteśmy cieniami — roześmiała się Varadia, jakby odkrywając radosną prawdę. — I to było istotne.

Oone przytaknęła.

— To było istotne, Święta Dziewczyno. Teraz musimy pomyśleć, jak sprowadzić cię z powrotem do Spiżowego Namiotu. Twój lud czeka na ciebie jak na zbawienie, którym zaiste dlań jesteś.

— Wiem. Noszę całą ich historię i mądrość. A zaczynałam wierzyć, że przegrałam.

— Nic z tych rzeczy — odparła Oone.

— Czarownicy nie zaatakują ponownie?

— Nigdy więcej. Ani tutaj, ani nigdzie indziej. Zajmiemy się nimi z Elrykiem.

Elryk pojął, że to Oone wezwwała ludzkie cienie, czyniąc to po raz ostatni po to tylko, by doprowadzić do ich klęski na oczach całego tutejszego dworu.

Oone spojrzała na księcia ostrzegając go spojrzeniem, by nie pisnął ani słówka o tym podstępnie. Ostatecznie chodziło głównie o to, by pokonać bariery stwarzane przez sen dziecka. Chamong Borm, bohater z legend, nie mógł jej uratować, jako że był postacią wymyśloną, o czym Varadia pamiętała przez cały czas. Podobnie było z Perłowym Wojownikiem, który też zrodził się w fantazji dziewczynki. Ale Oone była prawdziwa, równie prawdziwa jak uwięziona. Gdzieś w głębinach snu Varadia, która wyobrażała sobie, że jest królową poszukującą bezskutecznie władzy, musiała zdawać sobie z tego sprawę. Niezdolna do samodzielnej ucieczki z ułudy, potrafiła odróżnić własną marę od tworów jawy, czyli siebie, Oone i Elryka. Potrzebny był tylko mały popis Oone, która pokazała, jak pokonuje ślady pierwotnego zagrożenia. To było wszystko co potrzebne, by uwolnić dziecko.

Ciągle jednak pozostawali we wnętrzu snu. Wielka Perła pulsowała równie silnym blaskiem jak przedtem, a przypominająca labirynt Forteca wciąż była ich więzieniem.

— Zrozumiałaś zatem — powiedział Elryk do Oone. — Zrozumiałaś, iż ci, których napotykaliliśmy, wyrażali się po prostu jak dzieci. Bo to był język dziecka, język poszukujący i przegrywający. Zgodny z dziecięcymi wyobrażeniami o władzy i potędze.

Oone raz jeszcze nakazała mu oczami milczenie.

— Varadia rozumiała wreszcie, że niczego nie zdobywa się wycofaniem ni odwrotem. Moc zaczyna wówczas niszczyć lub kryć się po zakamarkach niczym przyłapany przez huragan na drodze wędrowiec. Zapanować można tylko nad sobą samym, a do tego trzeba umieć stawić czoło złu, które gotowe jest niszczyć. — Mówiła to niczym w transie i Elryk domyślił się, że Złodziejka powtarza wyuczoną niegdyś lekcję.

— Nie przyszłście ukraść Perły, a tylko wyzwolić mnie z więzienia — powiedziała Varadia, gdy Oone wzięła ją za rękę. — Mój ojciec was przysłał?

— Poprosił nas o pomoc, a my nie odmówiliśmy — stwierdził Elryk chowając wreszcie miecz. Było mu nieco głupio paradować tak w zbroi herosa z bajek dla grzecznych dziewczynek.

Oone pojęła przyczyny jego niezadowolenia.

— Oddamy to wszystko Chamongowi. Może już wrócić do Fortecy?

— Oczywiście! — Dziecko klasnęło w ręce i w drzwiach pojawił się, ubrany wciąż w szaty wygnańca, Chamong Borm i przyklęknął u stóp swej pani.

— Moja królowo — wygłosił naprawdę przejęty swoją rolą.

— Zwracam ci broń i pancerze, twoje bliźniacze konie i twój honor, Chamongu Bormie — ogłosiła Varadia.

Elryk i Oone zrzucili zbroje, Chamong Borm zaś przyodział się w srebro i złoto, w napierśnik i nagolenniki, w błyszczący hełm, przypasał miecz, obciążył ko-

nia włóczykami. Gdy był już gotowy, ponownie przyklęknął przed swą królową.

— Jakie zadanie masz dla mnie, moja pani?

— Możesz wyruszyć gdziekolwiek zechcesz, wielki Chamongu Bormie. O jednym tylko pamiętaj, musisz zwalczać zło wszędzie i we wszystkich postaciach, i nigdy już nie wolno ci dopuścić do tego, by Czarownicy, Poszukiwacze Przygód zaatakowali Perłową Fortecę.

— Przysięgam.

Skłoniwszy się Oone i Elrykowi, legendarny bohater wyjechał powoli, promieniując wkoło dumą i szlachetnością.

— Jest znów tym, kim był, nim go wezwałam — powiedziała zadowolona Varadia. — Wiem, że legendy same w sobie nic nie znaczą, ich siła objawia się w tym, jak żywi je wykorzystują. Legendy to tylko odbicia ideałów.

— Mądre z ciebie dziecko — zauważyła Oone.

— A co? Ostatecznie jestem Świętą Dziewczyną Bauradimów — mruknęła ironicznie Varadia. — Czy nie jestem Mówczynią w Spiżowym Namioocie? — Opuściła oczy, zapewne tchnięta nagłą melancholią. — Ale niedługo już pozostanę dzieckiem. Chyba będzie mi brakować i tego pałacu, i królestwa. . .

— Zawsze coś się zostawia. — Oone położyła uspokajająco dłoń na jej ramieniu. — Ale też wiele znajduje.

Varadia obejrzała się na Perłę. Podążając za jej wzrokiem, Elryk spostrzegł, iż dworzanie zniknęli, zupełnie jak przedtem tłum na schodach. Tak, najpewniej i wtedy, i później ta dziewczynka prowadziła ku sobie Oone i jego. Jak potrafiła, tak pokazywała im drogę, by umożliwić swe wybawienie.

Varadia weszła na stopnie i wyciągnęła dłoń ku Perle.

— Oto przyczyna wszystkich naszych nieszczęść. Co z nią zrobimy?

— Najlepiej będzie ją zniszczyć — stwierdził Elryk.

— Jak długo będzie tu ukryta, tak długo zawsze znajdą się złodzieje gotowi ją wykraść — zaprotestowała Oone. — To przyczyna uwięzienia Varadii w Królestwie Snów. To przyciągnęło Czarowników, i otruli dziewczynę. Zło nie tkwi w Perle, ale w tych, którzy jej pożądamy.

— No to co robimy? — spytał Elryk. — Przehandlujesz ją przy najbliższej okazji na targu?

— Najpewniej tak właśnie powinnam zrobić, ale to nie zapewni Varadii bezpieczeństwa w przyszłości. Rozumiesz?

— Jak długo Perła będzie legendą, zawsze kusić będzie, by podążyć śladem legendy?

— Dokładnie. A zatem nie zniszczymy jej, przynajmniej nie tutaj.

Elrykowi było wszystko jedno. Tak bardzo zaangażował się w poznawanie struktury snu i poziomów nierealności, że zapomniał o pierwotnym celu swej wyprawy, o zagrożeniu, które czyhało i na niego i na Anigha.

Oone mu to przypomniała.

— W Quarzhasaat czekają na Perłę ci, którzy są nie tylko twoimi wrogami, ale i wrogami tej dziewczyny, wszystkich Bauradimów. Masz jeszcze coś do zrobienia, Spizowy Namiot nie jest kresem twojej wędrówki.

— No to już nic nie wiem — poddał się Elryk.

— Jaśniej już nie mogę się wyrażać. — Oone odwróciła od niego spojrzenie, trochę jakby ze skromności, trochę za sprawą przykrych myśli. — Ale tutaj jeszcze mogę zdecydować za ciebie. Bierzemy Perłę!

— O ile dobrze zrozumiałem, Perła nie istniała do chwili, gdy władcy Quarzhasaat jej zapragnęli, zanim poznali legendę.

— Ale teraz już istnieje. Varadio, czy mogłabyś podać mi Perłę?

— Z chęcią — powiedziała dziewczyna i podbiegła do kolumny, zdjęła osłonę i rzuciła na ziemię, a kawałki mlecznego szkła rozprysły się wokół mieszając się z kościanymi szczątkami Perłowego Wojownika. Wzięła Perłę w jedną rękę niczym zwykłą piłkę. Przerzucała ją z radością z dłoni do dłoni, już jej się nie lękając. — Piękna jest. Nic dziwnego, że jej chcieli.

— Sami ją stworzyli, a potem użyli jako pułapki na ciebie. — Oone złapała rzuconą jej Perłę. — To wstyd, wykorzystywać takie piękno w tak złym dziele... — przerwała, marszcząc brwi.

Światło gasło z wolna.

Zewsząd dochodzić zaczął poszum głosów. Jęki, skrzypienie, lamenty, krzyki bóleści. Coraz głośniejszy wrzask wszystkich cierpiących dusz wszechświata...

Hałas rozsadał głowy. Zakrywszy uszy, stali przerażeni patrząc, jak podłoga pęka i zapada się, jak bogato zdobione ściany, mozaiki i rzeźby pokrywa rak rozkładu, jak kruszą się i rozsypują niczym tkanina stroju pogrzebowego sprzed lat w nagle otwartej trumnie.

Przez to wszystko przebił się śmiech.

Był to śmiech pogodny. Beztroski śmiech dziecka.

Śmiech wolnego ducha. To Varadia się śmiała.

— Wreszcie znika. Wreszcie! Och, nie jestem już niewolnicą!

Oone podeszła do nich przebijając się przez szczątki, gruz i zgniliznę. Szybko, ale ostrożnie, ujęła dłoń Varadii.

— Jeszcze nie! Za wcześniej! Może nas wchłonać!

Kazała Elrykowi ująć drugą dłoń dziewczynki i poprowadziła ich przez mrok spustoszenia i rozpadu. Mijali korytarze, podwórce z tryskającymi teraz szlamem fontannami, mury ze skamieniałego ciała, które poczęły cuchnąć zgnilizną. Oone ponaglała do biegu, aż w końcu ujrzeli bramę fortecy.

Weszli na marmurową drogę. Złodziejka niemal ciągnęła ich za sobą, by jak najszybciej znaleźć się na moście, podczas gdy Perłowa Forteca obracała się za ich plecami z hukiem w gruzy.

Most zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Elryk nie dojrzał jego krańca, Oone jednak pozwoliła wreszcie zwolnić. Stali przed kolejną bramą.

Ta brama była z czerwonego piaskowca i po wspaniałościach pałacu wydawała się niemal surowa. Ozdabiały ją wzory geometryczne i wizerunki koni, leopardów i dzikich wielbłądów. Z jakiegoś niejasnego powodu Elryk zawahał się, gdy już mieli ją przekroczyć.

— Boję się — powiedział.

— Chyba swej śmiertelności. Dość w tobie odwagi, książę Elryku. Błagam cię — nalegała Oone — sięgnij teraz po nią.

Opanował lęki i mocno ścisnął dłoń dziecka.

— Wracamy do domu? — spytała Święta Dziewczyna. — Cóż jest tam takiego, czego obawiam się spotkać?

Uśmiechnął się do niej, wdzięczny za to pytanie.

— Nic takiego, Varadio. Chyba tylko ja sam.

Razem przeszli przez bramę.

Rozdział 3

UROCZYSTOŚĆ W OAZIE SREBRNEGO KWIATU

Budząc się obok śpiącego dziecka, Elryk zdumiał się własną kondycją — czuł się rześki i wypoczęty. Różdzka, która przeniosła ich do Krainy Snów, wciąż zachaczona była o połączone dłonie. Oone również się poruszyła.

— A zatem nie udało się?

Pełen zrezygnowania i boleści głos należał do Raika Na Seema.

— Co? — Oone patrzyła na Varadię, której skóra zaczęła właśnie odzyskiwać naturalny, zdrowy kolor, a oczy się otworzyły. Dziewczyna spojrzała wprost na swego zaniepokojonego ojca i uśmiechnęła się. Był to radosny uśmiech dziecka, który książę i Złodziejka zdążyli już poznać.

Pierwszy Najstarszy Klanu Bauradimów załkał niemal tak samo jak marszałek dworu Perłowej Fortecy. Płakał z ulgi i radości. Wziął córkę na ręce, ale ze wzruszenia nie mógł przemówić, wyciągnął tylko dłoń w kierunku przyjaciół, którzy wyrwali dziecko z niewoli, w jaką samo się wpędziło, pragnąc umknąć knowaniom lorda Gho.

Oone i Elryk wzięli się za ręce i wyszli ze Spizowego Namiotu na pustynię, gdzie stanęli twarzą w twarz i popatrzyli sobie w oczy.

— Zdarzył nam się jeden wspólny sen — powiedział Elryk łagodnie, z uczuciem. — To będzie chyba dobre wspomnienie, pani.

Ujęła jego twarz w swoje dłonie.

— Mądry jesteś, książę Elryku, i odważny jesteś, ale w jednym przynajmniej brakuje ci doświadczenia. Mam nadzieję, że je zdobędziesz.

— Po to właśnie wybrałem się na wędrowkę, zostawiając Yyrkoona na Rubinowym Tronie. Brakuje mi o wiele więcej. . .

— To było miłe, śnić razem.

— Domyślam się, że straciłaś prawdziwą miłość. Może choć trochę pomogłem ci uśmierzyć ból.

Zdumiała się przez chwilę, ale zaraz rozpogodziła brwi.

— Mówisz o Alnacu? Owszem, był mi bliski, ale traktowałam go raczej jak brata niż kochanka.

— Wybacz, pani — bąknął zakłopotany Elryk.

Oone spojrzała w niebo. Krwawy Księżyc zabarwił jeszcze swym blaskiem piaski i lśniący spiż namiotu.

— Nie zakochuję się tak łatwo — westchnęła. — Nadal zamierzasz wrócić do Melniboné i twej narzeczonej?

— Muszę. Kocham ją. I obowiązki wzywają mnie do Imrryr.

— Miłe sercu obowiązki! — mruknęła z sarkazmem i odeszła na parę kroków. Pochyliła głowę, rękę założyła za pas i od niechcienia kopnęła kilkakrotnie krwawo zabarwiony piasek.

Elryk zbyt długo tłumił w sobie emocje i teraz potrafił jedynie stać i czekać, aż Oone ponownie do niego podejdzie. Złodziejka uśmiechnęła się.

— Cóż, książę Elryku, czy przyłączysz się na jakiś czas do Złodziei Snów?

Elryk potrząsnął przecząco głową.

— Nie, to powołanie, wymaga o wiele więcej od adeptów, niż mógłbym sprostać. Wdzięczny ci jestem za naukę, więcej wiem teraz zarówno snach, jak i o sobie, ale jeszcze niewiele z tego wszystkiego rozumiem. Nadal nie potrafię dokładnie odpowiedzieć sobie na pytanie, gdzie właściwie wędrowaliśmy ni kogo zdarzyło mi się spotkać. Nie mam pojęcia, czy Kraina Snów była wytworem Varadii czy twoim. Zupełnie jakbym przyglądał się pojedynkowi budowniczych snów! Czy i ja się do tego przyczyniłem? Nie wiem!

— Och, bez ciebie przegralibyśmy, uwierz mi. Tyle innych światów widziałeś! Wiele czytałeś. Nie przyglądałam się aż tak dokładnie wszystkim spotkanym stworzeniom i zjawiskom, ale bądź pewien, że też dorzuciłeś swoje. I to najpewniej o wiele więcej, niż mógłbyś przypuszczać.

— A czy rzeczywistość może być uczyniona z tkaniu snów?

— Był kiedyś w Młodych Królestwach pewien podróżnik zwany earlem Aubekiem. Dobrze wiedział, jak wielką siłą sprawczą może być ludzki umysł. Niektórzy uważają, że to on, wraz ze swoim ludem, ustanowili Młode Królestwa.

— Słyszałem tę legendę — przytaknął Elryk. — Ale sądzę że tyle w niej prawdy, ile w opowieści o Chamogu Bormie.

— Myśl, co chcesz. — Odwróciła się, by spojrzeć na Spiżowy Namiot, z którego wychodzili właśnie starzec i jego córka. Skądś dobiegło powarkiwanie bębnow i śpiew, właściwie zawołanie na kilka splatających się ze sobą melodii. Z wolna ci, którzy uprzednio czuwali całymi dniami nad ciałem Świętej Dziewczyny, zaczęli gromadzić się przed namiotem wokół Raika Na Seema i Varadii. Ich pieśń była radosnym hołdem składanym życiu. Płynęła nad pustynią i zdawała się odbijać echem od odległych gór.

Oone wzięła Elryka pod ramię przyjacielskim gestem.

— Chodź — powiedziała. — Pora się przyłączyć. Zdołali przejść tylko kilka kroków, gdy dum wziął ich na ramiona i poniósł, roześmianych i zarażonych ogólną wesołością, w kierunku Oazy Srebrnego Kwiatu.

Uroczystość zaczęła się bez zwłoki, jakby Bauradimowie i inne klany pustyni od dawna już byli do niej gotowi. Powietrze wypełniło się wonią szykowanych przysmaków, zupełnie jakby wszystkie korzenne magazyny świata otwarto na tę okazję. Wszędzie wkoło płonęły ogniska, nad którymi zwieszały się kotły. We wszechobecnym blasku pochodni, lamp i świec rozwarły się bramy górującej na oazą kazby Moulor Ka Riiz i w pełnej glorii hełmów, pancerzy i broni z brązu, mosiądzu i stali, wyjechali z niej strażnicy Aloum'rit. Nosili długie brody, czubki hełmów spowijały olbrzymie turbany. Oponcze ich były z brokatu i złotogłowia, a wysokie buty ozdabiały wzory równie misterne, jak haftowane na koszulach. Byli to dumni i pogodni mężczyźni, obok zaś jechały ich żony, również w zbrojach, z łukami i lekkimi włóczniami. Całą tę armię wchłonał coraz liczniejszy tłum. Szybko wzniesiono podium, na którym ustawiono rzeźbiony tron, by zebrani ujrzyć mogli uśmiechniętą Varadię przywracającą swym istnieniem klanowi Bauradimów historię, dumę i przyszłość.

Rai Na Seem nie przestawał płakać. Za każdym razem, gdy zdarzało mu się ujrzyć Oone lub Elryka, rozplływał się w podziękowaniach powtarzając, ile znaczą dlań tacy przyjaciele i ile im zawdzięcza, wybawcom, herosom.

— Wasze imiona Bauradimowie zapamiętają po wsze czasy. O cokolwiek nas poprosicie, zostanie wam dane. W jakimkolwiek niebezpieczeństwie byście się znaleźli, wyślijcie tylko słówko, a przybędziemy na pomoc. Trzeba wam wiedzieć, jak dobre dziecko wyswobodziliście z niewoli.

— I to nam starcza za całą nagrodę — odparła Oone z uśmiechem.

— Waszym jest całe nasze bogactwo.

— Tego nam nie trzeba — stwierdziła Złodziejka. — Mam wrażenie, że znaleźliśmy coś cenniejszego.

Elryk skłonny był się z nią zgodzić.

— A poza tym, w Quarzhasaat mieszka pewien człowiek, który obiecał mi połowę cesarstwa, jeśli tylko wyświadczę mu drobną przysługę.

Oone zrozumiała sens wypowiedzi Elryka i wybuchnęła śmiechem, ale Rai Na Seem wyglądał na nieco rozczerowanego.

— Jedziesz do Quarzhasaat? Wciąż cię tam ciągnie?

— Owszem. Pewien chłopiec, który wypatruje mego powrotu jak zbawienia.

— Ale masz chwilę, by poświętować z nami, by z nami porozmawiać, pouczować ze mną i Varadią? Przecież właściwie jej nie znacie!

— Myślę, że całkiem nieźle ją poznaliśmy — powiedział Elryk. — Dość, by wysoko ją cenić. To zaiste największy skarb Bauradimów.

— Rozmawialiście w tych ponurych wymiarach, gdzie ją uwięziono?

Elryk miał ochotę oświecić starca, ale przywykła do podobnych pytań Oone go uprzedziła.

— Trochę, panie. Zrobiła na nas wielkie wrażenie swą inteligentą i odwagą.

Raik Na Seem zmarszczył czoło, jakby bijąc się z kolejną myślą.

— Mój synu — odezwał się do Elryka. — Czy pobyt w tamtych czeluściach nie sprawił ci cierpienia?

— Nie, panie — odparł ksiązę, dopiero po chwili pojmując, co właściwie powiedział. Po raz pierwszy dotarło doń, ile wyniósł z tej przygody. — Wcale. Towarzystwo Złodziejowi Snów niesie pewne korzyści. Korzyści większe nawet, niż przewidywałem!

Z ulgą Elryk dołączył do uczujących, dzieląc radość z Oone, Bauradimami i resztą klanów pustyni. Ponownie poczuł się wśród tych ludzi tak, jakby wrócił do domu, tak miłym było ich towarzystwo. W pewnej chwili pomyślał, że dobrze byłoby spędzić wśród nich resztę życia, przyjąć ich sposób myślenia, pracować i bawić się jak oni.

Gdy później położył się wreszcie pod wielkim daktylowcem i obracał w palcach złote kwiatki, Oone usiadła obok niego.

— Ze wszystkich pokus Krainy Snów ta pokusa jest najsilniejsza — powiedział. — Niby tylko prosta rzeczywistość, ale nie chce mi się opuszczać ani jej, ani ciebie.

— Nasze drogi rozchodzą się tutaj — westchnęła. — I tak już chyba zostanie, przynajmniej w tym życiu i w tym świecie. Ty staniesz się legendą, potem pamięć o tobie zginie wraz tymi, którzy mogliby o tobie pamiętać.

— Wszyscy moi przyjaciele umrą? Zostanę sam?

— Chyba tak, ostatecznie służyysz Chaosowi.

— Służę sobie samemu i mojemu ludowi.

— Gdybyś kiedyś w to uwierzył, będziesz musiał solidnie się napocić, aby stało się to prawdą. Wykreowałeś już nieco rzeczywistości i trochę zapewne jeszcze stworzysz. Ale Chaos to zdradliwy przyjaciel. Koniec końców, nie tylko o siebie musimy się troszczyć. Żadna wymówka, żadna siła ni wyzwanie nie zastąpi tej prawdy. . .

— Cóż, podczas wędrówki pozostaje mi być sobą. — Spojrzał na pustynię, na spokojne jezioro wewnątrz oazy. Wciągnął głęboko czyste i chłodne, pachnące piaskami powietrze.

— I odjedziesz niedługo? — spytała.

— Jutro. Nie mam wyboru. Poza tym jestem ciekaw, jaką to rzeczywistość wykreowałem.

— Och, sądzę, że parę marzeń doczeka się spełnienia — powiedziała tajemniczo i pocałowała go w policzek. — A jedno z nich nawet niebawem.

Elryk nie dociekał, co takiego miała na myśli, gdyż właśnie wyjęła z sakwy u pasa wielką perłę i wręczyła mu klejnot.

— Wciąż istnieje! A więc to nie była senna ułuda! Wciąż ją masz!

— Jest twoja. Zrób z nią, co chcesz. Po nią przyjechałeś do Oazy Srebrnego Kwiatu, dzięki niej się poznaliśmy. Chyba jednak nie sprzedam jej na targu. Wolę dać ją tobie, bo i prawnie chyba tobie właśnie się należy. Święta Dziewczyna dała ją mnie, ja daję ją teraz tobie i niech tak zostanie. To przez nią umarł Alnac Krieb, to dla niej popełniono tyle mordów. . .

— Wydawało mi się, że powiedziałaś, iż Perła nie istniała, dopóki Czarownicy nie zaczęli jej szukać.

— Owszem, ale teraz istnieje. Weź ją. Perła w Sercu Świata. Wielka Perła z legendy. Wiesz już, co z nią zrobisz?

— Musisz mi jeszcze wyjaśnić. . .

— Nie pytaj mnie tylko, jak sny stawać się mogą materialne — przerwała mu.

— To dylemat, przez który posiwiały już setki filozofów. Raz jeszcze pytam cię, wiesz już, co z nią zrobisz?

Zawahał się, ale w końcu przyjął cacko. Obracał je w obu dłoniach, podziwiając piękno i subtelne kolory.

— Tak. Chyba już wiem.

Upakował Perłę we własnej sakwie.

— Mam wrażenie, że ta Perła jest siedliskiem zła — powiedziała.

— Też tak myślę, ale czasem można zrobić i tak, by jedno zło obrócić przeciwko drugiemu.

— Z tym nie mogę się zgodzić — mruknęła Złodziejka.

— Wiem. Na tyle już cię poznałem.

Elryk pojął, że teraz nadeszła jego kolej, obrócił się zatem ku niej i pocałował ją delikatnie w usta.

— Los bywa okrutny, Oone. Wolałbym, aby nie rozdzielał nas, ledwie się poznaliśmy. Zmusza nas do dokonywania wyborów, ale nie mówi nam potem, czy wybraliśmy to, co najlepsze.

— Jesteśmy śmiertelnikami — wzruszyła ramionami. — Takie jest nasze przeznaczenie.

Pogłaskała go po czole.

— Chmurne myśli cię nawiedzają, panie. Chyba dobrze będzie, jeśli wykradniemy kilka pomniejszych snów, które dosyć ci szkodzą.

— To i zmorami tam handlujecie?

— Och, często.

Ułożyła jego głowę na swoich kolanach i zaczęła, masować mu skronie.

— Nie mogę zdradzić Cymoril — powiedział sennie Elryk pod jej czułym spojrzeniem. — Nie mogę. . .

— Teraz proszę cię tylko, abyś usnął. Pewnego dnia naprawdę będziesz miał czego żałować i poznasz, czym naprawdę mogą być wyrzuty sumienia. Na razie jednak mogę ująć ci kilka snów spomiędzy tych mniej istotnych.

— Mniej istotnych? — spytał niewyraźnie.

— Dla ciebie, rzecz jasna. Niekoniecznie dla mnie. . .

Złodziejka Snów zaczęła śpiewać kołysankę o chorym dziecku i pogrążonym w żalu ojcu. Śpiewała o szczęściu, które znaleźć można w zupełnie prostych sprawach.

Elryk zasnął, a wówczas Oone zabrała się za swą zwykłą magię i usunęła z głowy księcia kilka nieco wyblakłych już wspomnień, które jednak potrafiły zepsuć mu niejedną noc i niejedną jeszcze mogły zamienić w koszmar.

Gdy albinos obudził się rano, wstał z lekkim sercem i czystym sumieniem, ledwo pamiętając cokolwiek z całej wyprawy do Krainy Snów. Lecz nadal nosił Oone głęboko w sercu i nade wszystko pragnął jak najszybciej dotrzeć do Quarzhasaat, by spotkać lorda Gho.

Szczerze pożegnanie z Bauradimami ukoiliło smutek rozstania. Prosili go, by powrócił kiedyś, by przyłączył się do nich, by polował z nimi, jak czynił to niegdyś jego przyjaciel, Rackhir.

— Pewnego dnia spróbuję was odszukać — obiecał. — Na razie jednak mam wiele do zrobienia.

Jakiś chłopiec przyniósł mu z lękiem czarny miecz. Przypasywany ponownie Zwiastun Burzy zdawał się podśpiewywać z radości, że znowu są razem.

Varadia ucałowała go i pobłogosławiła w imieniu całego klanu. Raik Na Seem uznał go wszem wobec za syna, brata Varadii, na końcu wystąpiła Oone, Złodziejka Snów. Postanowiła pozostać na czas jakiś gościem Bauradimów.

— Żegnaj, Elryku. Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze kiedyś, i to w lepszych okolicznościach.

— To te były złe?

— Dla mnie owszem. — Uśmiechnęła się krzywo, stukając w rękojeść runicznego miecza. — A nade wszystko pragnęłabym, abyś stał się autentycznym władcą tego czegoś.

— Cały czas nim jestem.

Wzruszyła ramionami.

— Odprowadzę cię kawałek Czerwoną Drogą.

— Chętnie przyjmę twe towarzystwo.

Tak jak w Krainie Snów, Elryk i Oone ramię w ramię wyjechali z oazy. Elryk nie pamiętał już zbyt wiele z podróży, coś jednak do niego dotarło, zatem ze smutkiem rozstawał się z nią, wyprawiając się do Quarzhasaat.

— Żegnaj, przyjacielu. — W jej głosie pobrzmiwała melancholia. — Żegnaj, książę Elryku. Ufam, że odnajdziesz wszystko, czego szukasz, a po powrocie do Melniboné poznasz także spokój.

— Taki też mam zamiar. — Pomachał jej jeszcze, i by nie przedłużać bolesnej chwili, ponaglił wierzchowca i ruszył cwałem.

Odmawiając sobie prawa do łez, Oone patrzyła, jak znika na Czerwonej Dro-
dze.

Rozdział 4

OSTATECZNY KONIEC PROBLEMÓW W QUARZHASAAT

Gdy Elryk wjechał do Quarzhasaat, ledwo trzymał się w siodle, nie mając nawet dość sił, by pokierować konia. Ci, którzy go widzieli, zaczęli dopytywać się, czy może jest chory, niektórych zaś zdjął strach, że przybysz może przywlec jakąś zarazę do ich pięknego miasta i radzili, by czym prędzej go wypędzić.

Albinos uniósł głowę na chwilę tylko, by wypowiedzieć imię swego patrona, lorda Gho Fhaazi, i by powiedzieć, że nade wszystko pragnie pewnego eliksiru, który ów bogacz posiada.

— Muszę się tego napić. Lub umrę, nim wykonam robotę. . .

Starodawne wieże i minarety Quarzhasaat kąpały się w gasnących promieniach słońca i miasto ogarniał spokój pory, gdy kończą się obowiązki, a zaczyna czas rozrywek.

Bogaty sprzedawca wody, żądny łask tego, który wkrótce mógł stać się członkiem Rady, osobiście poprowadził wierzchowca Elryka przez wymuskane aleje, aż dotarli do wielkiego pałacu, całego w złocie i wypłowiałej zieleni, i siedziby lorda Gho Fhaazi.

Handlarz został wynagrodzony obietnicą służącego, iż ten napomknie o jego dobrej woli swemu panu, a Elryk, mamrocząc coś pod nosem, pojękując i oblizując usta, przeszedł przez wypielęgnowane ogrody do wewnętrznej części pałacu.

Lord Gho osobiście wyszedł powitać wysłańca. Roześmiał serdecznie na jego widok.

— Witam, witam, Elryku z Nadsokor! Witam, białolicy złodzieju-kuglarzu. Kiepsko wyglądasz, mniej dumnie. Pragnienie cię dręczy i wróciłeś po więcej eliksiru, na dodatek w gorszym stanie, niż gdy pierwszy raz zawitałeś w te progi!

— Chłopiec — wychrypiał Elryk, gdy służący pomagali mu zsiąść z konia.

Zwiesił bezwładnie ręce, gdy tylko wzięli go pod pachy. — Żyje?

— Jest w lepszym zdrowiu niż ty! — Bładozielone oczy lorda Gho pełne były złośliwości. — I jest bezpieczny. Na tym najbardziej ci zależało, gdy odjeżdżałeś, ja zaś dotrzymuję słowa. — Polityk pogładził pierścienie natłuszczonej brody i zachichotał. — A ty, panie Złodzieju, dotrzymałeś słowa?

— Co do litery — mruknął albinos. Oczy zapadły w głąb czaszki i przez sekundę mogło się wydawać, że umarł. Potem jednak spojrział przenikliwie na lorda Gho. — Dasz mi antidotum, które przyrzekłeś? I wody? Skarby? I jeszcze chłopca?

— Bez wątpienia, bez wątpienia. Ale jak na razie nie widzę, czemu miałbym to zrobić. Co z Perłą? Znalazłeś ją? Czy może przybyłeś, by zameldować o kłesce poszukiwań?

— Znalazłem. Ale ukryłem ją. Elik sir. . .

— Tak, tak. Wiem, po co eliksir. I tak musisz mieć niezwykle silny organizm, skoro jeszcze w ogóle możesz mówić. — Szlachcic kazał służącym usadzić Elryka na wielkich poduszkach ze szkarłatnego i błękitnego ałtasu i dać mu pić i jeść.

— Pragnienie jest coraz silniejsze, co? — Lord Gho czerpał wyraźną przyjemność z obserwowania stanu albinosa. — Pożarł cię, gdy ty myślałeś, że ciebie pożywia. Sprytny jesteś, panie Złodzieju. Ukryłeś Perłę, mówisz? Nie ufasz mi? Jestem szlachcicem z największego miasta na świecie!

Elryk rozparł się na poduszkach brudny jeszcze i zakurzony po podróży, i wytarł powoli ręce w spodnie.

— Antidotum, mój panie. . .

— Wiesz dobrze, że nie dostaniesz go, dopóki ja nie otrzymam perły. . . — Lord Gho spojrział z góry na swą ofiarę. — Prawdę mówiąc, Złodzieju, nie oczekiwałem, że będziesz tak wytrwały! Czy masz może jeszcze ochotę na łyk eliksiru?

— Przynieś go, jeśli chcesz.

Elryk powiedział to beztrzesko, ale lord Gho pewien był, że wiele go ten spokój kosztuje. Wydał stosowne polecenia służącym.

— I sprowadź chłopca. Muszę sprawdzić, czy faktycznie nie stała mu się żadna krzywda i z jego ust usłyszeć, co działo się tu po moim odjeździe. . .

— Niewiele żadasz. Niech będzie. — Gospodarz skinął na służącego. — Przeprowadzić tego chłopca, Anigha.

Szlachcic przysiadł na okazałym fotelu na podwyższeniu.

— Właściwie to nie oczekiwałem twojego powrotu, panie Złodzieju. O powodzeniu nie wspominając. Nasi Czarownicy to najodważniejsi ludzie pod słońcem. Są wyćwiczonymi wojownikami, znają magię i potężne zaklęcia, a wszyscy, których wysłałem, zawiedli! Oto mój szczęśliwy dzień. Wykuruję cię, obiecuję, abys mógł opowiedzieć mi wszystko, co widziałeś. Co z Bauradimami? Wielu ich zabiłeś? Będziesz musiał zdać mi dokładną relację, abym wraz z Perłą mógł przedstawić całą jej historię. Rozumiesz, to doda klejnotowi wartości. Gdy zostaną wy-

brany, poproszą mnie, bym jeszcze nie raz i nie dwa powtórzył całą opowieść. Na pewno... Rada będzie mi zazdrościć... — Obliznął umalowane karminem wargi. — Musiałeś zabić tego dzieciaka? Co najpierw ujrzałeś w oazie, no, w chwili, gdy przybyłeś do Oazy Srebrnego Kwiatu?

— Pogrzeb, jak pamiętam... — Elryk ożywił się nieco. — Tak, to był pogrzeb.

Dwaj strażnicy wprowadzili wyrywającego się chłopca, który nie okazał szczególnej radości na widok Elryka wyciągniętego na poduszkach.

— Och, panie, wyglądasz jeszcze gorzej niż przedtem! Przestał się wyrywać i spróbował ukryć rozczarowanie. Nie było po nim widać żadnych śladów tortur.

— Wszystko dobrze z tobą, Anigh?

— Tak. Najbardziej to nie wiedziałem, co zrobić z czasem. Dłużył mi się. Czasem jego lordowska mość przychodził do mnie i opowiadał, co też mi robi, jeśli nie przywieziesz Perły, ale czytałem już o takich rzeczach na murach księżycowej palisady, więc żadna to była dla mnie nowość.

— Uważaj, chłopcze! — warknął lord Gho.

— Musiałeś chyba wrócić z Perłą — powiedział Anigh, rozglądając się wkoło. — Czy tak, mój panie? Bo inaczej byś nie wrócił, prawda? — Chłopakowi nieco ulżyło. — Idziemy stąd?

— Jeszcze nie! — rzucił gospodarz.

— Antidotum — powiedział Elryk. — Masz je gdzieś tutaj?

— Nader jesteś niecierpliwy, panie Złodzieju. Twój spryt równy jest niemal mojemu. — Lord Gho zachichotał i uniósł znacząco palec. — Najpierw dowiedz mi jakoś, że posiadasz Perłę. Może dałbyś mi swój miecz w zastaw? Ostatecznie jesteś teraz zbyt słaby, by nim władać i na nic ci się nie przyda. — Wyciągnął chciwie rękę ku biodru albinosa, Elryk odsunął się niemrawo.

— No dalej, panie Złodzieju. Nie bój się mnie. Jesteśmy partnerami, czy nie? Gdzie Perła? Rada zbiera się dziś wieczorem w Wielkim Domu Spotkań. Gdy wtedy przyniosę im Perłę... Och, jeszcze dziś będę potężny!

— Robak pieje z dumy, że zostanie królem kupy gnoju — mruknął Elryk.

— Nie drażnij go, panie — zawołał przerażony Anigh. — Nie powiedział jeszcze, gdzie trzyma antidotum!

— Muszę mieć Perłę! — Lord Gho niecierpliwił się coraz bardziej. — No gdzie ją ukryłeś? Na pustyni? Gdzieś w mieście?

Elryk uniósł się powoli z poduszek.

— Perła była marzeniem — powiedział. — Dopiero twoi zabójcy sprawili, że naprawdę zaistniała.

Lord Gho zmarszczył czoło, podrapał się po upudrowanej na białą twarzy i raczył okazać jeszcze większe zdenerwowanie. Spojrzał podejrzliwie na Elryka.

— Jeśli chcesz dostać porcję eliksiru, to lepiej mnie nie obrażaj. I nie igraj ze mną. Chłopiec może umrzeć w jednej chwili, a ty razem z nim. Nic mnie to nie

będzie kosztowało.

— Lepiej zastanów się, panie. Pomyśl, co masz do zyskania. — Elryk zdawał się zbierać siły. Usiadł już prosto i skinął na chłopca, by podszedł bliżej. Strażnicy spojrzeli pytająco na swego pana, ale ten wzruszył ramionami. Zaciekawiony Anigh zbliżył się do albinosa. — Chciwy jesteś, panie. Pożarłbyś cały świat. Oto żałosny owoc zepsutej rasy!

— Pamiętaj, Złodzieju, że jeśli chcesz dostać antidotum, jeśli chcesz wrócić do zdrowia, to winienesz mi więcej uprzejmości!

— Ach, tak — powiedział Elryk w zamyśleniu, sięgając za kaftan. Wyciągnął stamtąd spory mieszek. — Ten twój eliksir uczynił mnie swym niewolnikiem! — uśmiechnął się i otworzył mieszek.

Wydobył zeń Perłę, którą lord Gho wycenił na połowę swego majątku, która warta była dlań życie setki ludzi wysłanych na śmierć, dla której gotów był porwać i zabić jedno dziecko, a uwięzić drugie.

Szlachcic zadrzał. Umalowane oczy zrobiły się duże jak spodki. Wciągnął łapczywie powietrze i zamarł, pochyłony, bliski omdlenia.

— Zatem to prawda — wyszeptał. — Znalazłeś Perłę w Sercu Świata...

— Dostałem ją w podarunku od przyjaciela — stwierdził Elryk, wciąż trzymając klejnot w wyciągniętej dłoni. Wstał i objął chłopca. — W trakcie wędrówki odkryłem, że moje ciało nie potrzebuje tak naprawdę twojego eliksiru i tym samym antidotum, lordzie Gho.

Gospodarz nie słuchał go. Oczy wbite miał w Perłę.

— Ogromna... Większa nawet, niż słyszałem... I prawdziwa... Widzę, że jest prawdziwa. Ten kolor... Ach. — I sięgnął w jej kierunku.

Elryk cofnął rękę. Lord Gho zmarszczył brwi i spojrział na albinosa oczami, w których płonęła chciwość.

— A ona co? Umarła? Bo mówili, że podobna perła zamknięta była w jej ciele. Jak było?

Anigh zadygotał.

— Nikt nie umarł z mojej ręki — powiedział Elryk, pełen obrzydzenia. — Nikt, kto już wcześniej nie byłby martwy. Tak jak ty, mój panie. Pogrzeb, który widziałem w Oazie Srebrnego Kwiatu, był twoim pogrzebem. Jestem tu, by spełnić przepowiednię Bauradimów. Przybyłem, by pomścić wszystkie krzywdy, które wyrządziłeś Świętej Dziewczynie.

— Co? Inni też wysyłali żołnierzy! Cała Rada i połowa kandydatów wysyłała sekciarzy, by szukali Perły! Wszyscy. Większość wojowników zginęła w czasie wyprawy, inni dali gardło za karę po powrocie. Nikogo nie zabiłeś, powiadasz. Tak, nie masz niby krwi na rękach, co? Tym lepiej. Dam ci zatem, co obiecałem, panie Złodzieju...

Trzęsąc się z żądy posiadania, lord Gho wyciągnął pulchną dłoń po Perłę.

Elryk uśmiechnął się i ku zdumieniu Anigha, pozwolił szlachcicowi wziąć klejnot.

Oddychając ciężko, lord Gho gładził zdobycz.

— Piękna... Taka piękna i cudowna...

— A co z naszą nagrodą, lordzie Gho?

— Co? — spojrział na nich nieprzytomnie. — A tak, nagroda. Oczywiście. Daruję wam życie. Nie potrzebujesz już antidotum, sam powiedziałeś. Wspaniale. Zatem możecie odejść.

— Wydawało mi się, że proponowałeś mi również nieco kosztowności. Wszelkie bogactwa. Wysoką pozycję wśród szlachty Quarzhasaat...

— Nonsens. Już antidotum to byłoby sporo. Nie jesteś kimś, kogo cieszyłyby bogactwa. Trzeba mieć dryg do tego... Nie, dość, jeśli pozwolę wam odejść...

— Nie zamierzasz dotrzymać warunków naszej umowy?

— Owszem, rozmawialiśmy trochę, ale żeby od razu umowa? Ustaliliśmy jedynie sprawę antidotum i chłopca. Coś ci się pomyliło.

— Nie pamiętasz, coś obiecywał?

— Obiecywałem coś? Też pomysł.

— A moje obietnice pamiętasz?

— Dość tego, denerwujesz mnie. — Nie mógł oderwać oczu od Perły. Pieścił ją niczym matka dziecko. — Idź już. Idź, pókim dobry.

— Mam jeszcze parę zobowiązań — powiedział Elryk. — Ja bowiem nie zwykłem łamać raz danego słowa.

Lord Gho spojrział wreszcie na niego, wyraźnie już zirytowany.

— Niech będzie. Mam już tego dość. Przed nocą zostanę członkiem Rady Sześciu i Tego Jednego. Grożąc mojej osobie, grozisz Radzie. Tym samym stajesz się wrogiem Quarzhasaat. Zdradziłeś Imperium i tym samym musisz zostać ukarany. Natychmiast. Straż!

— Głupis i tyle — powiedział Elryk. Anigh krzyknął, gdyż w odróżnieniu od lorda Gho, chłopak nie zapomniał przymiotów Czarnego Miecza.

— Rób, co on każe, panie Gho! — zawołał Anigh, równie mocno lękając się o siebie, co o szlachcica. — Błagam cię, panie! Rób, co mówi!

— Uważaj, zwracasz się do członka Rady — stwierdził rzeczowo gospodarz. — Straż, zabrać ich. Uduście ich czy poderżnijcie im gardła, co wolicie...

Strażnicy nic nie wiedzieli o runicznym mieczu, widzieli przed sobą jedynie szczupłego mężczyznę, który mógł być chory na trąd, oraz młodego bezbronniego chłopaka. Uśmiechnęli się, słysząc żart swego pana i wyciągnęli broń.

Elryk przyciągnął Anigha do siebie i poszukał rękojeści Zwiastuna Burzy.

— Niemądrze czynicie — ostrzegł strażników. — Wcale nie pragnę was zabić.

Jedna ze służących uchyliła ukradkiem drzwi i wymknęła się na korytarz. Elryk odprowadził ją wzrokiem.

— Bierzcie z niej przykład — powiedział. — Chyba przeczuła, co tu się stanie, gdy dalej będziesz nam groził. . .

Strażnicy roześmiali się.

— To szalaniec — stwierdził jeden. — Lord Gho ma rację, każąc go uśmiercić!

Przyskoczyli do Elryka, a runiczny miecz zaskowytał niczym głodny wilk uwolniony z klatki po długim poście i o niczym tak nie marzący, jak o solidnej zdobyczy.

Elryk czuł płynącą w niego moc odebraną przez ostrze pierwszemu strażnikowi, który padał właśnie rozplątany aż do mostka. Drugi próbował umknąć, ale potknął się i z przerażeniem w oczach konał, a czubek miecza wypijał z niego duszę.

Lord Gho skulił się w fotelu. Zbyt przerażony, by się poruszyć, nadal ścisnął w jednej dłoni wielką perłę, drugą zaś wyciągnął przed siebie, jakby chcąc osłonić się przed spodziewanym ciosem.

Albinos jednak schował miecz i podszedł do gospodarza, by spojrzeć w jego wykrzywioną strachem twarz.

— Weź Perłę. . . Daruj mi życie. . . — wyszeptał szlachcic. — Oddaję ci ją w zamian za życie. . .

Elryk przyjął klejnot, ale nie odszedł. Z sakwy u pasa wyciągnął płaską manierkę z eliksirem.

— Nie sądzisz, że przyda ci się coś do popicia?

Lord Gho zadrzał. Jego skóra pod warstwą pudru stawała się coraz bledsza.

— Nie pojmuję, o czym mówisz, złodzieju.

— Chcę, byś zjadł Perłę, mój panie. Jeśli uda ci się ją połknąć i przeżyć, uznam wówczas, że cała ta opowieść o twojej śmierci była przedwczesna.

— Połknąć? Jest za duża. Ledwie dam radę wziąć ją do ust! — Lord Gho wciąż jeszcze miał nadzieję, że albinos żartuje.

— Może jednak spróbujesz, mój panie. Koniec końców, jak inaczej mogłaby się znaleźć w ciele dziecka?

— Ale powiedziałaś. . . podobno. . . to wszystko był sen. . .

— Owszem. Może zatem uda ci się połknąć sen. A nuż wnikniesz w ten sposób do Krain Snów i ujdiesz przed fatalnym losem. Kto wie? Trzeba spróbować, panie. W przeciwnym razie mój miecz pożywi się twoją duszą. Co wolisz?

— Och, Elryku, oszczędź mnie. To nieuczciwe. Umówiliśmy się przecież.

— Otwórz usta, panie. Może Perła zmaleje, a może masz gardło jak wąż? Sprawdźmy. Bo przecież w niejednym lepszy jesteś od węża, prawda?

Anigh spojrział przez okno na ulicę. Nie miał śmiałości przyglądać się aktowi zemsty.

— Służąca wraca, panie. Zaalarmowała miasto — powiedział.

Na krótką chwilę nadzieja zagościła w zielonych oczach lorda Gho, ale roz-
wiąła się, gdy Elryk położył manierkę na oparciu fotela i wysunął do połowy
miecz z pochwy.

— Twoja dusza pomoże mi pokonać tych żołnierzy, lordzie Gho.

Powoli, płacząc i pojękując, szlachcic z Quarzhasaat otworzył usta.

— Oto i Perła, mój panie. Proszę, o tak. Postaraj się, panie. Stawką jest twoje
życie.

Roztrzęsiona dłoń wsunęła w końcu Perłę pomiędzy ukarminowane wargi.
Elryk odetkał manierkę i wylał nieco eliksiru na usta i policzki lorda.

— A teraz proszę, połykamy... Tak, lordzie Gho... Połykamy powoli...
Przecież gotów byłeś zabić nawet dziecko, by dostać ten klejnot... A gdy już
się najemy, to powiem ci, kim naprawdę jestem... .

Kilka minut później drzwi runęły pod ciosami, a pierwszym, który się w nich
pojawił, był wytatuowany Manag Iss, przywódca Żółtej Sekty i krewny lady Iss.
Spojrzał najpierw na Elryka, potem na martwego lorda Gho, któremu nie udało
się przełknąć drogocennej potrawy. Wzdrygnął się.

— Słyszałem, że wróciłeś, Elryku. Podobno bliski śmierci, ale udawałeś tylko,
jak widzę, by oszukać lorda Gho.

— Owszem. Musiałem uwolnić chłopca.

— Znalazłeś Perłę?

— Znalazłem.

— Moja pani wysłała mnie, bym zaoferował ci za nią, cokolwiek tylko zapra-
gniesz.

Elryk uśmiechnął się.

— Powiedz jej, że za pół godziny przyjdę na spotkanie Rady. Przyniosę Perłę.

— Ale tam będą jeszcze inni, a ona pragnie porozumieć się z tobą przed spo-
tkaniem, bez świadków.

— Ja zaś, skoro coś tak cennego wpadło mi już w ręce, zamierzam wystawić
Perłę na licytację.

Manag Iss schował miecz i uśmiechnął się pod nosem.

— Żartowniś z ciebie. Rada się zdziwi, nie znają się na takich żartach. Ani na
takich przybyszach. Wciąż nie mają pojęcia, kim jesteś i gubią się w domysłach.

— Możesz powiedzieć im to samo, co właśnie przekazałem lordowi Gho. Je-
stem dziedzicznym cesarzem Melniboné — stwierdził skromnie Elryk. — Bo i ta-
ka jest prawda, że moje cesarstwo przetrwało w nieco lepszej kondycji niż wasze.

— Nie wiem, jak to zniosą. Chciałbym zostać twoim przyjacielem, Melnibo-
néńczyku.

— Dzięki, Managu, ale dość mam przyjaciół z Quarzhasaat. Zrób, o co cię
proszę.

Manag Iss spojrział na zabitych strażników, na trupa lorda Gho, który z wolna zmieniał już barwę, na wystraszzonego chłopca, w końcu zasalutował Elrykowi.

— A zatem za pół godziny w Wielkim Domu Spotkań, cesarzu Melniboné. — Obrócił się na pięcie i wyszedł.

Wydawszy Anighowi stosowne dyspozycje co do podróży i towarów z Kwan, Elryk wyszedł na podwórzec. Słońce już zaszło i miasto rozświetlone było pochodniami, jakby w oczekiwaniu ataku.

Służący lorda Gho zniknęli. Elryk poszedł do stajni, gdzie znalazł swojego konia i rząd. Osiodłał ogiera Bauradimów, załadował ciężki tobołek i ruszył ulicami w poszukiwaniu Domu Spotkań.

Miasto pogrążone było w nienaturalnej ciszy. Ktoś musiał zdążyć ogłosić alarm i nawet straż zniknęła z ulic.

Książę przemierzył najpierw Aleję Wojennych Zwycięstw, potem Bulwar Wykonanych Planów i jeszcze z pół tuzina podobnie nazwanych ulic, aż ujrzał przed sobą długi, niski budynek, który dzięki swej surowości od razu rzucał się w oczy jako siedziba władz Quarzhasaat.

Zatrzymał się. Runiczny miecz podśpiewywał u pasa, jakby domagał się stanowczo dalszego rozlewu krwi.

— Cierpliwości — powiedział Elryk. — Może nie będzie trzeba walczyć.

Wydało mu się, że jakieś cienie przemykają pomiędzy drzewami i krzewami otaczającymi Dom Spotkań, ale nie zwrócił na nie większej uwagi. Niech szpiegują, on ma swoją misję do wypełnienia.

Dotarł do drzwi i bez zdziwienia stwierdził, że są szeroko otwarte. Zsiadł, przerzucił tobołek przez ramię i wmaszerował do wielkiej, pozbawionej ozdób sali, w której stało siedem foteli z wysokimi oparciami i jeden dębowy stół wykładany wapieniem. U jednego z końców stołu czekało w półkołu sześć spowitych w materię postaci, ich oblicza przesłaniały woale. Siódma postać odróżniała się wielkim spiczastym kapeluszem. Ta postać przemówiła pierwsza, lekko zaskakując przy tym księcia, jako że głos był kobiecy.

— Jestem Tym Jednym — powiedziała. — Ufam, że przyniosłeś nam skarb, który doda chwały Quarzhasaat.

— Jeśli sądzisz, że dźwigałem tu ten kamyk, by dodać wam chwały, to jesteś w błędzie — powiedział Elryk rzucając tobołek na ziemię. — Czy Manag Iss powiedział wam już, kim jestem?

Jeden z członków Rady poruszył się.

— To, że jesteś niby potomkiem mieszkańców zatopionego Melniboné? — spytał, jakby każde słowo miało być przekleństwem. — To już słyszeliśmy.

— Melniboné nie zatoneło. Nie pogrążyło się też wcale w izolacji od świata, jak wy. Dawno temu rzuciliście nam wyzwanie, sami na siebie sprowadzając klęskę. Teraz zaś wasza chciwość sprowadziła mnie do Quarzhasaat, chociaż równie dobrze mogłem minąć wasze miasto jak każde inne.

— Bez oskarżeń! — krzyknęła zawoalowana kobieta. — I ty to mówisz, ty, który sprawiłeś nam tyle kłopotów? Ty, który jesteś potomkiem nieludzkiej rasy gotowej zlec ze zwierzęciem, by spłodzić coś tak szkaradnego — wskazała palcem — jak ty!

Elryk pominął to milczeniem.

— Manag nie powiedział wam, że należy się mnie bać? — spytał cicho.

— Powiedział, że masz Perłę i czarodziejski miecz. Ale wspomniał też, że jesteś sam. — Ta Jedna odchrząknęła. — Powiedział, że przywiozłeś Perłę z Serca Świata.

— Przywiozłem, jest tutaj. — Elryk schylił się i wytrząsnął z tobołka zwłoki lorda Gho. Twarz trupa wykrzywiona była w grymasie cierpienia, a zgrubienie gardła wyglądało na jakąś osobliwą chorobę jabłka Adama. — Oto jest ten, który pierwszy zlecił mi odszukanie Perły.

— Słyszeliśmy, że go zamordowałeś — powiedziała Ta Jedna z niesmakiem. — Ale czego się można spodziewać po Melnibonéńczyku.

— Perła tkwi w przelyku lorda Gho — stwierdził Elryk, nadal nie reagując na obelgi. — Mam go rozplatać dla waszej przyjemności?

Jeden z członków Rady wzdrygnął się.

— No proszę — uśmiechnął się książę. — Wynajmujecie zabójców, by mordowali, torturowali, porywali i robili co tylko się da niegodziwego, a wszystko w waszym imieniu, ale nie możecie patrzeć na krew? Dałem mu wolny wybór, sami widzicie, co wolał. Tak się rozgadał, obżerając przy tym i popijając, że pomyślałem, iż Perłę też da radę połknąć. Udławił się jednak i to chyba był koniec obiadu.

— To okrutne! — Jeden z zawoalowanych podszedł bliżej, by spojrzeć na lorda. — Tak, to Gho. Powiedziałbym, że nabrał nieco kolorów.

Ta uwaga nie spotkała się z uznaniem przywódczyni.

— A zatem musimy rozsiekać trupa?

— O ile chcecie mieć Perłę, że tak powiem, bez opakowania.

— Managu — powiedziała jedna z zawoalowanych kobiet. — Wystąp.

Czarownik wyszedł z drzwi w głębi sali i biorąc nóż do ręki, spojrzał na Elryka niemal przepraszająco.

— Dość już naszej krwi rozlałeś, przybyszu. Managu, wytnij Perłę.

Przywódca Żółtej Sekty westchnął głęboko i podszedł do ciała. Kilkoma szybkimi ruchami zrobił, co mu kazano. Krew pociekła mu po dłoniach, gdy podniósł Perłę.

Radę zatchnęło. Jedni pomrukiwali coś, inni trwali jak porażeni. Najpewniej oczekiwali, iż Elryk po prostu kłamie, jako że wszelkie podstępny i intrygi leżały w ich własnej naturze.

— Podnieś ją wysoko, Managu — powiedział albinos. — Niech napatrzą się na to, czego tak pożąдали, że gotowi byli do końca wyzuć się dla tej błyskotki

z honoru.

— Miarkuj się! — krzyknęła Ta Jedna. — Póki mamy do ciebie cierpliwość, podaj nam swoją cenę i znikaj!

Elryk roześmiał się i nie był to śmiech miły. Można powiedzieć, że był to śmiech Melnibonéańczyka. W tej chwili księżę był już tylko Melnibonéańczykiem ze Smoczej Wyspy.

— Niech i tak będzie. Chcę miasta. Nie jego mieszkańców, nie jego bogactw ani zwierząt. Nie chcę nawet jego wody. Pozwolę wam odejść ze wszystkim, co zdołacie wynieść. Zależy mi tylko na mieście jako takim. Jak zapewne się domyślacie, należy mi się ono prawem spadku.

— Że co? Bzdura. Sądzisz, że na to przystaniemy?

— Nie macie wyboru. Chyba że mnie pokonacie.

— Chyba? Przecież jesteś sam.

— Dość tego — powiedział jeszcze inny członek Rady. — To szaleniec. Trzeba zabić go jak wściekłego psa. Managu, zawołaj swoich braci i resztę.

— Nie sądzę, aby to był dobry pomysł, kuzynko — powiedział Manag, zwracając się otwarcie do lady Iss. — Mądrzej będzie jednak się z nim dogadać.

— Co? Tchórz cię obleciał? Przecież ten łajdak przybył tu bez armii.

Manag Iss potarł nos w zakłopotaniu.

— Pani...

— Zawołaj swych braci!

Kapitan Żółtej Sekty podrapał się teraz w ramię i zmarszczył brwi.

— Księżę Elryku, rozumiem, że zmuszasz nas do przyjęcia wyzwania, ale my nie stanowimy dla ciebie żadnej groźby. Rada gotowa jest uczciwie zapłacić za Perłę...

— Powtarzasz ich kłamstwa, Managu — przerwał mu Elryk. — To niegodne kogoś takiego jak ty. Jeśli mają wobec mnie znaczne zamiary, to czemu trzymają za drzwiami twoich braci i jeszcze ze dwie setki żołnierzy na dokładkę?

— To tylko zwykłe środki ostrożności — powiedziała Ta Jedna i obróciła się do reszty Rady. — Mówiłam wam, żeby nie wzywać od razu całej armii.

— Wszystko, co robicie, szlachetni państwo, skażone jest głupotą. Okazaliście już okrucieństwo, chciwość, brak troski o cudze życie, pogardę dla cudzej woli. Jesteście zaślepieni, bezmyślni, nieobliczalni. Odnoszę wrażenie, iż władza, która tak bardzo dba o własne majątki, powinna zostać niezwłocznie zastąpiona inną. Gdy tylko opuścicie miasto, zarządzę najpewniej wybory gubernatora, który lepiej będzie służył Quarzhasaat, niż wy. Z czasem może pozwolę wam wrócić do miasta...

— Och, skończcie z nim! — krzyknęła Ta Jedna. — Marnujemy czas. Potem zastanowimy się, komu z nas dostanie się Perła.

Elryk westchnął z żalem.

— Jeszcze jest czas, by dojść do porozumienia. Gdy wyciągnę miecz, za późno będzie na pakt czy miłosierdzie. . .

— Zabić go! Ile jeszcze. . .

Manag Iss wykrzywił się, jakby bał się Elryka bardziej niż samej śmierci.

— Pani. . .

Ta Jedna przerwała mu, podchodząc do Czarownika i wyciągając mu miecz z pochwy. Zamierzyła się na albinosa.

Elryk działał bez pośpiechu. Jego dłoń niczym wąż prześliznęła się pod ostrzem i uchwyciła nadgarstek kobiety.

— Nie, pani! Uczciwie daję wam ostatnią szansę. . . Zwiastun Burzy zaczął wiercić się w pochwie, mrużąc coś złowrogo.

Kobieta upuściła miecz i zajęła się obolałym nadgarstkiem.

Manag Iss podniósł broń, przymierzył ją do pochwy, po czym gwałtownym wypadem spróbował zaskoczyć Elryka, ale ten odskoczył i wyciągnął miękkim ruchem runiczny miecz, który z miejsca rozpoczął swą demoniczną pieśń i rozjarzył się czarnym blaskiem.

Manag Iss westchnął tylko, gdy ostrze trafiło go w serce. Dłoń z Perłą trwała jeszcze przez chwilę wzniesiona, jakby chciała oddać ją Elrykowi, aż bezwładne palce pozwoliły klejnotowi potoczyć się po posadzce. Trzech członków Rady rzuciło się ku nim, ale ujrawszy gasnące spojrzenie Managa, wszyscy odstąpili.

— Teraz! Teraz! — krzyknęła Ta Jedna i zgodnie z oczekiwaniami księcia ze wszystkich zakamarków wysypali się członkowie wszelkich możliwych sekt, by z bronią w rękach ruszyć na Elryka.

Albinos wykrzywił się, oczy rozjarzyły mu się czerwienią i oblicze jego przypominać zaczęło upiorną trupa czaszkę. Gotował się do zemsty. Zemsty w imieniu przodków, w imieniu Bauradimów i wszystkich innych, którzy przez tysiąclecia ucierpieli z powodu niesprawiedliwości Quarzhasaat.

Czarny miecz zbierał żniwo, a każdą pożartą przezeń duszę Elryk ofiarowywał Księciu Piekieł, Ariochowi, który objadł się tego dnia do syta dziełem obu swych sług.

— Arioch! Arioch! Krew i dusze dla pana mego, Ariocha! I zaczęła się prawdziwa rzeź.

Wszystko inne bladło w jej obliczu. To wydarzenie na zawsze zachować się miało w annałach ludzi pustyni, którzy dowiedzieli się później wszystkiego od nielicznych uciekinierów z Quarzhasaat. Nieszczęśni mieszkańcy miasta woleli skazać się na poniewierkę wśród bezwodnych piasków, niż natknąć się na szalejącego po ulicach, roześmianego demona cwałującego na koniu Bauradimów, demona uczącego ich, jaką cenę płaci się czasem za bezmyślne okrucieństwo i brak wyobraźni.

— Arioch! Arioch! Krwi i dusz!

Opowiadano potem o białolicej istocie rodem z piekła, której miecz promieniował nienaturalnym światłem i której szkarłatne oczy lśniły nieopanowaną wściekłością. O istocie obdarzonej mocą nie z tego świata. Istota zabijała bez miłosierdzia wszystkich, którzy tylko się nawinęli, choć nie lubowała się w okrucieństwie. Czyniła to jak oszalały wilk. A zabijając, wybuchała śmiechem.

Ten śmiech na zawsze zostać miał już w Quarzhasaat. Pobrmiewać miał w wietrze nadciągającym znad Pustyni Westchnień, w muzyce fontann, w porbrękiwaniu młotów kowalskich i młotków rzemieślników. Podobnie jak nie było dane murom uwolnić się od odoru krwi i pamięci o rzezi, która pozbawiła Quarzhasaat Rady i armii.

W niepamięć odeszła za to legenda o chwale miast i jego potędze. Nigdy już nie zagroziło pustynnym nomadom nic innego niż dzikie zwierzęta. Zniknęły zepsuci i fałszywa duma dawno upadłego imperium.

Gdy rzeź dobiegła końca, Elryk z Melniboné poprawi się w siodle, schował nasyconego Zwiastuna Burzy, uspokoi szalejącego w nim demona zagłady, wziął Perłę i odjechał prosto we wschodzące słońce.

— Chyba już wyrównałem rachunki — powiedział.

Rzucił klejnot do ścieku, gdzie mały psiak chleptał płynącą rynsztokiem krew.

Rychło sępy zwiedziały się o uczcie i czarną chmurą spadły na przepiękne wieże i ogrody Quarzhasaat.

Z obojętnym obliczem Elryk pogonił konia na zachód, ku miejscu, gdzie miał czekać nań Anigh wraz z ziołami z Kwani, koźmi, wodą i żywnością w dostatecznej ilości, by starczyło ich na pokonanie Pustyni Westchnień. Elryk zatęsknił za normalniejszym światem polityki i czarów Młodych Królestw.

Nie obejrzał się nawet na miasto, które, kończąc dzieło swych przodków, podbił i pokonał.

Rozdział 5

EPILOG O ZACHODZIE KRWAWEGO KSIĘŻYCA

Uroczystości w Oazie Srebrnego Kwiatu ciągnęły się jeszcze długo po tym, jak dotarła do nomadów wieść o zemście, której Elryk dokonał w Quarzhasaat. Nowinę przynieśli mieszkańcy miasta uciekający przed czymś, co nie miało nigdy wcześniej miejsca w ich historii.

Oone, Złodziejka Snów, która została w oazie o wiele dłużej, niż było to konieczne i nadal ociągała się z odjazdem, przyjęła wiadomość bez radości, a nawet ze smutkiem, jako że czego innego oczekiwała.

— Cóż, on służy Chaosowi, a ja Ładowi — powiedziała do siebie. — I nie wiadomo, które z nas bardziej jest zniewolone. — Westchnęła i choć nieco zachmurzona, wróciła jednak do zabawy.

Bauradimowie i pozostali nomadzi nawet tego nie zauważyli, ich radość była niby szaleństwo. Wreszcie pozbyli się tyrana, pozbyli się jedynej siły, której lękali się na pustyni.

— Kaktus płacze, by pokazać nam, gdzie jest woda — powiedział Raik Na Seem. — Wielkie były nasze zmartwienia, ale dzięki tobie, Oone, i dzięki Elrykowi z Melniboné, obróciły się one w nasz triumf. Niebawem złożymy wizytę w Quarzhasaat i podyktujemy im warunki handlu na przyszłość. Chyba o wiele bardziej uczciwe. — Zaśmiał się. — Poczekamy jednak, aż sępy zrobią swoje.

Varadia wzięła Oone za rękę i poprowadziła wzdłuż brzegu jeziora. Krwawy Księżyc chylił się ku zachodowi, ale srebrzyste płatki kwiatów słały jeszcze swój blask. Niedługo przyjdzie im obwieńnąć, a wówczas ludzie pustyni rozjadą się, każde plemię w swoją stronę.

— Kochałaś tego białolicego? — spytała Varadia.

— Prawie go nie znałam, dziecko.

— A ja poznałam dobrze was oboje — uśmiechnęła się Varadia. — Szybko dorastam, prawda? Sama to powiedziałaś.

Oone musiała się zgodzić.

— Ale to nie miało przyszłości, Varadio. Zbyt różne są nasze przeznaczenia. Trudno mi też pogodzić się z niektórymi jego pomysłami.

— Inne pobudki nim kierują i niewiele ma to wspólnego z wolną wolą. — Varadia odgarnęła miodowe włosy z twarzy.

— Może. Czasem jednak można odrzucić przeznaczenie podyktowane przez władców Ładu i Chaosu i pozostać przy życiu nie ustając w czynieniu tego, za co nie wolno się wziąć bogom.

— Co właściwie czynimy, jest i pozostanie tajemnicą — powiedziała Varadia współczująco. — Ciągłe nie mogę zrozumieć, jakim sposobem powołałam Perłę do istnienia. Aby uciec, zrobiłam dokładnie to, czego pragnęli moi prześladowcy. A potem jeszcze Perła okazała się prawdziwa!

— Wiem, jak to się stało. Tego właśnie poszukują Złodzieje Snów. — Roześmiała się. — Dostałabym za nią dobrą cenę na targu.

— Jak to jest, że rzeczywistość bierze się ze snów? Oone przystanęła i spojrzała na wodę odbijającą różowy dysk księżyca.

— Zagrożona przez intruza ostryga broni się tworząc otoczkę wokół tego, co ją rani, i w ten sposób powstaje perła. Czasem ze snami bywa tak samo. Czasem zaś ludzkie pragnienia są tak silne, że powołują do istnienia rzeczy niemożliwe, niemożliwe tak długo, jak długo o nich nie pomyślano. Nic w tym niezwykłego, Varadio, że sen zamienia się w rzeczywistość. To jeden z głównych powodów, dla których skłonna jestem szanować ludzkość pomimo jej okrucieństwa i niesprawiedliwości.

— Chyba rozumiem.

— Och, z czasem zrozumiesz to do końca. Ostatecznie jesteś jedną z tych osób, które zdolne są do takiego aktu kreacji.

Kilka dni później Oone gotowa była już do drogi. Zamierzała udać się do Elwher na Nieznanym Wschodzie. Wtedy też po raz ostatni rozmawiała z Varadią.

— Wiem, że masz jeszcze pewien sekret — powiedziała dziewczyna do Złodziejki. — Nie podzielisz się nim ze mną?

Oone zdumiała się jej szacunek dla inteligencji Świętej Dziewczyny wzrósł jeszcze bardziej.

— Chodzi ci o sprawy snów i jawy?

— Myślę o dziecku, które nosisz — stwierdziła wprost Varadią. — Bo jesteś w ciąży, prawda?

Oone założyła ramiona i oparła się o wierzchowca. Roześmiała się.

— Zaiste, skupiają się w tobie wszystkie przymioty twego plemienia, młoda kobieto.

— To dziecko tego, którego pokochałaś i zaraz potem straciłaś?

— Tak. Chyba córka, może nawet syn i córka, jeśli dobrze odczytuję znaki. Nie tylko perły znajduje się w snach.

— A czy ojciec dowie się kiedykolwiek o potomkach?

Oone chciała odpowiedzieć, ale nie mogła wykrztusić słowa. Spojrzała w kierunku odległego Quarzhasaat. Dopiero po dłuższej chwili powiedziała cicho:

— Nigdy.